STEFAN ZWEIG

24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY

W ODMĘCIE UCZUĆ

STEFAN ZWEIG

24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY

W ODMĘCIE UCZUĆ

Wydanie czternaste

Instytut Wydawniczy „Renaissance"

Warszawa — Poznań — Kraków — Lwów — Stanisławów

Drukarnia A. Dittmann, T. z o. p., Bydgoszcz
283617

STEFAN ZWEIG

Stefan Zweig jest najbardziej intenzywnym wśród mistrzów słowa — nie tylko przez talent, lecz przez wolę i jej żywotność. Jego energja działa nieomal bez słów, jest wiecznie płodna, równocześnie podnieca się twórczo i urzeczywistnia się w życiu duchowem; pociąga wybitnych ludzi czasu; ujawnia się w dziełach i we wpływie na budowę europejskiej społeczności.

Wzrastał on w tej atmosferze artystycznej, która urabiała cudownie Gustawa Mahlera, Ferucio Busoni, Hofmannsthala, Marję Rainera Rilkego, Stefana George'a, Gustawa Klimta i wielu innych wybrańców sztuki w naszej epoce. Już za młodu jego pęd ku ekspanzji, żądza burzliwego i bogatego życia, przerastały jego pociąg do literatury.

Udaje się tedy w podróż. Charakterystycznem jest, że jakkolwiek w dostatkach wychowany, zrzeka się wszelkiego zbytku w swych podróżach, jak i w życiu późniejszem, unika próżnych wygód. Znalazł się w Indjach, w Chinach, w Afryce, Kanadzie i Ameryce północnej, we Włoszech, Hiszpanii, Szkocji, łest ponownie w Paryżu, w Berlinie, Londynie, w Belgji, gdzie zawiera znajomości, mające rozstrzygający wpływ na jego życie i ukształtowanie ducha.

W tym czasie pisze swe czarujące studjum: „Wspomnienia o Verhaerenie" poświęcone wielkiemu poecie flamandzkiemu, który tak mocno zaważył na jego losach. Stworzył mu wspaniały pomnik biograficzny, a równocześnie przekładał jego przepyszne wiersze. Podobnie poświęcając twórczość oryginalną, tłómaczył z umiłowaniem utwory poetyckie Verlaine'a, Rimbard'a, Baudelaire'a i innych.

Wybuchła wojna, której piekło poznał osobiście, służąc na froncie. Zweig pisze „J e r e m i a s z a“, tragedję, w której hymnem oburzenia pobija kłamstwo o braterstwie narodów i zbrodniczą brutalność okrutnej rzezi narodów i wypowiada z potężnym żarem idee miłości i życia. Tu poraz pierwszy słyszymy jego apel do duszy i sumienia Europy. Nie jest to okolicznościowe echo zagłuszonych dźwięków ojczyzny, ale raczej odrębny, samoistny rytm serca jakiegoś furioso-melancolico, jakim okaże się w całem późniejszem życiu.

Następnie spotykamy go w Szwajcarji z najbardziej bratnim duchem Romain Rollandem. Dwaj przyjaciele wspólnie głoszą bezustannie swoje wezwania do ludzkości, do niesienia ulgi pokrzywdzonemu przez wielkie cierpienia wojny światu. Zweig przekłada utwory Rollanda, natchnione wspaniałym duchem powszechnej kultury europejskiej.

Odrzuca beztroskę i lekkie igraszki. Opuszcza stolicę, żeni się, ucieka ponownie do samotności, w atmosferę austrjackiego Salzburga, przesiąkniętą dźwiękami dzwonów kościelnych i poświstem wiatrów alpejskich; to znów poddaje się urokowi stylu barocco, lub tchnieniom starodawnej kultury ludowej i jest pełen nowych twórczych planów, które wciela z żelazną energją i logiką w dramaty i lirykę, w studja krytyczne i nowele, nie przerywając jednocześnie płodnej pracy dziennikarskiej — imponując skarbami niezmordowanej pracowitości.

Wymieńmy tu trzeci z rzędu cykl jego nowel, noszący od głównej z cyklu tytuł: „W o d m ę c i e u c z u ć“. Przeprowadza tu ideę, że prawda bytu rozpoczyna się dopiero po przezwyciężeniu dualizmu krwi i ducha instynktów i sumienia — w jedności osiągniętej przez stopienie się w żarze pierwiastków kontrastowych. Niezwykłem zjawiskiem jest, że właśnie Stefan Zweig, głosiciel tej uczuciowej jedni jest tak potężnym w malowaniu burz rozdwojenia, błyskawic rozdwojenia, błyskawic rozdzierających duszę. Ukazując nam tragedję walk wewnętrznych, głosi wartość bytu choćby w tem, że owa

marzona jedność daje się osiągnąć w skąpych chwilach, a nawet choćby tylko na jeden dzień kresu życia („24 godziny z życia kobiety“).

Oto kobieta samotna, wdowa i matka dorosłych dzieci, która nagle daje się wytrącić z kolei swego życia przez poryw litości: chce ocalić młodzieńca przez ofiarę swej istoty, a potem cierpi przez długie lata uprzytomniając sobie, że ten, którego ocalić pragnęła, był nicością.

Oto stary człowiek, który życie zwrócił tylko ku robigroszostwu, odkrywa nagle hańbę swej jedynej ukochanej córki, niewierność swej żony. Z jakąż potęgą maluje nam Zweig powolne umieranie tego człowieka, dziwaczającego z każdem dniem, z każdym dniem odczuwającego głębiej swoją samotność, opuszczenie i błędy swego życia. („Agonja serca.“)

Lub śmiały pomysł o młodym, pięknym studencie filozofji, ulegającym czarowi nauczyciela, nad którego nieszczęściem w związku z obojętną mu żoną młodzieniec boleje — pomysł o ocaleniu mistrza przez miłość głęboką ale nienaturalną i potężny obraz uświadomienia obu, iż popadli w ohydną kałużę. Temat drastyczny, rozwinięty wszelako przez szlachetnego moralizatora, odsłaniającego grzechy ciała dla podkreślenia piękna ekspiacji przy rozstaniu się. („W odmęcie uczuć.“)

W nowelach tych jest Zweig poetą, podobnie jak był w nim w „Jeremiaszu“, który jest raczej płonącą żarem biblijnym pieśnią, niźli właściwym dramatem. Albowiem pomimo wielu świetnie kreślonych scen, jest to w technice swojej przeważnie oratorjum, monolog z chórami.

Podobnież poetą jest Zweig i w swoich studjach literackich. .Analizuje w nich on wspaniale rozstrzygające składniki ducha Europy i stawia rozwojowi tej kultury mądre drogowskazy.

Rewolucyjność ducha może być czemś groźnem u innych. Nigdy u Zweiga. Bo na jego wyzwolenie się buntem składa się litość i dobroć. Przy pozorach jakobinizmu ma on w sobie takt przyrodzony z przedziwną delikatnością uczuć, która stanowi najpiękniejszy regulatyw w jego buntowniczej naturze.

Jakąż bezmierną czułością dysze pierwsza księga jego nowel, objętych tytułem: „Łańcuch.“ Ile wiosennego uroku pierwszych niebezpiecznych przebudzeń zmysłów znajdziemy w noweli: „Pierwsze przeżycie.“ Jakie głębiny namiętności, jakie przeniknięcie w sferę podświadomego, jaka pewność ręki w malowaniu charakterów, ile rozmaitości w kreśleniu odmian wieku i stopni społecznych przemawiają do nas z tych książek, stanowiących wierne odbicie przełomu duchowego naszej epoki.

Te nowele, podobnie jak inne utwory Zweiga sprawiają wrażenie muzyki, która wiąże łagodność z wielkością, grację z przepychem, a chwilami podnosi się na wyżyny pasyj ewangielicznych lub mszy uroczystej. Tyle miłości nieskończonej, tyle ciepła serdecznego, tyle blasku w malowaniu uczuć, a równocześnie taka pełnia obserwacyj i przeżyć, a ponadto pociągający czytelnika dar naracyjny — to wszystko w takiej pełni znajdziemy u niewielu dzisiejszych mistrzów prozy..

Essaista Zweig przerasta nowelistę Zweiga przez swoje posłannictwo i moc ducha, walczącego o wskrzeszenie duchowej jedności narodów. Dzieło Zweiga p. t. „Twórcy świata“, gdzie daje nam wizerunki budowniczych ducha wszystkich narodów, dwa tomy p. t. „Trzej mistrze“ mieszczące studja o Balzaku, Dickensie i Dostojewskim, wreszcie utwór „Walka z Demonem“, gdzie daje nam postaci Hölderlina, Kleista i Nietschego w ich postępowym rozwoju — stanowią potężny przełom w literaturze epoki. Widzimy tu najwyższe wzloty ducha, najtragiczniejsze rozbicia się fantastów myśli i sztuki. Ze studjów tych płyną głębokie nauki dla współczesnych i przyszłych czasów. Przepiękną jest dusza autora tych studjów, albowiem przez pryzmat jej wielcy mistrze słowa, rozdzieleni czasem i przestrzenią niejako bratają się ze sobą; każdy z nich rozpoznaje w drugim brata; kocha innego i jest przezeń wzajem ukochany w nieśmiertelności.

Lucjan Frank Erdtracht.

24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY

Znowu mnie nęcisz, twórczy ogniu święty,
I wciągasz mnie zuchwale w krąg świetlisty,
Bym błądził przez głębiny, przez uczuć gąszcz ciernisty,
Bym się zanurzył w ludzkich serc odmęty.

Wplątani w sieć śmiertelną, niby w mocne sidła,
Bronimy się przed wszelkim zmiennym losem —
Aż męka rozdwojenia wreszcie nam obrzydła,
I uprzykrzyła trwoga przed namiętności ciosem.

Krew w nas wre, a duch jest niby zimny płomień,
Aż przyjdzie Los, co w mroku lat się waży —
I spłoną w burzy wspólnych oszołomień.

Przed głębią własnej prawdy stoim wciąż na straży.
Lecz niech w nas huknie grom i niech nas rozpłomieni,
Wtedy duch się krwią napoi i krew w ducha zmieni.

Działo się to w skromnym pensjonacie na Rivierze, dziesięć lat przed wybuchem wojny. Przy stole wywiązała się dyskusja, która gwałtownością swą groziła przejściem do kłótni, do niemal wzajemnych obraz i nienawiści. Bywają ludzie o przytępionej wyobraźni. To, co nie dotyczy ich bezpośrednio, co ostrym klinem nie wdziera się w ich życie, nie obchodzi ich prawie wcale. Lecz niech tylko jakiś wypadek, choćby najmniejszej wagi, wydarzy się w ich bezpośredniej blizkości — wznieca w nich nadmierną wprost namiętność. Ludzie ci wynagrodzają rzadkość swych zainteresowań ich nietaktowną i przesadną gwałtownością.

Nasze towarzystwo przy stole miało charakter nawskroś mieszczański. Zwykle dzieliliśmy się na wzajem spokojnemi small talk i płytkiemi żarcikami, poczem rozchodziliśmy się, gdzie mieszkałem wtedy, każdy w swoją stronę, przeważnie zaraz po obiedzie: niemieckie małżeństwo szło na wycieczki albo na zdjęcia amatorskie, okrąglutki Duńczyk na swoje nudne rybołóstwo, wytworna Angielka wracała do książek, młoda para Włochów wybierała się na eskapady do Monte Carlo, ja zaś brałem się do roboty lub do dolce farniente w ogrodowym fotelu. Tym razem jednak pozostaliśmy wszyscy, rozjątrzeni gorącą dyskusją. Ilekroć ktoś z nas podnosił się nagle, to już nie w celu zwykłego, uprzejmego pożegnania, lecz z racji burzliwego nastroju, który — jak mówiłem — przybierał formy wręcz gwałtowne.

Wypadek, który do tego stopnia poruszył nasze towarzystwo, był rzeczywiście dość dziwny. Pensjonat, w którym mieszkało nas siedem osób, wyglądał,

jak odosobniona willa. Z okien rozpościerał się cudowny widok na plażę, najeżoną skałami.

Pensjonat nasz stanowił nieco tańszą „dependance“ wielkiego „Palace Hotelu“ o wspólnym ogrodzie, komunikowaliśmy się więc stale z gośćmi hotelowymi. W tym właśnie hotelu zdarzył się poprzedniego dnia niebywały skandal. Mianowicie, dokładnie o 12ej minut 20 w południe (podkreślam ścisłą godzinę, gdyż ważne jest to ze względu na temat owej gorącej rozmowy) przyjechał jakiś młody Francuz i wynajął pokój z widokiem na morze, co dowodziło pewnej zamożności. Powierzchwność jego była nadzwyczaj ujmująca. Zawdzięczał to nietylko swej dyskretnej elegancji, lecz i niezwykłej, bardzo sympatycznej urodzie. Twarz szczupła, o dziewczęcym owalu — zmysłowe gorące wargi ocieniał jedwabisty wąsik — nad białem czołem falujące kasztanowate włosy — miękkie, pieszczotliwe spojrzenie — wszystko w nim było miłe, powabne, pozbawione wszakże sztuczności czy afektacji. Toć zdaleka przypominał owe różowe, napuszone figurynki woskowe, co to z modną laseczką w ręce reprezentują ideał męskiej piękności na wystawach wielkich magazynów — wrażenie to jednak mijało przy bliższej znajomości, ponieważ (co za rzadkość!) nie była to jakaś fircykowatość, lecz powab wrodzony, naturalny, niejako podskórny. Pozdrawiał każdego z osobna w sposób skromny a jednocześnie serdeczny, i doprawdy, przyjemnie było obserwować przy każdej sposobności jego nieprzymuszony wdzięk. Gdy jakaś dama szła do garderoby, spieszył za nią, by podać jej

płaszcz — dla każdego spotkanego dziecka miał przyjazne spojrzenie lub żarcik, w zachowaniu był dyskretny i towarzyski zarazem — jednem słowem: z młodzieńczym „charmem“ i pogodną twarzą łączył w sobie przeświadczenie, że podoba się wszystkim. Na starszych i przeważnie chorowitych gości hotelu obecność jego wywierała dobroczynny wpływ: owa świeżość i lekkość, ów zwycięski krok młodości, udzielający się łatwo innym, zyskiwały mu nieodpartą sympatję. W dwie godziny po przyjeździe grał już w tenisa z dwiema córkami tęgiego fabrykanta z Ljonu — z dwunastoletnią Anetką i trzynastoletnią Blanką, a ich matka, delikatna, subtelna i bardzo powściągliwa Madame Henriette, przyglądała się z uśmiechem, jak dwa podlotki flirtowały w nieświadomej kokieterji z młodym przybyszem. Wieczorem asystował nam przy partji szachów, w międzyczasie opowiedział mimochodem parę zręcznych anegdotek, potem znów długo spacerował po tarasie z Madame Henriette (mąż jej grał tymczasem w domino ze swym wspólnikiem). Późnym wieczorem spostrzegłem go w głębi biura hotelowego, zajętego dziwnie poufną rozmową z sekretarką. Nazajutrz rano towarzyszył w łowieniu ryb Duńczykowi, przyczem okazał zdumiewającą znajomość rzeczy, potem długo rozprawiał z ljońskim fabrykantem o polityce, gdzie znów się okazał zajmującym „causeur'em“ — gdyż słyszeliśmy donośny śmiech grubego pana aż nad wybrzeżem. Po obiedzie — jest to konieczne dla zrozumienia sytuacji, abym dokładnie zdawał sprawę z każdej poszczególnej fazy jego pobytu — znów

siedział godzinkę sam na sam z Mme. Henriette w ogrodzie przy czarnej kawie, znów grał w tenisa z jej córkami, potem rozmawiał na werandzie z niemieckiem małżeństwem. O szóstej poszedłem zanieść list na dworzec i tam go spotkałem. Śpiesznie podszedł do mnie, usprawiedliwiając się, że musi tak nagle wyjechać, bo go niespodzianie wezwano, ale że za dwa dni będzie z powrotem. Rzeczywiście, wieczorem nie było go w jadalni, lecz brak ten dotyczył jedynie jego fizycznej obecności: przez cały czas mówiono tylko o nim, wychwalono jego pogodę ducha i miły sposób obejścia.

W nocy, koło jedenastej, siedziałem u siebie w pokoju, aby doczytać książkę do końca — gdy wtem usłyszałem przez otwarte okno hałas i nawoływanie — coś się działo, coś się zdarzyło widocznie w hotelu. Bardziej zaniepokojony niż zaciekawiony, przebiegłem pięćdziesiąt kroków, dzielące pensjonat od hotelu — i zastałem gości oraz personel w stanie bezładnego podniecenia. Otóż — pani Henrietta nie wróciła dotychczas ze zwykłego wieczornego spaceru (mąż jej tymczasem, zgodnie z nawyknieniem, grał w domino z przyjacielem z Namur) — obawiano się więc jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Jak oszalały zwierz, miotał się ten ociężały zazwyczaj człowiek po wybrzeżu, i nawoływał zarywającym się ze wzruszenia głosem: „Henrjetto! Henrjetto!“ Dźwięk ten wśród nocy miał w sobie coś tak pierwotnego i tak przeraźliwego, jak jęk śmiertelnie rażonego zwierzęcia. Kelnerzy i boye ganiali tam i z powrotem po schodach, obudzono wszystkich gości, telefonowano do żandarmerji.

Między gośćmi znów chodził wielkiemi krokami tęgi pan w odpiętej kamizelce i wykrzykiwał śród szlochów już zupełnie bezmyślnie drogie imię: „Henrjetta! Henrjetta!“ W międzyczasie przebudziły się obie dziewczynki i wychylone przez okno w nocnych koszulkach, nawoływały matkę — ojciec pobiegł na górę, aby je uspokoić.

A potem zdarzyła się rzecz straszliwa ... — poprostu nie do odtworzenia — nie znam słów, ani obrazu, który zdołałby z równą mocą oddać tragizm tego wrażenia. Jęcząc, zeszedł ze schodów zażywny tęgi pan o wyrazie twarzy znużonym, i gniewnym.

— „Niech pan przywoła wszystkich“ — rzekł do szefa personelu — „proszę odwołać ludzi. Wszystko jest zbędne. Moja żona mnie opuściła.“

W zachowaniu tego śmiertelnie dotkniętego człowieka była wielka moc charakteru, było niepospolite wprost opanowanie wobec ludzi, którzy stłoczyli się z ciekawością wokół niego, a teraz nagle odsunęli się ze strachem, ze wstydem i zmieszaniem. Starczyło mu jeszcze tyle siły, aby nas ominąć, nie patrząc na nikogo, i zgasić światło w czytelni. Wtedy usłyszeliśmy, jak masywny korpus opadł głucho na fotel — a potem doszedł nas dziki zwierzęcy szloch, wydarty z piersi człowieka, który nigdy dotąd nie płakał. I ten pierwotny ból przemówił do każdego z nas swą ogłuszającą potęgą. Nikt — nawet kelner, nawet ciekawski gość nie ważył się na uśmiech lub też na wyrazy politowania. W milczeniu, jeden za drugim, wyślizgnęliśmy się do naszych pokojów, jakby zawstydzeni tą druzgocącą eksplozją uczuć. Zwolna w całym

domu światła pogasły, tylko pełno w nim było jeszcze szeptów i cichych szelestów — a w ciemnym pokoju łkał i szlochał głęboko osamotniony, powalony nieszczęściem człowiek.

Nietrudno zrozumieć, czemu takie zdarzenie, rozgrywające się w błyskawicznem tempie przed naszemi oczyma, tak bardzo wzburzyło beztroskich i znudzonych zazwyczaj kuracjuszy. Dyskusja wszakże, która z taką gwałtownością wybuchła przy naszym stole i dochodziła niemal do granic obrazy czynnej, powzięła ów wypadek jedynie za punkt wyjścia — w istocie zaś była zasadniczem roztrząsaniem dwóch wrogich sobie światopoglądów.

Zawdzięczając niedyskrecji pokojówki, która przeczytała ów list, rzucony przez męża w bezsilnej pasji na podłogę. — dowiedzieliśmy się niebawem wszyscy, że pani Henrjetta wyjechała nie sama, lecz w porozumieniu z młodym Francuzem (dla którego sympatja poczęła w szybkiem tempie stygnąć). Zresztą, byłoby to zupełnie zrozumiałe, że ta pomniejszego kalibru Madame Bovary przełożyła młodego ślicznego elegancika nad otyłego i trącącego prowincją małżonka. Zastanawiała jedynie okoliczność, że ani fabrykant, ani jego córki, ani też pani Henrjetta nigdy przedtem nie widziały tego lowelasa na oczy. A więc dwugodzinna rozmowa na tarasie i godzina czarnej kawy w ogrodzie wystarczyły, aby trzydziestotrzyletnia nieskazitelna kobieta mogła opuścić męża i dwoje dzieci i złożyć swój los na chybił trafił w ręce nieznanego eleganckiego młodzika. Towarzystwo nasze odrzucało jednomyślnie ten po-

wszechnie wiadomy stan rzeczy i interpretowało ich zachowanie się, jako chytry manewr i perfidne oszustwo ze strony dwojga kochanków: najpewniej, pani Henrjetta miała już od dłuższego czasu „liaison“ z młodym Francuzem, i sprytny ptaszek przybył tutaj umyślnie celem wspólnego omówienia szczegółów ucieczki. Jest bowiem nie do pomyślenia, aby przyzwoita kobieta poleciała za kimś po dwugodzinnej zaledwie znajomości, poprostu na pierwsze skinienie.

Przyszło mi na myśl, że mogę się ubawić, będąc innego zdania. Energicznie począłem bronić możliwości — co więcej: prawdopodobieństwa takiego przeżycia w duszy kobiety, którą nudne, pozbawione iluzyj małżeństwo postawiło w stan wewnętrznej gotowości na przyjęcie każdego wstrząsu. Dzięki nieoczekiwanej mej opozycji dyskusja wzmogła się jeszcze bardziej. Obydwa małżeństwa, zarówno włoskie jak niemieckie, oddaliły koncepcję „coup de foudre“ z obraźliwą poprostu wzgardą, jako głupstwo czy też niesmaczną fantazję, godną zeszytowego romansu.

Nie uważam za stosowne powtarzać w całej rozciągłości przebiegu gwałtownej sprzeczki w odstępie między zupą a puddingiem: tylko profesjonalni bywalcy „table d'hôte'u“ są ludźmi o wyszukanej inteligencji — w naszym zaś przypadkowym sporze argumenty były bądź banalne, bądź dobierane spiesznie i bez przemyślenia. Trudno jest także wyjaśnić, czemu dyskusja tak szybko przybrała formy niemal obelżywe. Przypuszczam, że źródło rozdrażnienia pochodziło stąd, iż obydwaj małżonkowie bezwiednie chcieli obronić

swoje własne żony przed możliwością podobnego niebezpieczeństwa. Niestety, nie potrafili swych replik ubrać w szczęśliwszą formę, niż w twierdzenie, że w podobny sposób może tylko mówić ten, kto osądza duszę kobiecą na podstawie przypadkowych i łatwo dostępnych zdobyczy z lat młodzieńczych. Już to mnie rozdrażniło — a cóż dopiero, gdy niemiecka dama swój wykład omaściła tonem nauczki, że kobiety dzielą się na dwie kategorje: prawdziwych kobiet i urodzonych nierządnic, i że według niej wiadomo, do jakiej kategorji należy zaliczyć M-me Henriette. Wtedy wyczerpała się moja cierpliwość, i ja ze swej strony stałem się agresywny. To odpieranie tak oczywistego faktu, że są godziny w życiu kobiety, kiedy jest oddana na pastwę tajemniczych sił, wbrew jej woli i wiedzy — było ukrywaniem obawy przed własnemi instynktami, przed demoniczną mocą natury. Niektórym ludziom sprawia przyjemność, że we własnych oczach uchodzą za bardziej czystych, bardziej silnych i obyczajnych, niż ci „nietrudni do uwiedzenia". Ja sam osobiście uważam, że kobieta uczciwiej postępuje, idąc za instynktem i namiętnością, niż — jak to jest w zwyczaju — zdradzając męża w jego ramionach, lecz z zamkniętemi oczyma. Tak też w przybliżeniu powiedziałem i im bardziej inni napadali na biedną panią Henrjettę, tem namiętniej jej broniłem (szczerze mówiąc, w obronie szedłem dużo dalej po za własne przekonania). Zapał ten podziałał na oba małżeństwa, jak zimny prysznic. Razem tworzyli mało zgrany kwartet, lecz do tego stopnia zawzięty na mnie, że

stary jowialny Duńczyk, który zasiadał, jak sędzia na match'u footbal'owym ze stopperem w ręce, od czasu do czasu musiał pukać w stół: „Gentleman, please.“ Ale to pomagało tylko na chwilę. Już po raz trzeci zrywał się jeden z panów, czerwony jak burak ze złości, z trudem uspakajany przez żonę — krótko mówiąc, jeszcze kilka minut takiej dyskusji zakończyłoby się rękoczynem, gdyby nagle Mrs. C. nie wylała łagodzącej oliwy na spienione fale burzliwej rozmowy.

Mrs. C., siwa wytworna Angielka, piastowała honorową prezydenturę naszego stołu. Wyprostowana na krześle, zwracała się do każdego z jednakową uprzejmością; przysłuchiwała się w milczeniu, zdradzając przytem miłe zainteresowanie: cudowna powściągliwość i spokój promieniowały z jej arystokratycznego obejścia. Trzymała się od wszystkich poniekąd zdaleka, umiejąc przytem okazać każdemu z osobna taktowną grzeczność. Przeważnie siadywała z książką w ogrodzie, niekiedy grała na fortepianie, rzadziej można ją było widzieć w towarzystwie, wśród intensywnej rozmowy. Ledwo ją dostrzegano — a przecież miała jakąś dziwną władzę nad nami. I gdy teraz po raz pierwszy zabrała głos w naszej dyskusji wszyscy jednocześnie odczuliśmy zbyt pewne zażenowanie, żeśmy się zachowywali zbyt głośno i nieodpowiednio.

Niemiec podniósł się od stołu, lecz po chwili wrócił. Mrs. C. wyzyskała tę przykrą pauzę. Niespodzianie podniosła jasne szare oczy, spojrzała na mnie i podjęła temat rozpoczęty, prawie rzeczowym tonem:

— A więc pan uważa — jeśli dobrzem pana zrozumiała — że pani Henrjetta... że każda kobieta może się niewinnie zaplątać w jakąś niespodzianą przygodę — że bywają postępki, które przedtem sama uważała za niemożliwe i że trudno ją czynić za nieodpowiedzialną?“

— „Bezwarunkowo tak sądzę, łaskawa pani.“

— „W takim razie każde osądzenie moralności byłoby pozbawione sensu, a wszelkie wykroczenie przeciw dobrym obyczajom usankcjonowane. Jeżeli pan przyjmuje, że to, co Francuzi nazywają „crime passionell“, wogóle „crime“ nie jest, to poco istnieje jakiś wymiar sprawiedliwości? Przecież nie wiele trzeba dobrej woli — a pan ma zadziwiająco dużo dobrej woli“ — dodała z lekkim uśmiechem — „aby odnaleźć w każdym występku jakąś namiętność i uniewinnić gwoli tej namiętności.“

Ten jasny i pogodny ton jej słów bardzo mnie mile dotknął, i mimowoli przejmując jej rzeczowość w dyskusji, odpowiedziałem, napoły żartem, napoły serjo:

— „Prawo państwowe rozstrzyga w tych sprawach napewno surowiej, niż ja. Na prawie ciąży obowązek bezlitosnego przestrzegania powszechnych obyczajów i umów: stąd też częściej musi skazywać, niż uniewinniać. Ja zaś, jako osoba prywatna, nie widzę powodu, dla którego miałbym wziąć na siebie rolę prokuratora: przekładam nad nią powołanie obrońcy. Osobiście sprawia mi więcej przyjemności rozumieć, niż ich osądzać.“

Mrs. C. patrzyła mi przez pewien czas prosto w oczy jasnemi szaremi oczyma i zwlekała z od-

powiedzią. Już obawiałem się, że mnie nie zrozumiała i byłem gotów przetłómaczyć na angielski wszystko, co powiedziałem. Lecz ona z dziwną powagą, jak na egzaminie, zadawała mi dalsze pytania:

— „Czy nie uważa pan tego za brzydkie i godne potępienia, że żona porzuca męża i dwoje dzieci i ucieka z obcym człowiekiem, o którym nawet nie wie, czy wart jest jej miłości? Czy istotnie usprawiedliwia pan podobnie lekkomyślne zachowanie się kobiety, która przecież nie zalicza się do młodziutkich i która chociażby w imię swych dzieci winna się nauczyć poszanowania własnej godności?“

— „Powtarzam więc, łaskawa pani,“ — obstawałem przy swojem, — „że w tym wypadku uchylam się od wszelkiego sądu czy wyroku. Pani mogę przcież wyznać spokojnie, że lekko przesoliłem — ta biedna pani Henrietta z pewnością nie jest żadną bohaterką, ani też jakąś awanturnicą — a już najmniej — „une grande amoureuse“. O tyle, ile ją znam, wydaje mi się przeciętną słabą jednostką, dla której mam trochę szacunku za to, że odważnie poszła za głosem woli, ale stokroć więcej odczuwam dla niej politowania, gdyż nie dziś, to jutro — będzie się czuła głęboko nieszczęśliwą.

Postąpiła może głupio, zbyt skwapliwie — ale napewno nie podle, ale napewno nie nikczemnie — dlatego też tak przedtem jak i teraz odbieram każdemu prawo potępiania tej biednej nieszczęśliwej kobiety.“

— „A pan sam ma dla niej w dalszym ciągu szacunek i poważanie? Czy nie widzi pan różnicy

między tą szanowną kobietą, z którą pan onegdaj przebywał — a tą inną, która wczoraj uciekła z jakimś obcym przybyszem?"

— „Żadnej różnicy."

— „Is that so?"

Bezwiednie zaczęła mówić po angielsku; temat rozmowy zdawał się osobliwie ją zajmować. I snów po chwili zadumy podniosła na mnie pytające jasne oczy.

— „A gdyby pan jutro spotkał Madame Henrjette, powiedzmy w Nicei, u boku tego młodego człowieka — czy byłby się pan jej ukłonił?"

— „Rzecz prosta."

— „I rozmawiał z nią?"

— „Rozumie się."

— „A gdyby... gdyby pan był żonaty, czy przedstawiłby pan taką kobietę swej żonie, zupełnie tak samo, jakby się nic nie zdarzyło?"

— „No, oczywiście."

— „Would you realy?" — rzekła znów po angielsku, pełna niedowierzającego zdziwienia.

— „Surely I would," — odpowiedziałem mimowoli też po angielsku.

Mrs. C. milczała. Zdawało się, że rozmyśla z wielkiem natężeniem. Nagle rzekła, spoglądając na mnie, zdumiona własną odwagę:

— „I don't know, if I would. Perhaps I might do it also."

I z ową nieopisaną pewnością, z jaką tylko Anglicy potrafią skończyć rozmowę, — ani gwałtownie, ani niegrzecznie — podała mi dłoń. Dzięki jej wpływowi znów powrócił spokój, i w głębi duszy wszyscy byliśmy jej wdzięczni, że

mogliśmy — my, wrogowie z przed pół godziny — pożegnać się ze względną uprzejmością, i że niebezpieczne napięcie odprężyło się znów dzięki kilku lekkim żarcikom.

* * *

Chociaż nasza dyskusja zakończyła się w tonie napozór rycerskim — jednak został cień pewnej obcości między moimi przeciwnikami a mną. Niemiecka para trzymała się z pewną rezerwą, włoska natomiast nie omieszkała rozpytywać mię żartobliwie, czy nie miałem wiadomości od „cara signora Henrjetta.“ Mimo pozornej uprzejmości form towarzyskich, zdaje się, że lojalna i nieprzymuszona wesołość naszego stołu została nieodwołalnie zakłócona.

Tem wyraźniej odczuwałem ironiczny chłód moich przeciwników, że jaskrawo kontrastował ze szczególną uprzejmością, jaką mnie darzyła Mrs. C. od czasu owej dyskusji. Rzadko zazwyczaj można ją było nakłonić do rozmowy poza obrębem „table d'hôte“. Co do mnie zaś, sama jakby szukała sposobności zagadania . . . — powiedziałbym raczej: wyróżnienia mnie, gdyż przy jej wytwornej powściągliwości, prywatna rozmowa była dowodem szczególnych faworów. Aby być sprawiedliwym, muszę dodać, że do tego stopnia wyzyskiwała każdą sposobność mówienia ze mną, że mogłoby mi to służyć za podstawę do dziwnych i zarozumiałych przypuszczeń, gdyby w grę nie wchodziła osoba siwej starszej pani. Ilekroć rozmawialiśmy, tyle razy pogawędka nasza niezmiennie wracała do tego samego tematu, to jest do Madame Henriette. Zdaje

się, że sprawiało jej jakąś utajoną przyjemność doszukiwanie się winy w niepohamowaniu i lekkomyślności tamtej kobiety. Z drugiej strony wszakże sprawiała jej jakby wielką radość niezłomna, niczem niezakłócona sympatja moja dla owej kobiety, wątłej i delikatnej. Zawsze i stale rozmowy nasze szły w tym kierunku i wkońcu nie wiedziałem już, co mam sądzić o tem obstawaniu wytrwałem, dziwnem i już prawie nużącem.

Tak minęło pięć czy sześć dni, a ja wciąż nie wiedziałem, czemu Mrs. C. do tych rozmów przykłada taką wagę. Któregoś dnia podczas przechadzki napomknąłem, że mam zamiar za dwa dni wyjechać. Zachmurzyła się wtedy jej twarz, tak pogodna zazwyczaj, pociemniały oczy koloru morza:

— „Jaka szkoda! Miałabym z panem tyle jeszcze spraw do omówienia!"

I od tej chwili począwszy, zdradzała nieustanny niepokój, była zaabsorbowana myślą, do której ciągle powracała. Wkońcu, poczęło jej to ciążyć widocznie, gdyż nagle po długiem milczeniu, wyciągnęła do mnie rękę:

— „Widzę, że nie potrafię powiedzieć tego, cobym chciała. Spróbuję więc napisać do pana."

I szybciej niż zwykle wróciła do domu.

Rzeczywiście, przed samą kolacją znalazłem u siebie w pokoju list, kreślony jej energicznem pismem. Niestety, obeszłem się z dokumentami mej młodości dość lekkomyślnie... Dlatego też nie mogę przytoczyć dosłownie treści tego listu: zawierał pytanie, czy autorka może mi opowiedzieć o pewnem zdarzeniu. Ten epizod miał miejsce już tak dawno — pisała — że właściwie jakby nie należał już do

jej życia. Fakt, że wyjeżdżam po dwóch dniach, ułatwia jej decyzję powiedzenia mi tego, co ją już od dwudziestu lat trapi i gnębi. Gdybym nie poczytywał tego za naprzykrzanie się, prosiłaby mnie o godzinkę rozmowy.

Ów list pisany po angielsku, oczarował mię zupełnie. Odpowiedzieć nań nie było łatwo, podarłem ze trzy bruljony, nim nadałem mu treść następującą:

„Wielki to dla mnie zaszczyt, że łaskawa Pani zechciała mię obdarzyć swem zaufaniem. Ponieważ żąda Pani ode mnie szczerości, nie będę jej skąpił. Rzecz prosta, nie ośmieliłbym się prosić, aby Pani opowiedziała mi więcej, niż sama uzna za właściwe. Lecz proszę, by to, co usłyszę, było opowiedziane najzgodniej z prawdą. Raz jeszcze powtarzam: niech mi Pani wierzy, że pokładane we mnie zaufanie uważam za najwyższy dla siebie honor.“

Kartka ta wieczorem powędrowała do pokoju Mrs. C.; następnego ranka otrzymałem odpowiedź:

„Ma pan zupełną słuszność: prawda połowiczna nie ma żadnej wartości. Zrobię wszystko co mogę — aby nic wobec siebie ani wobec pana nie zataić. Dziś po obiedzie czekam na pana u siebie. Gdy się ma lat sześćdziesiąt siedem, niema obawy przed mylnem zrozumieniem intencji. A w parku, lub w bliskiem sąsiedztwie ludzi nie potrafię mówić. Proszę mi wierzyć, że niełatwo przyszło mi to postanowienie.“

W ciągu dnia widzieliśmy się jeszcze przy obiedzie, prowadziliśmy grzeczną konwersację na obojętne tematy. Lecz potem, gdyśmy się spotkali w parku, wyminęła mnie z wyraźnem zakłopota-

niem. Doznałem wzruszającego a zarazem żenującego uczucia, widząc, jak siwa dama szukała przedemną ucieczki wśród pinij z dziewczęcem niemal zawstydzeniem.

Wieczorem zapukałem do drzwi o wyznaczonej godzinie. Pokój tonął w półmroku, tylko lampa na stole rzucała żółty krąg wokoło. Mrs. C. podeszła do mnie bez uprzedniego zaambarasowania, wskazała mi fotel, a sama usiadła naprzeciwko mnie. Czułem, że każdy jej ruch był z góry obmyślony w obawie przed przykrą, krępującą pauzą. A jednak ta pauza nastąpiła i ja nie odważyłem się jej przerwać, rozumiejąc, że w duszy Mr. C. toczy się walka.

Z salonu na dole dobiegały dźwięki walca, wsłuchiwałem się więc, aby nie odczuwać tak bardzo przytłaczającego ciężaru milczenia. I jej widocznie ciążyć poczęła ta cisza, gdyż nagle zaczęła mówić:

— „Tylko na pierwsze słowo trudno się zdobyć. Od dwóch dni przygotowuję się do tej chwili, chcę być zupełnie szczera i otwarta — może mi się to uda. Zapewnie pan nie pojmuje, czemu chcę opowiedzieć to wszystko właśnie panu, obcemu człowiekowi. Tak się wszakże dzieje, że niema dnia ani godziny, w której nie pamiętałabym o tamtem zdarzeniu, w którem, jak w soczewce załamało się całe moje życie. Opowiadanie, które pan usłyszy, działo się w ramach dwudziestu czterech godzin, dotyczyło jedynego dnia z pośród sześćdziesięciu siedmiu lat mego życia — a jednak wiem, powtarzałam sobie z częstością, dochodzącą do obłędu, jakie skutki może pociągnąć za sobą jedna nieopatrzna chwila. Lecz nie można się pozbyć tego, czemu nadajemy

niezbyt ważkie określenie: to jest s u m i e n i a. Gdy słyszałam, jak pan rozsądnie mówił w sprawie pani Henrjetty, przyszło mi na myśl, że może się wreszcie pozbędę tych ustawicznych i bezsensownych samooskarżeń, jeśli uda mi się z jakimś człowiekiem pomówić o tym jedynym dniu z mojego życia. Gdybym była wyznania katolickiego, a nie anglikańskiego, szukałabym ulgi w spowiedzi: Dziś więc wobec pana przedsięwzięłam tę próbę mówienia otwarcie, a właściwie będę mówić sama ze sobą. Wiem, że to wszystko jest bardzo dziwne — ale pan przecież przyjął moją propozycję bez wahania i za to bardzo panu dziękuję.

Mówiłam już przed chwilą, że chcę panu opowiedzieć tylko o jednym dniu z mojego życia. Wszystko inne wydaje mi się nudne i bez znaczenia. Przebieg mej młodości do lat dwudziestu dwóch nie wykracza po za przeciętność. Rodzice moi byli to zamożni właściciele ziemscy, posiadaliśmy wielkie fabryki i liczne dzierżawy, część roku spędzaliśmy w naszych posiadłościach, a podczs sezonu jeździliśmy do Londynu. Mając lat osiemnaście, poznałam w pewnem towarzystwie mego przyszłego męża. Był to drugi z kolei syn w znanej rodzinie R., służył przez dziesięć lat w Indjach. Pobraliśmy się prędko i dalej prowadziliśmy beztroskie życie naszych sfer: trzy miesiące w Londynie, trzy miesiące w naszych dobrach, a przez resztę czasu podróżowaliśmy po Włoszech, Hiszpanji i Francji. Najlżejszy cień nie zamącił szczęścia małżeńskiego, a nasi dwaj chłopcy dziś są już dorośli. Mąż mój umarł nagle, gdy miałam lat czterdzieści. Podczas pobytu w krajach podwzrotnikowych nabawił się był cierpienia

wątroby: osierocił mnie po upływie dwóch okropnych tygodni. Starszy mój syn był już wtedy na służbie, młodszy w College — przez jedną noc byłam pozostawiona samej sobie i ta samotność była dla mnie najstraszniejszą męką. Pozostawanie w pustym domu, gdzie każdy przedmiot przypominał tragiczną stratę — wydawało mi się niemożliwe. Postanowiłam więc wiele podróżować, do czasu ożenku moich synów.

W głębi duszy uważałam własne życie za zbyteczne i pobawione sensu istnienia. Mąż mój, z którym zwykłam była przez dwadzieścia trzy lata dzielić każdą myśl i każdą chwilę, nie żył już, dzieci nie odczuwały mego braku, przeciwnie — obawiałam się, że zasmucę ich młode lata swem przygnębieniem i melancholją — dla siebie samej nie pragnęłam już niczego. Z początku przeniosłam się do Paryża, z nudów chodziłam do muzeów lub po magazynach. Ale miasto pozostało mi obce, ludzi unikałam, gdyż nie mogłam wytrzymać ich spojrzeń, uprzejmie współczujących z moją żałobą. Jak minęły te miesiące głuchego i ślepego koczowania, dziś już nie wiem: wiem tylko tyle, że pragnęłam umrzeć, nie miałam dość sił jednak, aby utęsknioną śmierć przyśpieszyć.

W drugim roku żałoby, a więc w czterdziestym drugim roku życia, w marcu pojechałam do Monte Carlo. Szczerze mówiąc, udałam się tam dla zabicia nudy, dla nasycenia jakąś podnietą wzrastającej z dnia na dzień pustki wewnętrznej. Im mniej miałam własnych przeżyć, tem bardziej gnało mnie w skłębiony wir życia: niepokój innych ludzi działał na nerwy, jak teatr lub muzyka.

Dlatego też chodziłam często do kasyna. Czytanie z ludzkich twarzy bądź szczęścia, bądź przerażenia sprawiało mi podniecającą przyjemność. Przytem mąż mój, nie będąc zresztą nigdy lekkomyślnym, chętnie uczęszczał do kasyna, a ja przechowywałam pewien pietyzm dla jego przyzwyczajeń. I tam właśnie rozpoczęły się owe dwadzieścia cztery godziny, bardziej podniecające, niż gra w ruletkę, godziny, pamiętne przez długie lata.

Obiad spożyłyśmy wspólnie z krewną moją, księżną M., po kolacji zaś czułam się jeszcze świeżo i nie miałam chęci iść spać. Poszłam więc do kasyna, wędrowałam między stolikami, przyglądając się grającym w szczególny sposób. Tego „szczególnego sposobu" nauczył mię zmarły mój mąż, gdym się skarżyła, że mię przykrzy gapienie się na zawsze te same twarze. Były tam bądź stare zasuszone kobiety, tkwiące godzinami w fotelach, nim zaryzykowały jeden żeton, bądź z szumowin całego świata zebrani fachowcy ruletki, bądź kokoty, owa zbieranina przypadkowa z pod ciemnej gwiazdy, która — pan to wie równie dobrze, jak ja — jest o wiele mniej malownicza i romantyczna, niż to jest opisane w nędznych powieściach, podających to towarzystwo za śmietankę i fleur d'élégance Europy. Przed dwudziestu laty kasyno było bardziej przyciągające niż dzisiaj: pieniądze krążyły w gotówce, szeleściły banknoty, połyskiwały złote napoleony, pyszniły się zarozumiale pięciofrankówki. Dziś natomiast w pompatycznym pałacu gry baedeckerowska publiczność apatycznie przerzuca sztony, bez barwy, bez charakteru. Mąż mój, który uprawiał namiętnie chiromancję, wskazał mi nowy sposób przyglądania

się, istotnie bardziej interesujący, niż gnuśne stanie w jednem miejscu: mianowicie, obserwację stołu i krzątających się po nim ludzkich rąk. Nie wiem, czy zdarzyło się panu kiedyś mieć przed oczyma zielony blat stołu, nic więcej, tylko ten zielony kwadrat, gdzie kulka zatacza się, jak pijana od jednej cyfry do drugiej, gdzie kłębią się strzępki papieru, krągłe sztuki złota i srebra spadają, jak siejba, a krupier sierpowatym ruchem zgarnia je do siebie lub wydziela szczęśliwcowi część, niby snopek. Z perspektywy podobnego patrzenia jedynie ręce są w nieustannym ruchu — ręce czekające, ruchliwe, białe nad zielonem suknem, wynurzające się z ukrycia coraz to innego rękawa, gotowe do skoku, jak zwierz drapieżny, każda o innym kształcie i o innej barwie — niektóre strojne w brzęczące brasolety i pierścienie, inne znów zupełnie nagie, te kosmate, jak leśne zwierzęta, tamte znów wilgotne, skręcone, jak węgorz — wszystkie w napięciu, wszystkie drżące w potwornej niecierpliwości. Mimowoli zawsze przypominał mi się wtedy plac wyścigowy, gdzie się z trudem kiełzna konie, aby przed czasem nie ruszyły galopem startu: tak samo drżą, tak samo się wspinają, tak samo stają dęba. Można o wszystkiem się dowiedzieć z ruchów tych rąk, ze sposobu, w jaki czekają, w jaki biorą i jak zatrzymują: chciwcy chwytają jak szponami, marnotrawcy biorą lekko, wyrachowani mają spokojną dłoń, zrozpatrzeni — drżącą. Setki charakterów przejawiają się z błyskawiczną szybkością w tym geście zgarniania pieniędzy. Że cały człowiek wyraża się podczas gry hazardownej, znana to prawda. Ja wszakże dodam, że największymi zdrajcami są jego

własne ręce. Nietrudno jest opanować wyraz twarzy, oblec ją w maskę pozornej impassibilité. Zaciśnięte wargi nic nie powiedzą o wewnętrznem wzburzeniu, wyraz oczu przemilczy niepokój — przez wysiłek można osiągnąć sztuczną, wytworną obojętność. I właśnie dlatego, że uwaga grających zajęta jest maskowaniem twarzy, zapominają o wyrazie rąk. A może nie wiedzą, że są tacy ludzie, co potrafią z rąk odczytać to wszystko, co rozmyślna obojętność pragnie przemilczeć. Jest bowiem chwila, kiedy napozór uśpione palce budzą się z osiągniętego mozołem spokoju: kiedy zatrzymuje się kulka w ruletcie, a krupier wywołuje głośno cyfrę — wtedy każda z tych rąk wykonywa jakiś indywidualny, sobie tylko właściwy ruch. I jeśli ktoś ma podobne upodobania, jak mój małżonek, to na tej arenie rąk ujrzy widowisko, bardziej interesujące, niż w teatrze. Nie potrafię panu opisać, jak różnorodne i zależne od temperamentu bywają ich gesty. Są ręce, jak dzikie bestje, o kosmatych zakrzywionych szponach, są nerwowe i drżące, o sinych paznogciach, które się ledwo ważą tknąć pieniędzy, szlachetne i nikczemne, brutalne i nieśmiałe, przemyślne i naiwne — ale każda z tych rąk ma swój wyraz, jest symbolem jakiegoś życia — z wyjątkiem pięciu czy sześciu par rąk, należących do krupierów. To są maszyny, sprawnie funkcjonujące, o niewzruszonej precyzji, jak stalowe automaty. Ale nawet te trzeźwe dłonie mają swoisty wyraz: wyglądają, że tak powiem, jakby były w innych uniformach, jak policjanci, stojący na straży pośród ludzkiego tłumu i zgiełku.

Miewam przytem osobistą przyjemność w zapoznawaniu się z przyzwyczajeniami i namiętnością niektórych rąk. Po upływie kilku dni miałam już prywatnych znajomych i dzieliłam ręce, jak ludzi, na sympatyczne i antypatyczne. Niektóre ręce wydawały mi się wprost wstrętne i nieprzystojne w swej żądzy, odwracałam od nich oczy, jak od czegoś nieprzyzwoitego. Każda nowa para rąk zaogniała mą ciekawość. Zapominałam często spojrzeć na twarze, zimne maski towarzyskie nad sztywnym gorsem smokingowym czy też nad obnażoną szyją.

Weszłam więc tego wieczora do sali gry, minęłam dwa stoły, już przepełnione, i przygotowałam kilka monet, aby zasiąść do trzeciego stołu. Nagle... w owej charakterystycznej minucie naprężonej ciszy, która poprzedza zatrzymanie się kulki, już śmiertelnie zmęczonej — nagle usłyszałam jakiś dziwny szmer: trzask i chrzęst jakby wywichniętych stawów. Stanęłam mimowoli. I wtedy ujrzałam — doprawdy, ze strachem! — parę rąk, jakich nigdy dotąd nie widziałam: obie ręce — prawa i lewa — wpijały się w siebie z taką kurczową zaciętością, że stawy palców chrzęstnęły sucho, jak miażdżony orzech. Były to ręce rzadkiej piękności — niezwykle długie, niezwykle wązkie, o mięśniach mocno napiętych, — bardzo białe, o paznogciach zaokrąglonych i różowych u nasady.

Przez cały wieczór spoglądałam na owe ręce, przedziwnie urocze, jedyne, niepospolite ręce. Przerażał mię i zadziwiał ich wyraz: obłędna pasja, urzekająca namiętność malowała się w tem kurczowem, nierozerwalnem ich zwarciu. W wyrazie tych rąk mieściła się dusza całego człowieka.

A teraz — gdy kulka zatrzymała się nagle z suchym trzaskiem i krupier wywołał cyfrę — w tej jednej sekundzie ręce rozluźniły się, opadły, jak dwa jelenie, ugodzone tą samą kulą. Opadły obie razem, doprawdy śmiertelnie chore, opadły z tak plastycznym wyrazem rozczarowania, słabości, porażenia i śmierci, że nie potrafię tego oddać słowami. Nigdy dotąd i nigdy potem nie widziałam rąk tak wymownych: ze wszystkich por — zda się — tryskała namiętność, a każdy muskuł był jak żywe usta. Przez chwilę spoczywały na zielonem suknie, martwe i zgaszone, jak wątłe meduzy, rzucone przez odpływ na piaski. Później prawa ręka poczęła się z mozołem prostować, drgnęła, zachybotała, końce palców poderwały się, i kołując, chwyciły nerwowo żeton, który dotąd toczył się niezdecydowanie pomiędzy wielkim a wskazującym palcem. I nagle śpiesznym, kocim ruchem, cała ręka wygięła się jak pantera i cisnęła — nie, miotnęła raczej — stufrankowy żeton na środek czarnego pola. Niezwłocznie, jak za sygnałem, podniecenie udzieliło się bezwładnej jeszcze i ospałej lewej ręce. Skradając się, podpełzła jakby do swej bliźniaczki, już zmęczonej poprzednim ruchem — i obie spoczęły koło siebie, drżąc, dygocąc, szczękając bezgłośnie w stawach, jak szczękają zęby w febrze — nie, nie widziałam nigdy podobnie wymownych rąk, ani wzburzenia i napięcia w podobnie spazmatycznej formie.

Już nic nie istniało dla mnie w tej pięknie sklepionej sali, szum i gwar ludzki, jarmarczne wykrzykiwania krupiera, nerwowe miotanie się kulki po okrągłej klatce — wszystkie te migotliwe, hałaśli-

we, różnorodne wrażenia znikły z mej świadomości, urzeczonej czarem tych rąk, drżących, czekających, zalęknioych, cudownie smukłych rąk.

Nie mogłam się dłużej opanować: musiałam zobaczyć twarz tego człowieka, do którego należały niebywałe czarodziejskie dłonie. Z prawdziwym lękiem — któżby się nie bał takich rąk? — oczy moje poczęły się błąkać zwolna wzdłuż rękawów, wzwyż, aż po szczupłe barki. I znów wstrząsnął mną dreszcz, gdyż twarz ta była niemniej wymowna niż ręce: nieokiełzana, fantastyczna bujność temperamentu, przeraźliwa zaciętość — obok delikatnej, prawie niewieściej urody. Twarz ta była jakby wykrzywioną nerwowo maską. Oczy zaś patrzyły nieruchomo, wbite w jeden punkt. Czarna, szklista źrenica, okrągła, jak owa mahoniowa kulka, co w bezmyślnem szaleństwie kołowała i toczyła się po kasetce rulety — patrzyła drętwo z pod szeroko otwartych powiek. Nie, nigdy nie widziałam równie fascynującej twarzy. Należała do młodego człowieka, lat około dwudziestu czterech. Owal twarzy był delikatny, nieco podługowaty, wyraz zaś (tak jak i ręce) niezupełnie męski, raczej chłopięcy — ale to dopiero później spostrzegłam, gdyż w owej chwili na twarzy tej malowała się jedynie wściekła żądza.

Wązkie wpółotwarte usta odsłaniały zęby do połowy: z odległości dziesięciu kroków można było spostrzec, jak trzęsły się i szczękały. Promień włosów jasno-blond przylgnął do zroszonego czoła, nozdrza falowały nerwowo, jakby pod skórą przebiegał dreszcz. Głowa chyliła się coraz bardziej ku przodowi, chcąc jakby brać udział w tem wirowaniu

kulki. A w skurczu rąk, w ich mocnem zwarciu był jakby jedyny punkt równowagi, jakby centrum chwiejącego się na wszystkie strony ciała.

— Nigdy dotąd — znów muszę powtórzyć, — nie widziałam w twarzy ludzkiej takiej namiętności, otwartej, zwierzęcej, bezwstydnie nagiej namiętności — i byłam podobnie przykuta i oczarowana tą twarzą, jak jego spojrzenie było oczarowane i przykute do skoków i drgawek kręcącej się kulki. Nic nie spostrzegałam w tej sali, prócz twarzy i ruchów tego człowieka. W pewnej chwili jakby ostre światło trysnęło z jego oczu — splątana w jeden kłąb para rąk rozwarła się i drżące palce łapczywie sięgnęły po dwadzieścia złotych monet wygranej, podsunięte przez krupiera. W owej chwili twarz mu się rozświetliła, zmarszczki znikły, oczy błysnęły, zgarbiony korpus wyprostował się lekko i zgrabnie — rozsiadł się swobodnie, uniesiony poczuciem tryumfu, a palce jego poczęły miłośnie i z pychą igrać krągłemi monetami, prztykały i pobrzękiwały niemi w sposób nader zabawny. Potem znów odwrócił niespodzianie twarz o rozdętych nozdrzach, jak chart, co wietrzy zdobycz, i cisnął znów grudkę monet na jeden z kwadratów. Znów rozpoczęło się czatujące wyczekiwanie. Znów zadrżały nerwowo wargi, jak przeszyte prądem elektrycznym, znów spazmatycznie ścisnęły się dłonie, znów po chłopięcej twarzy przemknął cień łakomej nadziei... aż wytężenie przeszło w rozczarowanie... W ciągu jednej sekundy młodzieńcza twarz zwiędła, postarzała się, oczy przygasły i zmętniały — i to wszystko dlatego, że kulka nie padła na wymarzoną cyfrę!...

Widocznie przegrał: przez kilka sekund patrzył błędnym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc, co się stało. Lecz już przy pierwszem zachęcającem wezwaniu krupiera znów palce wyrwały z grudki kilka sztuk złota. Ale czynił to już bez uprzedniej pewności siebie — postawił monety na jeden kwadrat, po namyśle na drugi, a wreszcie, gdy kulka już poczynała się toczyć, dorzucił jeszcze kilka zmiętoszonych banknotów.

To denerwujące czeredowanie się przegranej i wygranej trwało jeszcze bez mała godzinę. Przez ten cały czas nie odrywałam oczu na mgnienie od zmieniającej się co chwila twarzy, o wyrazie kolejnych namiętności. Nie odrywałam oczu szczególnie od magji tych rąk, które plastycznie oddawały zmienną i bogatą skalę uczuć. Nigdy nie obserwowałam z takiem zainteresowaniem mimiki aktora, z jakiem patrzyłam na przebiegające po twarzy dziwnego gracza światła i cienie, barwy i wrażenia. Nigdy nie emocjonowała mię tak jeszcze czyjaś gra. Gdyby mię kto widział wtedy, sądziłby, że jestem w odrętwieniu pod hypnozą. Istotnie, coś ze snu hypnotycznego miał w sobie ów stan zupełnego odurzenia — poprostu nie mogłam stąd odejść, otaczał mię jakiś bezkształtny żółty tuman, w którym zginęło wszystko, ludzie i światła — a istniała tylko ta jedyna twarz, płomień pośród płomieni. Nie widziałam, nie słyszałam, nie czułam nic: wokół mnie czyjeś ręce sięgały po pieniądze jak macki, kulka miotała się, głos krupiera nawoływał — wszystko to było jak we śnie. I nie miałam potrzeby spoglądać na ruletkę, aby wiedzieć, czy kulka toczy się czy stoi, czy wskazuje „rouge“ czy „noir“: wszystkie

fazy gry, wygrana czy niepowodzenie, jak rysy ogniste znaczyły się na nerwowej roznamiętnionej twarzy nieznajomego.

A potem przyszedł ten moment, który wisiał w powietrzu jak grom i którego, jak gromu się obawiałam. Znów kulka potoczyła się drobnym, sypkim klekotem i stanęła w zagłębieniu — owa wstrząsająca sekunda wyczekiwania, aż głos krupiera obwieścił czekającym z zatajonym oddechem:

— Tym razem — zero!

I już spiesznie grabki ruszyły po łup, zgarniając szeleszczące papierki i brzęczące monety. Ręce wykonały jakiś dziwnie niezborny, dziwnie lękliwy ruch: chciały pochwycić coś, czego niema — a potem znów opadły zniechęcone i bezsilne na stół. Po chwili jednak znów ożyły, gorączkowo poczęły biegać po całem ciele, przebiegały je, wspinały się z gracją dzikich kotów — tu, tam, wyżej, niżej, szperały po wszystkich kieszeniach i kieszonkach, chcąc wysupłać ostatni zabłąkany w nich grosz. Lecz wróciły próżne z tej wędrówki... aby znów rozpocząć po chwili bezużyteczne poszukiwania. Krążek rulety znów wirował, monety brzęczały, szurano krzesłami, gra szła dalej. Przejął mną dreszcz: wydawało mi się, że to moje palce tak rozpaczliwie błądzą i ryją się w zakamarkach i skrytkach ubrania.

Nagle młody człowiek wstał. Podniósł się gwałtownie, jak ktoś, komu się niespodzianie robi niedobrze i obawia się uduszenia. Krzesło upadło z łoskotem. Sąsiedzi obejrzeli się za nim ze zdziwieniem, ale on ich nie zauważył. Nie patrząc na nikogo, odszedł od stołu.

Stałam, jak skamieniała. Nie było kwestji, dokąd ten człowiek spieszy: w objęcia śmierci. Kto wstaje w ten sposób, ten nie wraca do hotelu, nie wybiera się do lokalu, ani do kobiety, ani do wagonu — nie wraca do jakiejkolwiek formy życia; jedyne, co nań czeka — to bezdenna przepaść.

Od pierwszej chwili obawiałam się i od pierwszej chwili przeczuwałam, że w grę wchodzi wyższa stawka, niż wygrana lub przegrana. Człowiek ten ryzykował własne życie — jak błyskawica przeszyła mię myśl, że nad tą twarzą zawisło już czarne skrzydło śmierci. Tak jak przedtem jego emocja, tak i teraz rozprężenie wcieliło się jakby w moje ciało i krew. I coś poderwało mnie, musiałam iść za nim: choćbym nie chciała, same nogi mnie poniosły. Stało się to wbrew mej świadomości — nie patrząc na nikogo, nie wiedząc o niczem, jak błędna wybiegłam za nim na korytarz.

Oddźwierny podawał mu właśnie płaszcz. Ale tu opuściły go już siły — służący pomógł mu wdziać rękawy, jak sparaliżowanemu. Spostrzegłam, jak mechanicznie sięgnął do kieszonki po napiwek. Lecz znów palce szukały napróżno ... Wtedy przypomniał sobie widać wszystko od nowa, szepnął jakieś słówko w zakłopotaniu i potykając się, jak pijany, zeszedł ze schodów kasyna. Odźwierny spoglądał długo za nim z uśmiechem zrazu wzgardliwym, a potem już tylko wyrozumiałym ...

Widok to był tak wstrząsający, że przejął mnie wstyd i zażenowanie, że oglądam tak czyjąś rozpacz, jak na scenie teatru. I znów doznałam uczucia niezrozumiałej, powstrzymującej trwogi ...

Kazałam sobie podać okrycie, i nie myśląc o niczem, instynktownie, mechanicznie pobiegłam za tym człowiekiem w ciemność nocy.

* * *

Mrs. C. przerwała na chwilę swą opowieść. Dotychczas siedziała naprzeciwko mnie bez ruchu i mówiła, prawie nie zatrzymując się, z właściwym sobie spokojem, a przytem jak osoba, która starannie uporządkowała w pamięci kolejność wydarzeń. Teraz utknęła po raz pierwszy, wahała się przez chwilę, a potem zwróciła się do mnie:

— „Przyrzekłam sobie i panu," — rozpoczęła znów z lekkim niepokojem, — „że będę opowiadała wszystko z najdalej idącą szczerością. Ze swojej strony żądam natomiast, aby pan się odniósł do mojej szczerości z całkowitem zaufaniem i wiarą nie doszukiwał się niedopowiedzianych motywów. Muszę więc zaznaczyć, że chociaż wybiegłam za owym bankrutem na ulicę, to bynajmniej nie dlatego, żem była w nim zakochana. Miałam wówczas lat więcej niż czterdzieści, i od czasu śmierci mojego małżonka żaden mężczyzna nie zasłużył sobie nawet na uważniejsze spojrzenie. Te sprawy uważałam stanowczo za wykreślone z mojego życia. Muszę to powiedzieć zupełnie wyraźnie, gdyż inaczej nie zrozumie pan całej okropności następnych wydarzeń.

Trudno mi wprawdzie nazwać po imieniu uczucie, które mnie gwałtem ciągnęło do tego nieszczęśliwego chłopca: była tam i ciekawość i potworny strach — nie, raczej strach przed czemś potwornem, co jak chmura zawisło nad głową młodzieńca. Nie-

podobna takich doznań analizować — zbyt szybkie są i spontaniczne. Możliwe też, że poszłam za instynktownym gestem pomocy, który nakazuje zatrzymać obce dziecko, gdy biegnie pod automobil. Czyż można to wyjaśnić, czemu ludzie, którzy nie umieją pływać, rzucają się jednak na pomoc tonącym? Coś ciągnie wtedy z magiczną siłą i człowiek nie ma wprost czasu, aby się zastanowić nad niedorzecznością podobnej odwagi.

W ten właśnie sposób, bez namysłu i bez rozważań, wyszłam za nim z sali gry, a później podążyłam na ulicę.

Jestem przekonana, że ani pan ani nikt inny, nie mógłby się wyzbyć trwożnej ciekawości, gdyby nagle zobaczył dwudziestoczteroletniego młodzieńca, który szedł po ulicy zgarbiony i z wysiłkiem, jak starzec, a chwiał się, jak pijany. Gdy spostrzegł jakąś ławkę, siadł ociężale. Widząc ten ruch, znów doznałam uczucia grozy: tak bezwolnie pada tylko trup... Głowę miał przechyloną na bok, ręce zwisały wzdłuż ciała, w migotliwym półmroku latarni nietrudno go było wziąć za samobójcę. I wtedy — nie wiem, skąd się we mnie wzięła ta przeraźliwa wizja — stanął mi przed oczyma już jako samobójca... W tejże chwili zrodziła się we mnie pewność, że on niewątpliwie nosi rewolwer w kieszeni, i że jutro przechodnie na tej lub innej ławce znajdą jego ciało, z przestrzeloną skronią i krwią obryzgane. Jak kamień spadający nie zatrzyma się wprzódy, dopóki nie sięgnie dna przepaści — tak samo i ten człowiek nieodwołalnie musiał iść na dno. Bezwładny korpus był wyrazem głębokiej rozpaczy, rozpaczy bez ratunku...

Proszę sobie wyobrazić moją sytuację: stałam w odległości dwudziestu czy trzydziestu kroków od ławki i nie wiedziałam, co mam począć. Miotały mną sprzeczne uczucia: z jednej strony pchała mię chęć ulżenia, z drugiej powstrzymywało odziedziczone dobre wychowanie: jak tu przemówić do obcego człowieka, w dodatku na ulicy? Gazowe latarnie migotały chwiejnie, było już prawie po północy, zrzadka snuł się jakiś przechodzień po opustoszałym parku.

Kilka razy zbliżałam się do niego i znów się oddalałam. Wstyd mnie powstrzymywał, czy też strach instynktowny — a jednocześnie odczuwałam wyraźnie śmieszność i niedorzeczność tej sytuacji. I znów chciałam podejść — i znów chciałam iść... Sądzę, że pan mi uwierzy, gdy panu powiem, że stałam tak niezdecydowana w ciągu całej godziny, nieskończenie długiej godziny. Drobne fale morskie zdala cicho uderzały o brzeg.

Możebym tak stała pół nocy, albo może wkońcu przyszłaby mi do głowy jakaś rozsądniejsza decyzja — gdyby nie nadarzyła się nieprzewidziana okoliczność. Mianowicie, zaczął deszcz padać. Już przed wieczorem wiatr od morza przywiał ciężkie chmury wiosenne. Trudno było oddychać w tem parnem powietrzu — nagle bluznęły ciężkie krople, a po chwili lunęły strugi wody, długie bicze deszczu.

Mimowoli schroniłam się pod okap jakiegoś kiosku, i choć otworzyłam parasol, deszcz pluskał i prał moje suknie niemiłosiernie. Twarz i ręce miałam obryzgane wodnym pyłem, miałkim i chłodnym.

Ale i to — dziś jeszcze, po dwudziestu latach, gdy o tem myślę w gardle mnie ściska — to oberwanie się chmury nie wzruszyło nieszczęśliwego młodzieńca. Tkwił na ławce, nieruchomy jak przedtem. Słychać było, jak po rynnach klaszcze woda, jak od strony miasta dudnią wozy, tu i tam migały zawinięte postacie w podkasanych płaszczach. Wszystko, co żyło, skulone, zziębnięte, uciekało, szukało schronienia przed rozszalałym żywiołem — tylko ten czarny łachman, ta nędzna garść człowieka na ławce trwała nieporuszona. Mówiłam panu już przedtem, że ten człowiek miał magiczny dar wyrażania uczuć jednym plastycznym gestem. Ale nic, nic na świecie chyba nie mogłoby lepiej wystawić beznadziejnej rozpaczy, całkowitej obojętności żywego trupa — niż właśnie to siedzenie bez ruchu podczas chlapiącej szarugi, gdy nie więcej niż pięć kroków zapewniłoby schronienie pod dachem. Żaden malarz ani żaden poeta, ani Michał Anioł ani Dante nie dali mi odczuć tak wyraźnie czarnej rozpaczy, ostatniej nędzy na ziemi — jak dał mi odczuć ten żywy człowiek, zazbyt znużony, zazbyt strudzony, aby choć jednym ruchem obronić się przeciw żywiołom.

Jakaś siła mię poderwała. Pobiegłam pod siepiącemi rózgami deszczu, stanęłam obok ławki i potrząsnęłam nim, jak tłomokiem.

— „Niech pan idzie!"

Schwyciłam go za rękę. Napotkałam pewien opór: zdaje się, że nie rozumiał, czego chcę od niego.

— „Niech pan idzie!" — ciągnęłam go za rękaw, już prawie z gniewem.

Wstał bezwolnie, chwiejąc się cały.

— „Czego pani chce ode mnie?“ — spytał, a ja nie miałam na to żadnej odpowiedzi.

Chciałam go tylko ukryć przed zimną ulewą, wyprowadzić z tego samobójczego bezwładu. Nie zwalniając ręki, pociągnęłam go za sobą pod wązki wystający daszek kiosku, który osłaniał przed wichrem i deszczem. Dalej nie wiedziałam, co z nim zrobić. Zresztą, nie myślałam nawet o tem.

I tak staliśmy obok siebie na wązkim pasku suchego gruntu, mając za sobą ścianę budki, a nad sobą jej mały daszek — nieustanny deszcz bił nam prosto w twarze, a tęgi mroźny wiatr od morza targał nam suknie.

Sytuacja była nieznośna. Nie mogłam tak stać, i to stać milczeniu obok obcego człowieka, ociekającego wodą. Usiłowałam spokojnie i rozsądnie pomyśleć. Najprościej będzie odprowadzić go jakimś powozem do samego domu: jutro już jakoś da sobie radę. Stał przy mnie bez ruchu i patrzył tępo w ciemność nocy.

— „Gdzie pan mieszka?“

— „Nigdzie nie mieszkam... przyjechałem dziś wieczorem z Nicei... do mnie nie można przyjść...“

Ostatniego zdania nie zrozumiałam w pierwszej chwili. Dopiero później zorjentowałam się, że ten człowiek wziął mnie... za kokotę. Wszak tyle jest tam tych kobiet, które wałęsają się przed kasynem, aby naciągnąć szczęśliwego czy też pijanego gracza. Ostatecznie, za kogóż miał mnie wziąć? Gdy opowiadam panu to wszystko w tej chwili, sama czuję niewiarygodną fantastyczność ówczesnej sytuacji — i muszę przyznać, że sposób, w jaki go

zaczepiłam i wprost pociągnęłam za sobą — naprawdę nie był façon d'être kobiety z towarzystwa.

Ale ta myśl nie przyszła mi odrazu do głowy. Gdybym się wcześniej domyśliła tego okropnego nieporozumienia, nie powiedziałabym z pewnością słów, które tylko upewniły go w jego przypuszczeniach:

— „Trzeba będzie wynająć pokój w jakimś hotelu. Tutaj pan przecież nie pozostanie. Musi pan znaleźć pomieszczenie."

I natychmiast spostrzegłam bolesną omyłkę... Nie odwracając się, rzekł z wyrazem niewątpliwej pogardy:

— „Nie potrzeba mi żadnego pokoju, nic mi nie trzeba. Nie zadawaj sobie tyle trudu, odemnie nic nie wydostaniesz. Zwróciłaś się pod niewłaściwy adres, ja nie mam ani centyma."

Słowa te były znów wypowiedziane z taką wstrząsającą obojętnością, że nie było czasu ani miejsca na głupie i małostkowe obrazy.

Kierowało mną jedynie uczucie, które rozpoczęło się dużo wcześniej, jeszcze w kasynie, i wzmocniło podczas owej nieprawdopodobnej godziny: przede mną stoi młody, żyjący człowiek — tuż u wrót śmierci, i ja go m u s z ę ratować!

— „Niech pan się nie troszczy o pieniądze i niech pan idzie ze mną. Tu nie wolno panu zostać, już ja pana jakoś ulokuję. Proszę się o nic nie martwić! Niech pan idzie za mną!"

Odwrócił głowę w moją stronę. Czułam, że poraz pierwszy chce mi spojrzeć w twarz. Deszcz chlupał i bębnił po rynnach, u naszych stóp tworzyły się kałuże.

— „No, jak chcesz... Ostatecznie... Dobrze, pójdziemy.“

Rozpięłam parasol, szliśmy obok siebie, nieznajomy wziął mnie pod rękę. Ta przedwczesna poufałość była mi nad wyraz nieprzyjemna, nawet straszna — przeraziłam się aż do głębi duszy. Nie miałam jednak odwagi mu zabronić. Wiedziałam, że jeśli go odepchnę, to runie w przepaść i wszystkie moje dotychczasowe wysiłki pójdą na marne. Szliśmy w kierunku kasyna. Nie wiedziałam jednak, co mam z nim począć. Najlepiej zaprowadzić go do hotelu, wsunąć pieniądze w rękę — niech tam przenocuje, a jutro niech wraca do domu. Dalszych planów nie miałam.

Właśnie mijał nas powóz przed kasynem — zatrzymałam go, wsiedliśmy. Gdy stangret zapytał, dokąd jechać, nie umiałam mu zrazu dać odpowiedzi. Lecz gdy przypomniałam sobie, że obok mnie siedzi człowiek zziębnięty i przemokły do kości, zawołałam, z całą naiwnością niedoświadczonej osoby nie zdając sobie sprawy z dwuznaczności podobnego adresu:

— „Do jakiegoś skromnego hotelu!“

Stangret apatycznie cmoknął na konie. Nieznajomy milczał, koła turkotały, deszcz dzwonił i chlupotał o szyby. Zdawało mi się, że wiozę trupa w tem czarnem dusznem pudle.

Szukałam w myśli jakiegoś słowa, aby przerwać uciążliwe i dziwaczne milczenie. Ale napróżno... Po kilku minutach pojazd zatrzymał się. Wysiadłam pierwsza, zapłaciłam, podczas gdy woźnica ospale zamykał drzwiczki na klamkę. Staliśmy u drzwi wchodowych jakiegoś nieznanego hoteliku. Szklany

okap znów chronił nas przed deszczem, który z obskurną monotonją chlapał i bluzgał w nieprzeniknione mrok.

Nieznajomy mimowoli oparł się o ścianę, mokry kapelusz ociekał wodą, ubranie miał wilgotne i pogniecione. Wyglądał, jak topielec, wyciągnięty z rzeki. Na małym skrawku, gdzie stanął, natychmiast utworzyła się kałuża wody, ściekającej z jego ubrania. Ale on nie dokonał najmniejszego wysiłku, żeby się otrząsnąć, żeby choć zdjąć kapelusz, z którego krople spadały mu prosto na twarz i czoło. Stał, jak przedtem, kompletnie nieczuły — wcale panu powiedzieć nie mogę, jak mną ten widok wstrząsnął.

Trzeba było coś przedsięwziąć. Sięgnęłam do torebki.

— „Proszę, tu jest sto franków. Niech pan wynajmie sobie pokój i niech pan jutro wraca do Nicei.“

Spojrzał na mnie zdumiony.

— „Obserwowałam pana w kasynie,“ — dodałam, widząc jego wahanie, — „wiem, że pan wszystko przegrał i obawiam się, że pan jest na drodze jakiegoś głupstwa. Co to za wstyd — przyjąć pomoc w takiej chwili? . . . No, proszę, niech pan weźmie!“

Lecz odepchnął moją rękę z energją, o jakąbym go nie posądziła.

— „Jesteś poczciwe stworzenie . . . ale nie trzeba marnotrawić pieniędzy. Mnie już i tak nic nie pomoże. Czy przeżyję jedną noc, czy też nie — to chyba zupełnie obojętne. Jutro i tak będzie koniec. Mnie już nic nie pomoże.“

— „Nie, musi pan wziąć,“ — prosiłam natarczywie, — „jutro będzie pan inaczej myślał. Niech pan idzie, prześpi pan zmartwienie. Przy świetle dziennem te sprawy inaczej wyglądają.“

Ale on znów odepchnął moją rękę, już prawie siłą.

— „Zabierz to,“ — powtórzył głucho, — „przecież niema sensu... Lepiej nawet, żebym to zrobił na ulicy... Poco ludzi niepokoić w hotelu... Po co im meble krwawić... Sto franków mi nie pomoże, ani tysiąc także. Jutro znów pójdę do kasyna z ostatnim frankiem w kieszeni i nie wstanę od stołu, dopóki wszystkiego nie przegram. Po co zaczynać od początku, już mam tego dosyć!“

Niech pan sobie wyobrazi dwa cale ode mnie stoi młody, śliczny chłopak — i wiem, że jeśli nie wytężę wszystkich sił, to młodzieniec, który myśli, mówi, oddycha — za dwie godziny będzie martwą bryłą, będzie zimnym trupem. Porwała mnie złość, niemal wściekłość, postanowiłam się przeciwstawić zwycięsko temu beznadziejnemu stanowi. Chwyciłam go za ramię.

— „Dosyć tych głupstw. Proszę iść na górę, wynająć pokój, a jutro rankiem odprowadzę pana na kolej. Musi pan stąd wyjechać, musi pan wracać do domu, i zapowiadam panu, że nie ustąpię, dopóki nie zobaczę w pańskich rękach biletu kolejowego. Nie odbiera się życia dla jakichś tam stu czy tysiąca franków przegranej... To jest tchórzostwo, to jest głupia histerja wskutek gniewu i rozgoryczenia. Jutro pan sam przyzna mi słuszność.“

— „Jutro!“ — powtórzył ironicznie i ponuro — „jutro! Gdybyś ty wiedziała, gdzie ja będę jutro!

Gdybym ja wiedział... nawet jestem trochę sam tego ciekaw... Idź, moje dziecko, do domu — nie trudź się i nie rozrzucaj na darmo swoich pieniędzy!“

Lecz ja nie odchodziłam. Rozpętało się we mnie jakieś szaleństwo, jakieś opętanie. Gwałtem wpakowałam mu pieniądze do ręki.

— „Pan to weźmie i pójdzie pan natychmiast na górę!“

I w tej samej chwili nacisnęłam dzwonek.

— „Już dzwoniłam, przyjdzie portjer, pan pójdzie do pokoju i natychmiast się położy. Jutro o dziewiątej rano będę czekać na pana tutaj, przed domem, i odprowadzę pana na dworzec. Niech pan się o nic nie troszczy, ja już wszystko tak pozałatwiam, żeby pan mógł spokojnie wrócić do domu. A teraz proszę się położyć, o niczem nie myśleć i dobrze się wyspać.“

Klucz zgrzytnął od wewnątrz, portjer otworzył drzwi.

— „Chodź!“ — zawołał nagle twardo — i chwycił mnie mocno za przegub dłoni. Przeraziłam się... przeraziłam się tak mocno, że odeszła mnie prawie przytomność... Chciałam się bronić, wyrwać się... ale wola moja była jak sparaliżowana... Pan to zrozumie... było mi wstyd wobec portjera mocować się z obcym człowiekiem...

I nagle znalazłam się po tamtej stronie drzwi... Chciałam coś powiedzieć, ale w gardle mnie dławiło... na mojej ręce ciężko i władczo spoczywała jego dłoń... jak przez mgłę czułam, że wchodzę po jakichś schodach... Klucz zgrzytnął...

Nagle znalazłam się z obcym człowiekiem w nieznanym pokoju jakiegoś hotelu, którego nazwy po dziś dzień nie wiem.“

* * *

Mrs. C. znów zatrzymała się w toku opowiadania. Głos jej widocznie odmawiał posłuszeństwa. Podeszła do okna i wyglądała chwil kilka . . . czy też może przywarła rozpalonem czołem do szyby. Nie ważyłem się obserwować starszej pani w stanie tak wielkiego podniecenia. Trwałem w milczeniu, bez pytania, bez słowa — aż wróciła nieco spokojniejsza i znów siadła naprzeciw mnie.

— „Zdobyłam się już na najtrudniejsze... Nie wątpię, że pan mi uwierzy — przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, na mój honor i moje dzieci, że do tej chwili nawet do głowy mi nie przyszła myśl jakiejkolwiek... łączności z owym nieznajomym. Stało się to wszystko bez udziału mej woli i świadomości, tak jakbym z prostej i równej drogi mej dotychczasowej egzystencji została nagle zepchnięta do jakiegoś samotrzasku.

Przysięgłam sobie, że będę panu mówiła prawdę i tylko prawdę, więc raz jeszcze powtarzam, że nie było we mnie żadnych osobistych pragnień, żadnych uczuć — oprócz wytężonej chęci przyjścia z pomocą. Nie przeczuwając nic złego, uwikłałam się w tę tragiczną przygodę.

O przebiegu wydarzeń tej nocy, w owym pokoju — zaoszczędzi mi pan opowiadania. Ani jednej chwili z owej nocy nie zapomniałam po dziś dzień. Była to noc śmiertelnych zapasów o ludzkie życie. Ten napoły stracony człowiek czepiał się namiętnie i żarliwie ostatniego źdźbła ratunku. I moja osoba

także była deską zbawienia dla wiszącego nad przepaścią.

Podobne chwile przeżywa jeden człowiek na miljon, i to też chyba nie więcej, niż raz w życiu. Gdyby nie to okropne zdarzenie — nie wiedziałabym nawet, jak rozpaczliwie, jak niestrudzenie można walczyć o kroplę — o płomienną kroplę ludzkiego żywota. Nie wiedziałabym o demonicznych potęgach bytu, o fantastycznie wspaniałej mocy natury, co potrafi zakląć w ludzkie tchnienie zimno i upał, śmierć i życie, rozpacz i zachwycenie. Była to noc zmagania i długich rozmów, namiętności i gniewnej pasji, upojenia i przysiąg, szeptanych śród łez. Dwoje ludzi — jedno prawie bez zmysłów, a drugie prawie bez pamięci — wyszło z tego odmętu, jak zupełnie przeistoczeni.

Ale nie o tem chciałam mówić. Nie mogę i nie chcę tych chwil opisywać. Wspomnę tylko o strasznem przebudzeniu następnego ranka. Ocknęłam się ze snu ciężkiego, jak ołów. Długo trwało, nim odemknęłam oczy. Pierwsze uczucie, jakiego doznałam: jestem w jakimś ohydnym, nieznanym pokoju, i w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, jak się tu dostałam. Z początku zdawało mi się, że to sen jeszcze, lekka drzemka po ciężkiej, męczącej zmorze całonocnej, ale nie... Przez okno bił już blask słoneczny, przenikliwy i ostry, z ulicy dobiegał turkot pojazdów, dzwonki tramwajów i gwar ludzki — nie, to nie był sen, to była jawa. Chciałam zmienić pozycję i przypomnieć sobie... gdy wtem wzrok mój padł... nie, nie potrafię odmalować mego przerażenia... tuż obok mnie spał jakiś człowiek... półobnażony... obcy, obcy człowiek...

Ogarnęła mną taka groza, że bez sił opadłam znów na poduszki. Lecz nie było to dobroczynne omdlenie, kiedy można o niczem nie wiedzieć, przeciwnie: z błyskawiczną szybkością uprzytomniłam sobie wczorajsze przejścia i miałam w tej chwili tylko jedno pragnienie... umrzeć ze wstydu i odrazy, że mogłam się znaleźć w jednem łóżku z obcym człowiekiem, pod dachem mocno podejrzanej spelunki. Serce biło urywanem tętnem, oddech więzł mi w gardle, w głowie mi się mąciło... a jednak miałam przez cały czas świadomość, przeraźliwie jasną świadomość, że wszystko wiem, a nic nie rozumiem...

Nie wiem, jak długo tak leżałam, skostniała ze zgrozy: tak chyba spoczywa zmarły w trumnie. Wiem tylko tyle, że przymknęłam oczy i modliłam się do Boga, do jakiejkolwiek niebieskiej potęgi, żeby to wszystko było tylko koszmarem, a nie prawdą. Lecz zmysły nie godziły się na złudę: w sąsiednim pokoju rozmawiano, woda z kranu lała się ciurkiem, po korytarzu dudniły czyjeś kroki — wszystkie te dźwięki świadczyły dowodnie o trzeźwości moich zmysłów.

Podobne chwile mają inny wymiar, niż chwile codziennych zdarzeń. Nie wiem, jak długo trwał ten szkaradny mój stan. Przyszło mi na myśl, że obcy człowiek, którego nazwiska dotąd nie znałam, może się obudzić i zacząć coś mówić do mnie. Przerażona tą myślą, znalazłam jeden ratunek: wstać, ubrać się i uciec, nim on się zbudzi. Nigdy go nie zobaczyć, nigdy z nim nie mówić! Uciekać stąd, natychmiast wyjechać z tego przeklętego kraju, aby

nigdy go na oczy nie widzieć, aby nie mieć w tym człowieku współwinowajcy czy też oskarżyciela.

Cichutko, na palcach, skradając się jak złodziej, aby nie robić najmniejszego hałasu — sięgnęłam po moje suknie z całą ostrożnością i drżąc, aby się nie przebudził, ubrałam się całkowicie. Jeszcze kapelusz... ale kapelusz leżał po tamtej stronie łóżka. Musiałam — tak, nie mogłam inaczej — jeszcze spojrzeć na twarz nieznajomego, który runął w moje życie, niczem cegła z gzymsu na przechodnia.

Tylko jedno spojrzenie... nic więcej, tylko spojrzenie... Ale... ten śpiący młodzieniec był mi zupełnie obcy... w pierwszej chwili nie poznałam go wcale... Była to całkowicie inna twarz, niż wczoraj: rysy, napięte kurczem namiętności, rozluźniły się — twarz miała wyraz chłopięcy, dziecinny niemal, promieniała poprostu świeżością i wdziękiem. Wargi, wczoraj mocno zaciśnięte — teraz zaokrągliły się w senny uśmieszek. Jasne włosy rozsypały się miękko po gładkiem czole, a pierś falowała łagodnym równym oddechem.

Przypomina pan sobie pewno, — mówiłam panu już przedtem — że nigdzie nie widziałam takiego rozpasania namiętności, jak w oczach nieznajomego przy zielonym stole. A teraz powiem panu, że nawet dzieci, nawet niemowlęta nie mają we śnie wyrazu tak anielskiego, tak pełnego czystej, prawdziwej błogości, jak ta twarz, o niebywałej plastyce uczuć. Malowało się na niej wyzwolenie, niebiańska radość, że wszystkie zmory już minęły, że znalazł się ratunek...

Wtedy, niby czarny płaszcz z ramion, opadł ze mnie wszystek strach i wszystek wstyd. Niepojęte i straszliwe wydarzenia nagle nabrały sensu. Byłam rada, byłam dumna z mego dzieła: gdyby nie moja ofiarność, ten piękny chłopak byłby teraz leżał u stóp skały z głową roztrzaskaną, skrwawiony i martwy. Był uratowany, to ja go uratowałam!

I spoglądałam na śpiącego teraz — nie mogę tego nazwać inaczej — z macierzyńską tkliwością, podarowałam mu bowiem życie w niemniejszych cierpieniach, niż własnym dzieciom. W tym brudnym, plugawym pokoju obrzydliwego hotelu ogarnęło mną uczucie — choć panu może to słowo wyda się śmiesznem: — świętej szczęśliwości, zachwycenia, jak przed cudem albo jak w świątyni. Do najstraszniejszej chwili mego życia przyłączyła się druga, najdziwniejsza i najbardziej podniosła.

Czy mimowoli poruszyłam się zbyt głośno? Czy może zaczęłam coś mówić do siebie? Nie wiem. Śpiący otworzył nagle oczy. Cofnęłam się zalękniona. Spoglądał tak samo zdumionym wzrokiem, tak jak ja patrzyłam przed godziną — z trudem powracał do świadomości z niezbadanych głębin snu. Błądził oczyma po nieznajomym pokoju, wkońcu zatrzymał się na mnie. Ale nim wypowiedział choć słowo, ja go wyprzedziłam, nie chcąc dopuścić do żadnej poufałości, do żadnej aluzji na temat wczorajszej nocy:

— „Muszę już iść . . . Pan zostanie tutaj, ubierze się i będzie na mnie czekał o dwunastej przy wejściu do kasyna. O reszcie ja już pomyślę.“

I nim mi odpowiedział, wybiegłam spiesznie, nie oglądając się za sobą. Nie chciałam patrzeć ani

na pokój, ani na dom, którego nazwy tak samo nie znałam, jak nie znałam nazwiska człowieka, z którym spędziłam tam noc."

* * *

Mrs. C. znów przerwała na chwilę swą opowieść. W głosie jej nie wyczuwałem już poprzedniego wysiłku i napięcia. Wyznanie jej, po osiągnięciu kulminacyjnego punktu, toczyło się już gładko, — niby wóz, co wspinał się pod górę z mozołem, a potem sunął lekko po stokach:

„Szłam więc spiesznie do hotelu przez ulice, oblane światłem poranka. Wiatr rozwiał chmury na horyzoncie, tak jak się rozwiały dręczące mnie przedtem uczucia.

Proszę nie zapominać, że od śmierci mego małżonka uważałam życie osobiste za skończone. Moje dzieci mnie nie potrzebowały, własnych pragnień nie miałam także — uważałam więc, że życie, które nie ma określonego celu, jest jednym wielkim błędem.

I oto zjawiło się niespodzianie przede mną nowe zadanie: uratowałam człowieka, odebrałam go śmierci przez niezmierne natężenie wszystkich sił. Już niewiele trudności pozostawało do przezwyciężenia, musiałam więc moje zadanie doprowadzić do końca.

Pospieszyłam do hotelu. Portjer spojrzał na mnie zdumiony, że dopiero o dziewiątej rano wracam do domu — nie czułam jednak ani wstydu, ani żalu do siebie. Krew w żyłach krążyła szybciej, wzmógł się we mnie pęd do życia, zagrzewała mnie świadomość, że nareszcie jestem znów komuś potrzebna.

Przebrałam się więc szybko, zmieniłam zwykłą czarną suknię (później dopiero zdałam sobie z tego sprawę) na jakąś jaśniejszą — udałam się do banku po odbiór pieniędzy, a potem na dworzec, żeby się poinformować o rozkład jazdy. Z zadziwiającą dla mnie samej energją załatwiłam jeszcze kilka innych sprawunków. Nie pozostawało teraz nic innego, jak doprowadzić do wyjazdu tego człowieka, którego los mi narzucił i w ten sposób ostatecznie go wyratować.

Osobiste zobaczenie się z nim wymagało coprawda dużego wysiłku, gdyż zdarzenia wczorajszego dnia działy się w jakimś mroku i wirze — zetknęliśmy się ze sobą, jak dwa kamienie, porwane prądem, ścierają się w spienionym nurcie. Nie byłam pewna nawet tego, czy nieznajomy zapamiętał sobie dokładnie moją twarz i czy mnie wogóle pozna. Wczoraj — był to przypadek, jakiś szał, jakieś opętanie, dziś wszakże musiałam mu się pokazać — rysy moje, całą moją osobę — w bezlitosnem świetle dnia.

Wszystko powiodło się lepiej, niż przewidywałam. Ledwo zbliżyłam się do kasyna o wyznaczonej godzinie, jakiś młody człowiek zerwał się z ławki i pobiegł mi na spotkanie. Ruch ten był tak dziecinny i tak spontaniczny, jak każdy z jego wyrazistych gestów. Wydawał się bardzo uszczęśliwiony z tego spotkania... w spojrzeniu jego była jednocześnie radość, szacunek i pokora, gdy spostrzegł z mej strony pewne zmieszanie.

Ludzie przeważnie nie potrafią okazywać wdzięczności. Jeśli nawet doznają tego uczucia, to przemilczają je zawstydzeni. W tym człowieku natomiast

Bóg, niby tajemniczy rzeźbiarz, wydobył nazewnątrz wszystką plastykę uczuć — a więc i wdzięczność promieniowała z niego, podobnie jak promieniowała namiętność. Nachylił się nad moją ręką i trwał przez długą chwilę w pocałunku, ledwo muskającym palce. Wysmukłe chłopięce ciało zamarło jakby w pozie pełnej szacunku, niemal nabożeństwa. Potem zapytał mnie o zdrowie, spojrzał na mnie ze wzruszeniem, a wszystkie jego słowa były tak pełne rezerwy, że ostatnie resztki niepokoju znikły we mnie bez śladu.

Krajobraz odzwierciedlał zmianę mego nastroju: morze, wczoraj jeszcze groźne i mrukliwe, dziś rozpościerało się łagodną taflą, tak że drobny żwir morski połyskiwał przy brzegu z pod przezroczystej fali. Kasyno, to piekielne bagnisko, połyskiwało bielą ścian, niby maurytański pałac, na tle niebios gładkich, jak z błękitnego adamaszku. A ów kiosk, który był dla nas przytułkiem podczas wczorajszej ulewy — dziś zmienił się w wystawę kwiatów. Leżało tam białe i czerwone kwiecie, zielone gałęzie i barwne wiązanki, sprzedawane przez dziewczynę w jaskrawej sukni.

Zaprosiłam go na śniadanie do małej restauracyjki. I tam chłopiec opowiedział mi swe tragiczne przygody. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, mającej siedzibę w Galicji. Miał zamiar poświęcić się karjerze dyplomatycznej, studjował w Wiedniu i teraz właśnie złożył był egzamin z niezwykłym wynikiem. Aby uczcić ten dzień, wuj jego, wyższy oficer Sztabu Generalnego, zawiózł go powozem do Prateru, gdzie razem udali się na wyścigi.

Szczęście dopisało wujowi, wygrał trzy razy pod rząd. Z grubym plikiem banknotów pojechali na kolację do eleganckiej restauracji. Następnego dnia przyszły dyplomata otrzymał od ojca w nagrodę za pomyślnie zdany egzamin kwotę, równą jego zwykłej miesięcznej pensji. Dwa dni temu suma ta wydawałaby mu się olbrzymią, ale w porównaniu z łatwością wygranej była nędzna i mizerna. Natychmiast po obiedzie pojechał więc znów na wyścigi, i szczęście — czy też nieszczęście — chciało, że wściekłe jego stawki potrajały się za każdym razem. I od tej chwili owładnęło nim szaleństwo hazardu już to przy totalizatorze, już to w klubach czy kawiarniach — i wyczerpało mu doszczętnie czas, nerwy — a przedewszystkiem: zasoby materjalne. Nie mógł myśleć o niczem innem, nie mógł spać spokojnie, nie mógł się opanować. Gdy raz wrócił wieczorem z klubu, zgrzany do nitki, i znalazł w kieszonce od kamizelki jeszcze jeden zmięty banknot — ubrał się czemprędzej od nowa i tak długo błądził po mieście, aż znalazł w jakiejś kawiarni partnerów do gry w domino, z którymi siedział aż do świtu.

Kilkakrotnie pomagała mu zamężna siostra, płacąc jego długi u lichwiarzy, którzy chętnie służyli kredytem potomkowi dobrego szlacheckiego rodu. Niekiedy znów dopisywało mu szczęście — ale później zaczął się staczać po pochyłości, i im bardziej przegrywał, tem bardziej domagały się decydującej wygranej jego niespłacone zobowiązania i terminowe „słowa honoru". Oddawna był już zastawił zegarek i nawet ubranie. Aż wkońcu przyszło to, co najgorsze: wykradł ciotce ze szafy dwa wielkie butony

z perłami, które rzadko nosiła. Jeden z kolczyków zastawił za wielką sumę, i suma ta tegoż jeszcze wieczora wzrosła wczwórnasób. Lecz zamiast wykupić zastaw, zaryzykował wszystko ... i przegrał. Ponieważ do chwili jego wyjazdu kradzieży nie wykryto, zastawił więc drugi kolczyk, i idąc za nagłym popędem, pojechał do Monte-Carlo, aby przy ruletce zdobyć upragniony majątek. Sprzedał wszystko, co miał: kufer, ubrania, nawet parasol ... zostawił sobie tylko rewolwer i cztery naboje oraz wysadzany brylantami krzyżyk od chrzestnej matki, księżny X., z którym się nie chciał rozstawać. A wczorajszego popołudnia sprzedał ten krzyżyk za pięćdziesiąt franków, aby po raz ostatni spróbować decydującej gry o śmierć i życie.

Wszystko to opowiedział mi owym porywającym sposobem, właściwym jego twórczej, pełnej żywotności istocie. A ja słuchałam wzburzona, wstrząśnięta; ani na chwilę nie przeszło mi przez myśl, ażeby się obruszać na to, że ten człowiek, który zasiadał przy moim stole, właściwie był tylko złodziejem. Gdyby mi ktoś poprzedniego dnia był napomknął — mnie, kobiecie o nieposzlakowanej przeszłości, o surowym rygorze towarzyskim — że będę z całą ufnością siedziała w towarzystwie człowieka, niewiele starszego od mego syna, i który ukradł kolczyki z perłami — byłabym go wzięła za obłąkanego.

Lecz opowiadanie jego, utrzymane w tonie tak naturalnym i pełnym namiętności, nie wywołało we mnie wstrętu ani oburzenia. Czyn jego wydawał się raczej świadectwem jakiejś gorączki złota, jakiegoś chorobliwego zboczenia, niźli występku. A zresztą,

dla kogoś, kto ma za sobą doświadczenie podobnie nieoczekiwanej nocy — słowo „niemożliwe“ traci całkowity sens. W ciągu owych dziesięciu godzin osiągnęłam większą i bardziej życiową znajomość rzeczywistości, niż w ciągu całych czterdziestu po mieszczańsku przeżytych lat.

Podczas tej spowiedzi przeraził mnie gorączkowy blask w jego oczach, nerwowe drgawki w twarzy, gdy mówił o swej namiętności do hazardu. Znów ręce, prześliczne smukłe ręce przeobraziły się w drapieżne rozbiegane istoty, jak wtedy, w kasynie. Gdy mówił, ręce znów przebiegał dreszcz, zginały się, wiły, wpijały się i rozchodziły — jak wtedy... A gdy zwierzał mi się z faktu kradzieży, spostrzegłam, że wykonały błyskawiczny złodziejski chwyt: widziałam wprost, jak oszalałe palce rzuciły się na klejnot i szybko zacisnęły go we wnętrzu dłoni. I ze strachem, dla którego niema nazwy, zrozumiałam, że trucizna namiętności wsączyła się w tego człowieka do ostatniej kropli krwi.

Przeraźliwa była ta niewolnicza zależność młodego chłopca, czystego i beztroskiego — od obłędnej wprost pasji. Uważałam więc za swój pierwszy obowiązek, jako przez los wyznaczonej opiekunki — namawiać go z całą przyjaźnią do wyjazdu z Monte-Carlo, gdzie są najniebezpieczniejsze pokusy, i do powrotu do domu, nim zauważą stratę, a tem samem, nim jego przyszłość będzie przesądzona. Obiecałam, że dam mu pieniądze na wyjazd i odbiór klejnotów pod warunkiem, że natychmiast wyjedzie i że zaręczy mi honorem, iż nigdy nie dotknie kart ani żadnej gry hazardownej.

Nie zapomnę nigdy, jak ten straceniec słuchał moich słów, zrazu pokornie, a potem promieniejąc z wdzięczności, jak poprostu pił słowa, niosące mu pomoc. I nagle poprzez stół wyciągnął ku mnie obie ręce z wyrazem ubóstwienia i jednocześnie ślubowania. Jasne oczy pełne były łez, ciałem wstrząsał dreszcz niezmiernej szczęśliwości. Tyle razy usiłowałam opisać nieporównaną łatwość wyrazu, jaką miał ten człowiek — ale tego gestu i tej pozy nie potrafię opisać. Była to ekstaza, nadziemska błogość, rzadko można spotkać podobny wyraz na twarzach ludzkich — chyba wtedy, gdy ktoś budzi się ze snu, w którym widział oblicze niknącego anioła.

Po co ukrywać: nie mogłam się oprzeć temu spojrzeniu. Wdzięczność i szczęście, którego byłam sprawczynią, ja, z natury chłodna i zrównoważona, stanowiły dla mnie dobroczynne nowe uczucie.

Gdyśmy opuścili restaurację, spostrzegłam, że krajobraz — podobnie do mego nastroju — zmienił się po wczorajszym deszczu. Morze falowało spokojnie, błękitne jak niebo — tylko w dali niebieskie tło znaczyły białe punkty mew. Pan zna przecież pejzaż Riwiery. Niby zawsze jest piękna, ale szybko nuży oko nasyconemi barwami, jak banalna widokówka. Jest to piękność gnuśna i ospała, zbliżona prawie do orjentalnej swą wybujałą wieczną płodnością.

Lecz czasami — rzadko — bywają takie dni, kiedy krzyczy jaskrawością fanatycznie roziskrzonych barw, kiedy płonie, kiedy pali się cała w zmysłowości!

I właśnie taki cudowny dzień wyłonił się z chaosu burzliwej nocy — białością lśniła ulica, turkusami iskrzyło się niebo, wszędzie płonęły krzewy, jak barwne pochodnie na tle wilgotnej soczystej zieleni. Góry jak gdyby podeszły bliżej w przejrzystem rozsłonecznionem powietrzu. Może chciały się przyjrzeć rozmigotanej białością mieścinie... Zew natury był wyjątkowo powabny i kuszący.

— „Przejedźmy się powozem wzdłuż Corniche" — zaproponowałam.

Skinął głową z zachwytem. Zdaje się, że pierwszy raz od chwili swego przyjazdu zauważył otaczający go krajobraz. Dotychczas znał tylko duszną salę gry, pełną szkaradnej ciżby i tłoku, pełną zaduchu, potu i wyziewów — i szare, groźne, zgiełkliwe morze.

Przed nami rozkładało się osłonecznione, piasczyste wybrzeże, jak olbrzymi wachlarz, — oczy upajały się bezbrzeżną dalą. Jechaliśmy wolniutko powozem (wtedy nie było jeszcze samochodów) — i gdy mijaliśmy wille, ocienione zielonością pinij, rodziło się w duszy sekretne życzenie: tutaj możnaby mieszkać w spokoju, w ciszy, zdala od świata!...

Czy byłam kiedykolwiek w życiu szczęśliwsza, niż owego dnia, kiedy czułam, że wyratowałam człowieka, nad którym wczoraj wisiało fatum, czarne skrzydło śmierci? Dziś wydawał się o kilkanaście lat młodszym, był chłopcem, ślicznym rozbawionym dzieciakiem o oczach pogodnych i pełnych szacunku zarazem. Najbardziej czarująca była jego nieustanna, wiecznie czujna wrażliwość. Gdy koniom było zbyt ciężko wspinać się pod górę, zręcznie zeskakiwał, aby popchnąć powóz z tyłu. Gdy wskazałam

mu jakiś kwiatek przy drodze, biegł, aby go zerwać dla mnie. Mała żabka, zwabiona wczorajszą ulewą, czołgała się z trudem po piasku: podniósł ją i troskliwie złożył na trawie, aby jej nie przygniotły przejeżdżające pojazdy. W międzyczasie opowiadał mi zabawne śmieszne drobiazgi. Sądzę, że ten śmiech był dla niego pewnym ratunkiem, gdyż inaczej musiałby skakać albo śpiewać, albo robić coś szalonego, taki był szczęśliwy, taki upojony swoim entuzjazmem.

Gdyśmy przejeżdżali przez jakąś wioskę, nagle obnażył głowę. Zdziwiłam się: komuż się kłaniał — on, który nie miał tu żadnych znajomych? Zarumienił się lekko, gdym go o to spytała i wyjaśnił mi tonem prawie usprawiedliwiającym, że mijaliśmy właśnie kościół, a u nich w Polsce, kraju nawskroś katolickim, panuje obyczaj odsłaniania głowy przed każdym kościołem. Ta głęboka cześć dla religji bardzo mnie wzruszyła. Przypomniałam sobie także ów krzyżyk, o którym przedtem mówił — i spytałam go, czy jest religijny. A gdy odpowiedział mi nieco zawstydzony, że nie opuściła go jednak nadzieja osiągnięcia łaski Bożej — przyszła mi nagła myśl do głowy.

— „Proszę się zatrzymać!“ — zawołałam do stangreta, i wysiadłam spiesznie z powozu.

— „Dokąd idziemy?“ — spytał młodzieniec zdumiony.

— „Proszę pójść za mną!“

I razem weszliśmy do małego wiejskiego kościołka z palonej cegły. Było tam pusto, panował szary i chłodny półmrok, tylko przez otwarte drzwi wkradł się żółty stożek światła — a w głębi, w cie-

niu, błękitniał mały ołtarzyk. Dwie świece, jak zakwefione, migotały w mroku, pełnym woni kadzideł.

Nieznajomy zdjął kapelusz, umoczył palce w wodzie święconej, przeżegnał się i ukląkł. Gdy podniósł się, szepnęłam:

— „Niech pan stanie przed ołtarzem albo przed jakimś świętym obrazem — i niech pan za mną powtarza wyrazy przysięgi.“

Spojrzał na mnie zdumiony, prawie przerażony. Zrozumiał wszakże po chwili — podszedł do jednej z nisz i ukląkł posłusznie.

— „Proszę powtarzać za mną,“ — rzekłam, drżąc ze wzruszenia, — „przysięgam . . .“

— „Przysięgam...“ — powtórzył, a ja mówiłam dalej, — „. . . że nigdy w życiu nie będę brał udziału w żadnej grze na pieniądze, że nie będę więcej narażał życia i honoru na niebezpieczeństwa tej namiętności.“

Powtarzane słowa brzmiały głośno i uroczyście w opustoszałym kościele. A potem nastała cisza . . . cisza tak wielka, że słychać było szmer i szum liści, szeleszczących za oknem.

I nagle zaczął się modlić z taką ekstazą, jak pokutnik, przeplatając szybko i bezładnie polskiemi słowami, których nie rozumiałam. Musiała to być modlitwa dziękczynna i zarazem modlitwa skruchy, gdyż coraz pokorniej chylił głowę w płomiennej spowiedzi, coraz namiętniej, coraz żarliwiej wybiegały z jego ust słowa o obcym dźwięku. Ręce jego obejmowały kurczowo drewniany klęcznik, a ciałem wstrząsał to w tę, to w tamtą stronę wewnętrzny orkan. Zdaje się, że nie wiedział o niczem: cały

świat był dlań czyśćcem wielkich przemian, czy też wzlotem w niebiańskie regjony.

Wkońcu wstał, przeżegnał się i z trudem zawrócił. Twarz miał bladą i wyczerpaną, kolana mu drżały. A gdy mnie zobaczył, oczy rozjaśniły się czystym, naprawdę pobożnym uśmiechem, zamigotały w twarzy, pełnej nieziemskiego uniesienia. Zbliżył się do mnie, ukłonił głęboko, aż do ziemi i podniósł ręce moje do ust:

— „Bóg zesłał mi panią. Właśnie Mu za to dziękowałem."

Nie dopisały mi słowa odpowiedzi. Pragnęłam jedynie, aby rozległ się w tej chwili wzniosły ton organów: oto człowiek został uratowany.

Wyszliśmy z kościoła wprost na światło promiennego dnia majowego: nigdy świat nie wydawał mi się piękniejszy. Przez dwie godziny jeszcze jeździliśmy po malowniczej drodze, otwierającej przy każdym zakręcie perspektywę nowych, coraz piękniejszych wzgórz. Ale nie mówiliśmy nic do siebie. Słowa wydawały się profanacją. I gdy spojrzenia nasze przypadkowo krzyżowały się, odwracałam się zawstydzona: zbyt piękne było to oglądanie cudu, który sama sprawiłam.

Około piątej popołudniu wróciliśmy do Monte Carlo. Musiałam się zobaczyć z krewnymi — niepodobna było odwołać dawno umówionego spotkania. W głębi duszy pragnęłam nawet jakiejś pauzy, odprężenia zbytnio napiętych uczuć. Zbyt wiele było szczęścia... Czułam, że muszę wypocząć po tym stanie ekstazy, jakiego nigdy dotychczas nie doznawałam.

Poprosiłam więc młodzieńca, aby wstąpił ze mną na chwilę do hotelu. Tam wręczyłam mu pieniądze na dalszą jazdę i wykupienie klejnotów. Umówiliśmy się, że on tymczasem załatwi bilet kolejowy. Potem spotkamy się o siódmej na dworcu i będziemy ze sobą przez pół godziny, aż do chwili odjazdu pociągu, który przez Genuę zawiezie go do kraju. Gdy chciałam mu wręczyć pięć banknotów, nagle zbielały mu wargi:

— „Nie... niech mi pani nie daje pieniędzy!..." — Palce dygotały mu nerwowo, zęby szczękały.

— „Nie chcę pieniędzy... nie mogę na nie patrzeć!"

Powtarzał te słowa ze strachem i wstrętem. Ale ja próbowałam wyperswadować mu wstyd, mówiąc, że mu pożyczam tylko pieniądze, i że jeśli chcę, może mi wystawić na nie kwit.

— „Tak... tak... kwit..." — schował banknoty do kieszeni, nie patrząc na nie wcale, jak na coś brudnego i lepkiego, i napisał na kartce kilka słów. Gdy skończył, czoło perliło się zimnym potem. Podał mi kartkę, a potem schylił się nagle — mimowoli cofnęłam się o krok przerażona — ukląkł i ucałował kraj mojej sukni. Nieopisanie piękny gest! Dziwny dreszcz przebiegł po mem ciele, wyjąkałam zmieszana:

— „Dziękuję panu za pańską wdzięczność. A teraz proszę już iść!... Pożegnamy się o siódmej, na dworcu..."

Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym wzruszenia. Przez chwilę zdawało mi się, że chce coś powiedzieć

— że nie ma chęci odejść. Lecz nie ... pochylił się tylko w ukłonie głębokim, bardzo głębokim — i opuścił pokój.“

* * *

Znów Mrs. C. przerwała — znów wstała i stanęła przy oknie. Domyśliłem się, z jej sylwetki, że raz po raz lekko drżała. Nagle odwróciła się zdecydowana, ręce jej, dotychczas ciche i spokojne, wykonały raptem jakiś ruch darcia czy szarpania. Spojrzała na mnie twardo i śmiało, a potem znów podjęła swą opowieść:

„Obiecałam panu zupełną szczerość. Widzę teraz, że obietnica ta była nieodzowna. Bo gdy próbuję opisać przebieg tamtych wypadków w ich chronologicznej ciągłości i dobierać odpowiednich wyrazów dla zawiłych i niejasnych uczuć — rozumiem te sprawy o wiele lepiej, niż rozumiałam czy chciałam rozumieć je wtedy, kiedy się działy.

I dlatego teraz z całą otwartością przyznam się panu — w owej chwili, kiedy młodzieniec opuszczał mój pokój — doznałam uczucia dziwnej niemocy, jakby mi ktoś zadał cios w samo serce. Było to uczucie śmiertelnego bólu, lecz nie wiedziałam — a może wzbraniałam się przed sobą samą, żeby nie wiedzieć — iż ów pełen szacunku stosunek mojego pupila do mnie był mi dziwnie bolesny.

Teraz, gdy zmuszam się do myślenia o własnej przeszłości, jak o czemś obcem i chcę, by wyznanie moje obyło się bez żadnych zatajeń, bez tchórzliwych niedomówień —widzę jasno: bolesne było dla mnie ... rozczarowanie ... Rozczarowanie, że chłopiec odszedł tak posłusznie ... że nie zdradził chęci

zatrzymania mnie przy sobie, pozostania przy mnie... że z takim szacunkiem przystał na pierwsze życzenie, zamiast... zamiast mnie poprosić, żebym wyjechała z nim razem... że czcił mnie, jak świętą... a nie... a nie spostrzegł we mnie... kobiety...

To było rozczarowanie, którego nie sformułowałam sobie ani wtedy, ani później... Bo wtedy... — już się nie łudzę teraz — gdyby ten człowiek zażądał, poszłabym za nim na koniec świata... splamiłabym nazwisko własne i moich dzieci... obojętna na ludzkie obmowy i nawet na głos rozsądku... poszłabym za nim bez wahania, jak owa Madame Henriette poszła za swoim Francuzem, którego nie znała dzień przedtem wcale... Nie pytałabym go, dokąd i na jak długo, nie obejrzałabym się wstecz na całe me życie... poświęciłabym dobrą sławę, honor, nazwisko, majątek, dla tego człowieka... poszłabym na żebraczy chleb... zdaje się, że niema na świecie nikczemności, do której on nie mógłby mnie nakłonić...

Żadne względy, ani żaden wstyd nie powstrzymałby mnie, gdyby ten chłopak jednem słowem próbował mnie skusić... tak blizką byłam zguby w owej chwili...

Ale — powiadam panu — ten człowiek nie zauważał we mnie kobiety... Gdy zostałam sama, wyczułam, jak bardzo mu jestem oddana... jak we mnie wszystko płonie... Namiętność, co po raz pierwszy odsłoniła przede mną seraficzne oblicze, już mi pierś tłoczyć poczęła swym mrocznym ciężarem. Zdawało mi się, że skronie uciska mi ciężki żelazny hełm... Myśl o zamówionej wizycie była mi wprost nieznośna...

Nie było jednak rady, z trudem wybrałam się do krewnych, zamieszkałych w innym hotelu. Siedziałam przygaszona, nie biorąc udziału w żywej pogawędce. Gdy wzrok mój napotykał twarze, nieruchliwe w porównaniu z grą świateł i cieni na tamtej twarzy — wydawały mi się wszystkie martwe i skostniałe. Zupełnie, jakbym była między nieboszczykami. Mieszałam cukier w filiżance, rozmawiałam, myślą wyraźnie gdzieindziej... a myśl moja przywoływała w płomiennej tęsknocie tamtą twarz, która sprawiała tyle radości swoim widokiem, a którą za dwie godziny miałam ujrzeć po raz ostatni....

Musiałam mimowoli westchnąć czy też jęknąć, gdyż kuzynka męża nachyliła się ku mnie z pytaniem, czy się niedobrze czuję — taka blada byłam i zbolała. To niespodziane pytanie posłużyło mi za sposobność do wymówki: powiedziałam, że mi dokucza migrena i że proszę gospodynię, by pozwoliła mi oddalić się natychmiast.

Ledwo wróciłam do hotelu, ogarnęło mnie znów uczucie pustki i osamotnienia, związane z gorącą tęsknotą za chłopcem, z którym miałam się rozstać na zawsze... Chodziłam po pokoju tam i z powrotem, otwierałam niepotrzebnie szuflady, wreszcie przebrałam się i stanęłam przed lustrem, aby ocenić objektywnie swą urodę w innym stroju... Wkońcu nieświadoma myśl i dla mnie stała się jasna: trzeba wszystko zrobić, aby tylko jego nie utracić!

W chwilę potem decyzja była gotowa. Zeszłam na dół do portjera i oznajmiłam mu, że wyjeżdżam wieczornym pociągiem. Potem zadzwoniłam na służącą, aby mi pomogła spakować rzeczy. Czas naglił.

I gdy pakowałyśmy w pośpiechu suknie do kufra i układałyśmy bylejak neseser, marzył mi się następujący obraz: jaka to będzie niespodzianka — odprowadzę go do pociągu i dopiero w ostatniej, najostatniejszej chwili — gdy już wyciągnie rękę na pożegnanie, powiem mu ... wsiadając do wagonu, że podaruję mu tę noc ... i następną — ile tylko zapragnie! — Jakiś dziwny zapał, jakieś zachwycenie ogarnęło mną; mimowoli śmiałam się głośno, ku zdumieniu pokojówki, układającej moje rzeczy. Sądzę, że nie byłam wtedy przy zupełnie zdrowych zmysłach. Gdy wszedł człowiek po kufer, spojrzałam na niego w pierwszej chwili zdziwiona: trudno było myśleć o codzienności w chwyli tak głębokiego wewnętrznego wzburzenia.

Czas naglił, było dwadzieścia minut do odejścia pociągu ... Wyniesiono już kufry, już regulowałam w kasie hotelowej rachunki, gdy wtem ktoś łagodnie położył mi dłoń na ramieniu. Drgnęłam. To kuzynka, zaniepokojona moją migreną, przyszła się dowiedzieć o stan mego zdrowia. Pociemniało mi w oczach. Każda sekunda zwłoki pociągała za sobą nieuchronne spóźnienie, takt wszakże zobowiązywał mnie do krótkiej choćby rozmowy.

— „Musisz się położyć," — rzekła, — „z pewnością masz gorączkę."

Może nie była tak daleka od prawdy, gdyż puls tętnił mi w skroniach, a przed oczyma przebiegały błękitne kręgi, jak w chwili przed omdleniem.

Z trudem udawałam wdzięczność gdyż w głębi duszy byłabym ją chętnie wyrzuciła za drzwi za tę niewczesną troskliwość. Ale niepożądany gość został... ku mojej rozpaczy! Podała mi wodę kolońską,

uparła się, że sama natrze mi skronie. Ja zaś rachowałam minuty i szukałam jakiejś wymówki, aby się pozbyć tego dokuczliwego współczucia. Ale im większy był mój niepokój, tem bardziej wydawał się jej podejrzany. Wkońcu postanowiła nie opuszczać mnie, dopóki jej się nie uda — choćby przemocą — położyć mnie do łóżka.

Nagle spojrzałam na zegar. Było za dwie minuty w pół do ósmej, a o siódmej trzydzieści pięć odchodził pociąg... I nagle, gwałtownie przerywając rozmowę, z rozpaczliwą brutalnością wyciągnęłam rękę do kuzynki:

— „Do widzenia, muszę wyjść!"

I nie oglądając się, nie troszcząc o jej zdumienie, wybiegłam jak szalona na ulicę. Na dworcu służący hotelowy, pilnujący rzeczy, dawał mi rozpaczliwe znaki. Zdaleka już wiedziałam więc, że jest najwyższy czas. Ślepo rzuciłam się do barjery, lecz konduktor nie chciał mnie puścić: zapomniałam kupić bilet. Chciałam go gwałtem prawie przymusić, żeby mnie wpuścił na peron... w tej samej chwili pociąg ruszył... Drżąc na całem ciele, przylgnęłam oczyma do mijających wagonów... może w któremś oknie ukaże się jego głowa — jakieś skinienie, jakiś ukłon... Lecz napróżno... Coraz szybciej sunęły wagony — po chwili przed oczyma była tylko pustka, tylko czarna chmura dymu...

Bóg wie, jak długo stałam, niby skamieniała. Służący hotelowy kilkakrotnie mnie zagadywał, nim ważył się dotknąć mej ręki: — „Czy bagaże mają wrócić do hotelu?" — Musiałam się parę chwil namyśleć. Nie, to było niemożliwe! Jakże wracać po tym wyjeździe, godnym pośmiewiska?

Nie, nigdy! Wobec tego kazałam mu oddać bagaż na przechowanie i pozostawić mnie samą.

Ludzie chodzili po hali dworcowej tu i tam, tłumy przelewały się, rozmawiały, hałasowały. W myślach moich był rozpaczliwy zamęt — gniew, ból, skrucha i udręka, żem z własnej winy zaniedbała ostatnie spotkanie... i ta myśl właśnie — czemu nie przyznać? — z niemiłosiernym bólem wwiercała się wprost w serce. Była, jak ostrze rozżarzone do białości — mało nie krzyczałam z bólu. Tylko ludzie, którzy nigdy nie przeżywają namiętności, mogą w pewnych momentach ulec jej sile, co spada, jak lawina, co druzgoce jak orkan. Całe lata niezużytych sił gromadzą się w piersi. Nigdy przedtem, ani nigdy potem nie przeżywałam podobnej niemocy, jak w owej chwili. Gdy byłam już gotowa poświęcić wszystkie zaoszczędzone dotychczas siły — znalazłam się przed nieprzebytym murem fatalności, o który rozbijała się bezsilnie moja namiętność.

Co miałam zrobić ze sobą?... Mogę powiedzieć panu tylko tyle — było to głupie, bez sensu, szalone — wprost wstydzę się opowiedzieć... szukałam go znów... To jest, chciałam, by wróciły te chwile, któreśmy wspólnie przeżyli... ciągnęło mnie do tych miejsc, gdzie go widziałam... Zobaczyć raz jeszcze tę ławkę w parku, salę kasyna, gdzie go ujrzałam po raz pierwszy... nawet ową ohydną spelunkę, aby tylko jeszcze raz... jeszcze raz przywrócić przeszłość... A nazajutrz zamierzałam pojechać wzdłuż Corniche... tą samą drogą, aby odnowić w pamięci wszystkie jego słowa, wszystkie jego gesty...

Dziecinne to było wszystko i bezsensowne. Lecz proszę pomyśleć, z jaką szybkością rozgrywały się wszystkie wypadki — dla mnie był to jeden wielki, ogłuszający cios. Zbyt szorstko i gwałtownie zbudzona z odurzenia, pragnęłam raz jeszcze wypić wszystkie przeżycia, haust za haustem, przy pomocy owej magicznej ułudy, którą ludzie nazywają wspomnieniem. Może — aby zrozumieć świat tych spraw, trzeba samemu mieć płonące serce...

Poszłam więc naprzód do kasyna, aby odszukać ten stół, przy którym on wczoraj siedział i wpośród tysiąca innych rąk wyobrazić sobie jego ręce... Był to stół z lewej strony w drugiej sali, dobrze pamiętałam. Z zamkniętemi oczyma odnalazbym to miejsce...

Przeszłam przez salę. A gdym jeszcze przy drzwiach rzuciła okiem na tłumy... zdawało mi się... to dziwne... właśnie na miejscu, na którem go sobie wyobrażałam... co za halucynacja!... Nie, to rzeczywiście on... On, on.. tak jak wczoraj... oczy, drętwo skierowane na kulkę, twarz blada, jak widmo... On... z pewnością on...

Przeraziłam się tak bardzo, że byłam bliska okrzyku. Lecz pohamowałam się, i szeptałam do siebie, przymknąwszy oczy:

— „Jesteś szalona... śnisz... to wizja gorączkowa... wyjechał przecież... to przywidzenie... halucynacja..."

Wreszcie otworzyłam oczy. A jednak — tak jak przedtem, siedział we własnej osobie... wpośród miljona rąk poznałabym te ręce... nie, to nie był sen, to był on — rzeczywiście!

Wcale nie wyjechał, choć mi przysięgał — na zielonym stole leżały pieniądze, przeznaczone na podróż ... znów go tu przywiodła nieugaszona namiętność... zapomniał o wszystkiem ... a mnie tymczasem serce za nim się rwało ...

Wściekłość czerwoną falą zamroczyła mi oczy, wściekłość na tego krzywoprzysięzcę, który tak bezwstydnie zawiódł moje zaufanie i uczucia... pragnęłam go zdusić za gardło! Z umyślną powolnością (ileż mnie to kosztowało!) podeszłam do stołu — jakiś pan uprzejmie usunął się i odstąpił mi miejsce właśnie naprzeciw niego. Dzieliły nas dwa metry zielonego sukna — mogłam się dowoli napatrzeć w jego twarz, w tę samą twarz, którą widziałam przed dwiema godzinami, opromienioną wdzięcznością i łaską niebiańską — teraz znów ją pożerały piekielne ognie namiętności. Ręce, te same ręce, które dziś jeszcze składały się pobożnie dla najświętszej przysięgi — teraz znów zagarniały pieniądze, jak lubieżne wampiry.

Tym razem wygrał — musiał już wiele wygrać: tuż przed nim leżały porozrzucane banknoty, migotały złote luidory, a nerwowe jego palce zanurzały, pławiły się w złocie. Widziałam, jak gładziły banknoty, jak pieściły okrągłe monety — jak nagle chwytały pełną garść i rzucały ją na któryś z kwadratów. Znów falowały nozdrza, znów oczy pożądliwie wpijały się w rozigraną kulkę, gdy tylko rozlegało się wołanie krupiera — łokcie jego wydawały się przykute do zielonego stołu. Jeszcze wyraźniej, jeszcze groźniej uwypuklało się to jego opętanie, — każdy ruch zabijał we mnie poprzedni świetlany, lekkomyślnie stworzony ideał.

Dwa metry dzieliły nas tylko. Patrzyłam na niego wciąż, bezustanku, a on o tem nic nie wiedział. Zmysły jego były oczarowane i zamknięte tym zielonym kręgiem, w którym leżały pieniądze i toczyła się kulka rulety. Cały świat i cała ludzkość zawarta była w kwadratowym kawałku sukna. I mogłabym tak stać jeszcze kilka godzin pod rząd, a on nie przeczuwałby nawet mojej obecności...

Lecz ja miałam już tego dość. W nagłej decyzji obeszłam stół dookoła, stanęłam za nim i położyłam mu szorstko dłoń na ramieniu. Spojrzał na mnie szklistemi źrenicami tak jak spogląda pijany obudzony ze snu i pełen jeszcze swych mglistych rojeń. Po chwili zaczął mnie rozpoznawać — wyszeptał tonem tajemniczej poufałości:

— „Dobrze mi idzie... Wiedziałem, jak on przyszedł, jak zobaczyłem go... wiedziałem, że dobrze mi pójdzie..."

Nie zrozumiałam nic — prócz tego, że upojony grą, ten szaleniec zapomniał o swojej przysiędze, o umowie ze mną. o mnie i o całym świecie. I tym razem ekstaza ta była tak porywająca, że mimowoli musiałam zapytać, o kim on mówi.

— „Tam siedzi stary rosyjski generał... o jednej ręce" — szeptał cichutko, aby nikt nie podsłuchał tej magicznej tajemnicy — „...ma białe faworyty... ordynans stoi za jego krzesłem... Już wczoraj zauważyłem, że zawsze wygrywa... musi mieć jakiś system... więc ja stawiam na to samo, co on.. Wczoraj też wygrał... ale zrobiłem ten błąd, że grałem jeszcze po jego odejściu... to był gruby błąd... wczoraj wygrał ze dwadzieścia tysięcy franków, i dziś też za każdym razem wy-

grywa... więc ja stawiam na to samo, co on... Teraz..."

Przerwał w środku zdania, gdyż krupier zawołał chrapliwie: „Faîtes votre jeu!" Oczy jego chciwie wpatrywały się w miejsce, gdzie poważnie i uroczyście rozsiadł się siwobrody Rosjanin. Generał zastanowił się, pomyślał, poczem położył jedną monetę — a po chwili wahania i drugą na ten sam czwarty kwadrat.

Natychmiast obie rozpalone ręce nieznajomego chwyciły pełną garść monet i cisnęły na to samo miejsce. Krupier zawołał: „Zero!" —i grabki jego ogołociły w ciągu jednej chwili cały stół. Nieznajomy spoglądał na uciekające pieniądze, jak na jakiś cud.

Sądzi pan, że obrócił się do mnie? Nie, zupełnie zapomniał o mej obecności. Moja osoba była wymazana z jego życia — wszystkie zmysły ciążyły w stronę rosyjskiego generała, który z całkowitą obojętnością znów ważył dwie monety w dłoni, zastanawiając się, na co je postawić.

Nie potrafię panu opisać mego gniewu i rozpaczy. Proszę sobie wyobrazić podobne uczucie: znaczyć dla kogoś, komu się całe życie przyniosło w ofierze, nie więcej, niż mucha, którą się odpędza, skoro zbyt jest naprzykrzona! Znów wróciła fala wściekłości. Chwyciłam go za rękę z całej siły:

— „Pan natychmiast wstanie!" — szepnęłam cicho, lecz nakazująco. — „Proszę sobie przypomnieć, co pan mi dziś przysiągł w kościele, nędzny wiarołomco!"

Zbladł i spojrzał na mnie zmieszany. Oczy jego miały wyraz oczu zbitego psa, a wargi mu

drżały. Zdaje się, że odrazu przypomniał sobie o wszystkiem — przejął go strach przed sobą samym.

— „Tak... tak...“ bełkotał, — „o mój Boże!... o mój Boże!... Tak... idę już... przepraszam bardzo...“

I już zgarniał jednym gwałtownym gestem wszystkie pieniądze — gdy wtem zawahał się jednak, jak pod działaniem niewidzialnego oporu. Wzrok jego padł na rosyjskiego generała, który w tej właśnie chwili kładł stawkę.

— „Jeszcze chwilkę...“ — rzucił szybko pięć sztuk złota na to same pole, — „jeszcze tylko ten raz... Przysięgam, że natychmiast pójdę... tylko ten jeden raz... tylko raz...“

Głos jego znów przygasł. Kulka zaczęła wirować, porwał go ten wir. Znów przykuła go do siebie zawrotna szybkość krążka, w którym podskakiwała i toczyła się mała kulka. Znów wołał krupier, znów grabki zagarnęły jego stawkę. Przegrał. Ale się nie odwrócił i tym razem. Zapomniał o mnie tak samo, jak o przysiędze, jak o słowie, danem przed chwilą. Ręka pożądliwie sięgnęła po topniejącą już grudkę pieniędzy, a spojrzenia jego nie odrywały się od siedzącego naprzeciw faworyta losu, tak jak nie odrywa się żelazo od magnesu.

Cierpliwość moja skończyła się. Chwyciłam go za rękę znowu, tym razem już gwałtowniej:

— „Niech pan natychmiast wstanie!... Natychmiast! Mówił pan, że tylko ten raz!...“

Reakcja była nieoczekiwana. Zerwał się nagle — twarz jego straciła już poprzedni wyraz pokory i zakłopotania, przeciwnie: wargi drżały z wście-

kłości, oczy płonęły gniewnie, wyglądał, jak obłąkany.

— „Niech mi pani da spokój! Niech pani stąd idzie! Pani mi przynosi nieszczęście! Zawsze przegrywam w pani obecności. I wczoraj, i dziś... Proszę sobie iść!“

Na chwilę osłupiałam. Ale i mój gniew niemniejszy był od jego pasji:

— „Ja przynoszę panu nieszczęście? Kłamca, złodziej, co mi przysięgał...“

Nie dokończyłam, gdyż opętaniec podskoczył i odepchnął mnie, nie zwracając uwagi na otaczających nas ludzi.

— „Proszę dać mi spokój!“ — krzyknął głośno, nie panując nad sobą, — „nie jestem pod pani kuratelą... ma pani swoje pieniądze!“ — i rzucił mi kilka stufrankówek, — „może teraz pani da mi spokój!“

Wobec tylu ludzi... na głos... Wszyscy zaczęli mi się przyglądać, uśmiechać, szeptać między sobą, z sąsiedniej sali cisnęło się kilku ciekawskich. Zdawało mi się, że rozebrano mnie do naga wobec tego tłumu...

— „Silence, Madame, s'il vous plaît!“ — powiedział krupier głośno i rozkazująco, przyczem stuknął grabkami po stole.

Poniżona, zawstydzona, stałam wobec rozszeptanego tłumu, jak prostytutka, której rzucono pieniądze.

Dwieście, trzysta par bezwstydnych oczu wpijało mi się w twarz... A na domiar złego, gdy usuwałam się na bok, zgięta do ziemi pod tem jarzmem wstydu i poniżenia, ujrzałam czyjeś oczy, pełne

bolesnej niespodzianki — usta, aż otwarte ze zdziwienia i dłoń, uniesioną w górę, jak w momencie strachu... Była to moja kuzynka.

To mnie dobiło. Nim zdążyła się ruszyć, nim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, już mnie nie było w sali. Poprostu coś mnie poniosło — i to właśnie na tę samą wczorajszą ławkę... Tak samo bezsilna, tak samo zdruzgotana, tak samo zbolała opadłam na twarde bezlitosne drewno...

Minęło już dwadzieścia cztery lata od owej chwili, gdym stała wobec obcych ludzi, wychłostana jego szyderstwem, a gdy przypominam sobie ową chwilę, czuję, że krew mi w żyłach zastyga. Jakże nędzną, ubogą i mizerną musi być ta substancja, którą nazywamy wielkiem słowem „dusza", „uczucie", „ból" — skoro nie ma dość siły, aby rozsadzić umęczone ciało — skoro można przetrwać podobne chwile i nie paść pod ich ciosem, jak pada drzewo, rażone gromem!

Tylko na jedną chwilę ból podciął mi nogi, że bez tchu upadłam na ową ławkę, z rozkosznem prawie przeczuciem natychmiastowej śmierci. A jednak — ból jest tchórzliwy, cofa się przed potężnem pragnieniem życia, które mocniej wiąże się z powłoką cielesną, niż żądza śmierci z ludzką duszą. Nie rozumiem, jak to się działo po podobnem rozbiciu wewnętrzem — ale jednak podniosłam się, nie wiedząc wszakże, co dalej robić ze sobą. I nagle przyszło mi na myśl, że moje kufry są już na dworcu — ach, wyjechać stąd, natychmiast wyjechać z tego piekła!

Pobiegłam co sił na dworzec i spytałam, o której odchodzi pociąg do Paryża. „O dziesiątej," odpowie-

dział portjer. Natychmiast kazałam nadać mój bagaż.

Dziesiąta... Właśnie upłynęły dwadzieścia cztery godziny od owego fatalnego spotkania — doba, wypełniona burzą zmiennych przeżyć, które na zawsze rozbiły mój świat wewnętrzny.

W pierwszej chwili czułam tylko jedno słowo, które jak młotem kuło swój przejmujący rytm: „Precz! precz! precz!" Puls w skroni uderzał tem samem tętnem: „Precz! precz! precz!" Uciekać z tego miasta, uciekać od siebie samej — do domu, do moich blizkich, do poprzedniego życia! Jechałam przez całą noc do Paryża, stamtąd, z innego dworca do Boulogne, z Boulogne do Dover, z Dover do Londynu, z Londynu do mego syna — w tej nieustannej ucieczce przed własnemi myślami, czterdzieści osiem godzin bez snu, bez jedzenia, bez jednego słowa! Przez czterdzieści osiem godzin koła turkotały jednostajnie rytm tego wyrazu: „Precz! precz! precz!"

Gdy zjawiłam się niespodzianie w posiadłości mego syna, wszyscy się przerazili: była jakaś zmiana w mojej osobie, w spojrzeniu, która mnie zdradzała. Syn mój chciał mnie objąć i ucałować. Cofnęłam się: nie mogłam znieść myśli, że chce dotknąć warg, które uważałam teraz za zbezczeszczone. Unikałam wszelkich pytań — poprosiłam tylko o kąpiel, musiałam bowiem zmyć wraz z kurzem podróżnym wszystek brud z mego ciała, który przylgnął do mnie z tej niegodnej namiętności. Po kąpieli udałam się do mego pokoju i usnęłam na dwanaście czy czternaście godzin ciężkim kamiennym snem, jakim chyba tylko śpi się w trumnie.

Krewni moi obchodzili się z mną, jak z chorą, ale troskliwość ich była mi wprost bolesna, zawstydzał mnie ich szacunek. Musiałam się strzedz nieustannie, aby nie wykrzyczeć ze siebie prawdy, jak bliską byłam tego, by ich porzucić, zdradzić i zapomnieć w imię obłąkańczej namiętności.

Potem znów wyjechałam, bez żadnego celu, do jakiegoś małego miasta we Francji, gdzie nikt mnie nie znał. Prześladowała mnie bowiem myśl, że każdy człowiek od pierwszego rzutu oka pozna moją hańbę i przemianę, tak czułam się do głębi duszy zbrukana. Czasem, gdy budziłam się rano, doznawałam śmiertelnego lęku przed otwarciem oczu. Dręczyło mnie wspomnienie owej nocy, gdy zbudziłam się nagle obok obcego, napół nagiego człowieka — i znów, jak wtedy, miałam jedno pragnienie: natychmiast umrzeć.

Lecz przecież czas ma wielką władzę nad uczuciami, a wiek — dziwny przywilej ich przewartościowywania. Gdy czujemy zbliżającą się śmierć, w czarnym jej cieniu, co nam drogę krzyżuje, wszystkie sprawy zatracają ostrość konturów i niebezpieczną potęgę. Stopniowo wracałam do równowagi po owym wstrząsie.

Po wielu latach spotkałam w jakiemś towarzystwie młodego Polaka, attaché przy austrjackiem poselstwie. Na zapytanie o ową rodzinę, odpowiedział mi, że syn jednego z jej członków zastrzelił się przed dziesięciu laty w Monte Carlo. Wiadomość ta nie sprawiła mi bólu, może nawet — po co ukrywać egoizm? — czułam poniekąd ulgę, że ostatnia obawa: spotkania się z nim — minęła bezpowrotnie. Nie miałam przeciwko sobie żadnych

świadków, oprócz własnych wspomnień. Od tej chwili uspokoiłam się znacznie. Wszak starzeć się nie znaczy nic innego, jak przestać się obawiać przeszłości.

Teraz zrozumie pan, dlaczego zaczęłam z panem mówić o historji własnego życia. Gdy pan tak namiętnie bronił Madame Henriette i wypowiedział zdanie, że dwadzieścia cztery godziny mogą postanowić o losie kobiety — czułam dla pana wdzięczność, gdyż po raz pierwszy spotkałam człowieka tej samej co ja opinji.

Pomyślałam sobie wtedy: może, gdy raz się wypowiem do dna duszy, wyzbędę się tych krępujących więzów. Może jutro będę mogła przejść przez tę salę, w której spotkałam moje przeznaczenie — i wyjść bez uczucia nienawiści do losu i do siebie samej. Ciężki głaz stoczył się z serca, całym ciężarem legł na przeszłości, aby już nie zmartwychwstała. Dobrze, że opowiedziałam panu to wszystko: jest mi lekko i prawie radośnie na duszy . . . dziękuję panu za to.“

* * *

Mówiąc te słowa, podniosła się nagle. Czułem, że jej opowieść jest skończona. Szukałem w zakłopotaniu jakiegoś słowa. Mrs. C. musiała dostrzec moje usiłowania, gdyż odparła szybko:

— „Nie, proszę nic nie mówić . . . Nie trzeba odpowiadać... Dziękuję panu, żeś mnie wysłuchał... a teraz, niech pan wyjeżdża . . . Szczęśliwej drogi!“

I wyciągnęła do mnie dłoń na pożegnanie. Mimowoli spojrzałem na jej twarz, zdziwiony i wzruszony jednocześnie. Czy to odblask minionej namiętności

— czy też znak zmieszania: — rumieniec oblał jej policzki aż po koronę siwych włosów. Stała przede mną zawstydzona jak dziewica, wstrząśnięta wspomnieniami i własną spowiedzią.

Bardzo pragnąłem okazać jej jakiemś słowem wzruszenie i szacunek. Ale wyrazy uwięzły mi w gardle. Pochyliłem się tylko nizko i z czcią ucałowałem jej rękę, zwiędłą i drżącą, jak liść jesienny.

AGONJA SERCA

Stary pan — (nazywał się Salomonson, był tajnym radcą komercyjnym) — zbudził się nocą wskutek silnego bólu. Działo się to w hotelu w Gardonie, gdzie, korzystając ze świąt Wielkanocnych, towarzyszył swej rodzinie. Jak gdyby ostre obręcze wrzynały się w ciało, dech z mozołem wydobywał się z piersi. Stary pan przeląkł się, cierpiał wszak na kamienie żółciowe. Wbrew radzie lekarza, który mu przepisał kurację karlsbadzką, wyjechał na południe, mając na względzie swą rodzinę. Obawiając się jednego z owych niebezpiecznych ataków, trwożliwie obmacywał zażywne swe ciało. Lecz niebawem stwierdził z ulgą, mimo dręczącego bezustannie bólu: było to tylko ściskanie w żołądku, powstałe widocznie wskutek nienawyknienia do włoskiej kuchni, albo też wskutek lekkiego zatrucia, jakiemu często podlegają turyści. Westchnął głębiej; drżąca dłoń opadła, lecz ucisk nie minął, wciąż tamował oddech. Stary pan, jęcząc, podniósł się z łóżka, aby użyć nieco ruchu.

Istotnie, ucisk był mniej dotkliwy, gdy wstawał lub poczynał chodzić. Lecz w ciemnym pokoju niewiele było miejsca, przytem obawiał się zbudzić żonę śpiącą w sąsiednem łóżku, nie chciał niepokoić jej zbytecznie. Więc narzucił szlafrok na siebie, wdział filcowe pantofle na bose stopy i pomacku, ostrożnie wyszedł na korytarz, aby tam uśmierzyć duszność.

W chwili, gdy otwierał drzwi, wiodące w ciemny korytarz, przez szeroko otwarte okna wbiegł dźwięk zegara z wieży kościelnej: cztery ude-

rzenia, zrazu głośne, później zwolna głuchnące nad wodą: czwarta nad ranem.

Długi korytarz tonął w kompletnych ciemnościach. Lecz stary pan pamiętał dokładnie z doświadczeń dnia, że korytarz biegł prosto i że był bardzo przestronny. Kroczył więc, nie zapaliwszy światła, od jednego końca do drugiego, tam i napowrót, ciężko oddychając, rad, że owa obręcz, pierś opasująca, rozluźniła się nieco. Już gotów był wrócić do pokoju, gdyż dobroczynny zabieg prawie całkowicie ułagodził ból — wtem szmer jakiś zatrzymał go i przeraził. Szmer, szelest w mroku, niewiadomo skąd, ledwo dosłyszalny, a jednak niezaprzeczony. Jakiś skrzyp drzwi, jakiś szept, coś się poruszyło, z wpółotwartych drzwi na oka mgnienie przeszył bezkształtną pomrokę wąziutki stożek światła. Cóż to było?

Stary pan mimowoli wcisnął się w kąt — nie z ciekawości, lecz jedynie ze zrozumiałego zawstydzenia; nie chciał wszak być przyłapany na tak osobliwej nocnej wędrówce. Lecz prawie wbrew woli spostrzegł w owej sekundzie, kiedy światło błysnęło w przejściu, że jakaś niewieścia postać w bieli prześlizgnęła się i znikła w końcu korytarza.

I rzeczywiście, u jednych z ostatnich drzwi zgrzytnęła leciutko klamka. Potem — znów ciemność i cisza niczem niezmącona.

Stary pan zatoczył się nagle, jak ugodzony w samo serce. Tam... w najodleglejszym krańcu korytarza, tam, gdzie poruszyła się zdradziecko klamka... tam były... tam było tylko jego mieszkanie, trzypokojowy apartament, wynajęty dla rodziny. Żona? — zostawił ją kilka minut temu,

pogrążoną we śnie... nie, złudzenie było niemożliwe — postacią w bieli, która nocą wracała z obcego pokoju, mogła być jedynie Erna, jego córka, dziewiętnastoletnia córka...

Stary człowiek trząsł się na całem ciele, zimnym dreszczem przeszyła go zgroza. Jego córka Erna, jego dziecko, pogodne, swawolne dziecię... nie, to niemożliwe, musiał się pomylić. Lecz cóż mogła ona robić w obcym pokoju, jeśli nie... Odpychał od siebie myśli, niby dzikie bestje... lecz straszne widziadła panoszyły się w mózgu, szponami wpijał się obraz skradającej się postaci, niezatarty, niezniszczalny: musiał, musiał mieć pewność. Ciężko dysząc, brnął poomacku wzdłuż ściany korytarza, aż do jej drzwi, sąsiadujących z jego drzwiami. To straszne: właśnie tutaj, właśnie przy tych drzwiach, jedynych w całym korytarzu, drżała wąziutka niteczka światła u szczeliny, a dziurkę od klucza przeszywał zdradziecki biały punkt: o czwartej nad ranem było jeszcze światło w jej pokoju. I oto nowa poszlaka: trzask elektrycznego kontaktu, biały sznureczek światła rozpłynął się bez śladu w czerni — nie, nie, nic nie pomoże samookłamywanie się — to była ona, Erna, jego córka, to ona w nocy skradała się z cudzego łóżka do własnego.

Stary człowiek trząsł się z zimna i zgrozy; w jednej chwili pot oblał mu całe ciało. Pierwszą myślą jego, było wybić drzwi, pięściami wytłuc ją, bezwstydną! Lecz nogi chwiały się pod szerokim korpusem. Ledwo znalazł siły, aby zwlec się do pokoju, do łóżka. W głowie mu się mąciło,

upadł na poduszki, jak śmiertelnie rażone zwierzę...

* * *

Stary pan leżał nieruchomo w łóżku, z oczyma utkwionemi w ciemność. Tuż obok słyszał syty, beztroski oddech żony.

W pierwszym impulsie chciał ją obudzić szarpnięciem, podzielić się strasznem odkryciem, wyszaleć, wykrzyczeć ze siebie ból. Ale jak tę okropność wypowiedzieć, jakiemi słowami? Nie, nigdy, przenigdy te słowa nie przejdą mu przez usta. Więc co robić? Co robić?

Próbował się zastanowić. Ale myśli krążyły, tłukły się o siebie, jak ślepe nietoperze. To potworne: Erna, dziecko delikatne, dobrze ułożone, o zalotnych oczętach... czyż to dawno zastawał ją przy elementarzu, gdy mozolnie wodziła małym różowym paluszkiem wzdłuż trudnych liter... jak dawno prowadził ją w bladoniebieskiej sukieneczce, wprost ze szkoły do cukierni... jak dawno brał dziecięce pocałunki z usteczek, jeszcze lepkich od słodyczy? Czyż to nie wczoraj było?...

Nie, to było przed laty... A wczoraj, tak, właśnie wczoraj z jakim dziecinnym wdziękiem błagała go, żeby jej kupił sweater, błękitno-złoty sweater, który się pysznił na wystawie pstremi barwami. „Tatuśku, proszę cię, tatuśku" — prosiła, złożywszy łapki, z pewnym siebie, radosnym śmiechem, któremu nigdy nie mógł się oprzeć... A teraz, dziesięć cali od jego drzwi, nocą skradała się do łóżka obcego mężczyzny, tarzała się w niem, gorąca i naga...

— „O Boże! ...“ — mimowoli jęknął stary człowiek. — „Taki wstyd! taka hańba! moje dziecko, delikatne, wychuchane dziecko z jakimś mężczyzną ... Z kim? Kto to mógł być? Dopiero od trzech dni jesteśmy w Gardonie, przedtem nie znała żadnego z tych wymuskanych dudków: ani tego wąskogłowego Conte Ubaldi, ani tego włoskiego oficera, ani tego wyścigowca z Meklemburga ... onegdaj, podczas tańca, poznała ich ... i już jeden z nich miałby ją ... Nie, to nie mógł być pierwszy, o, nie ... musiało się wcześniej rozpocząć ... jeszcze w domu ... a ja nie wiem nic, nic nie przeczuwałem, głupiec, ciężki głupiec ... I wogóle co ja wiem o nich? Przez cały dzień haruję dla nich, czternaście godzin siedzę w kantorze, tak jak dawniej siedziałem w pociągu z walizami próbek ... aby tylko im pieniędzy dostarczyć, pieniędzy, aby były bogate, aby mogły sobie nakupić ładnych szmatek ... wieczorem przychodzę do domu, zmordowany, zmęczony, wtedy one wychodzą: z wizytą, na bal, do teatru ...

Czy ja wiem co o nich, jak spędzają cały dzień? ... To tylko wiem teraz, że moje dziecko oddaje swe młode czyste ciało mężczyznom, jak dziewka z ulicy ... O! co za hańba!“

Stary człowiek jęknął raz jeszcze. Każda nowa myśl pogłębiała ranę; zdawało mu się, że w otwartym mózgu, całym we krwi, kłębią się czerwone glisty.

— „Ale poco ja to wszystko znoszę? Czemu zadręczam się i nie śpię, gdy ona tymczasem

wysypia się do syta — gdy wypoczywa jej splugawione ciało? Dlaczego nie wszedłem do jej pokoju, żeby wiedziała, że ja znam jej hańbę? ... Bo ja jestem słaby ... bo ja jestem tchórzliwy ... Zawsze byłem słaby wobec nich ... we wszystkiem im ustępowałem ... taki dumny byłem z tego, że im ułatwiam życie, skoro moje było chybione ... pazurami wydzierałem pieniądze, grosz do grosza ... dałbym sobie rękę uciąć, żeby tylko im sprawić radość ...

A gdy tylko dałem im bogactwo, zaczęły się mnie wstydzić ... za mało elegancki byłem dla nich ... za mało wykształcony ... A gdzie miałem się kształcić? Odebrano mię ze szkoły, gdy miałem dwanaście lat ... musiałem zarabiać, zarabiać, zarabiać ... dźwigać walizy kolekcyjne ... jechać od miasta do miasta, od wsi do wsi, zanim wreszie własne biuro otworzyłem ... Ledwo poczuły się na wyższym szczeblu, we własnej kamienicy — zaczęło je razić moje stare uczciwe nazwisko ... Musiałem nabyć sobie tytuł „tajnego radcy“, aby nikt mojej żony nie nazywał poprostu „panią Salomonson“, żeby mogła być dystyngowana ... Dystynkcja! dystynkcja! Wyśmiewały się ze mnie, gdym się bronił przed ich dystynkcją, przed ich „wytwornem“ towarzystwem, gdy opowiadałem, jak moja nieboszczka matka prowadziła dom cichy, skromny, tylko dla ojca i dla nas ... nazywały mię „staromodnym“ ... „Ty jesteś staromodny tatuśku“ — żartowała sobie zawsze ... Tak, staromodny ... a teraz wyleguje się z obcym mężczyzną w obcem łóżku — moje dziecko, moje dziecko jedyne ... Och, co za wstyd, co za wstyd!“

Tak straszny szloch wydarł się z jego piersi, iż żona przebudziła się.

„Co się stało?“ — spytała zaspana.

Stary pan nie poruszył się, wstrzymał oddech. I tak leżał nieruchomy w mrocznej trumnie swej męki aż do świtu, żarty przez myśli, jak przez czerwie.

* * *

Nazajutrz rano pierwszy zasiadł do śniadania. Siadł z westchnieniem — każdy kęs dławił go w gardle.

„Znów sam — myślał — zawsze sam! Gdy rankiem idę do biura, jeszcze śpią wygodnie po wczorajszych tańcach i teatrach ... gdy wracam wieczorem, znów ich niema: rozrywki, wizyty ... tam mnie nie potrzebują ... pieniądze popsuły je, przeklęte pieniądze ... to nas rozdzieliło ... ja głupiec, zgarniałem je chciwie, okradając samego siebie przytem ... złoto je popsuło, a mnie zubożyło ... pięćdziesiąt bezmyślnych lat harowałem, jedynego dnia wolnego nie użyczyłem sobie, a teraz zato jestem sam!“

Stopniowo tracił cierpliwość. „Dlaczego ona nie przychodzi ... muszę z nią mówić, muszę jej powiedzieć ... wyjechać stąd natychmiast ... dlaczego nie przychodzi ... pewno jeszcze zmęczona, śpi sobie wybornie z czystem sumieniem, a mnie się serce krwawi, mnie, staremu głupcowi ... Matka też stroi się godzinami, musi się wykąpać, wycackać, manikurować, ondulować ... nie zejdzie przed jedenastą ... Czy to dziw? Co może wyrosnąć z dziecka? — To pieniądze winny, przeklęte pieniądze!“

Z tyłu zaskrzypiały czyjeś lekkie kroki.

— „Dzień dobry, tatuśku, dobrze, spałeś?“

— Z boku ktoś nachylił się, miękki przelotny pocałunek musnął tętniącą skroń. Mimowoli cofnął głowę; słodkawy, duszny zapach perfum Coty'ego wzbudził w nim wstręt... A potem...

— „Co ci jest, tatuśku... znów w złym humorze?... Kelner, proszę kawę i ham and eggs... Źle spałeś czy złe wiadomości?“

Stary pan przemógł się. Schylił głowę, nie mając odwagi spojrzeć na nią, i milczał. Tylko jej ręce widział na stole, ukochane ręce, wypielęgnowane, co niedbale spoczywały jak spieszczone wysmukłe charciki na śnieżnej darni obrusa. Zadrżał. Trwożliwie przebiegł wzrokiem wątłe dziecięce ramiona, jeszcze dziecinne, które dawniej... jak dawno temu? obejmowały go na dobranoc... Ujrzał pięknie sklepione piersi, lekko dżące w takt oddechu pod nowym sweatrem.

— „Naga... naga... tarzała się z obcym mężczyzną“... — myślał zawzięcie. — „Miał w objęciach, dotykał, głaskał, rozsmakowywał się, używał... moja krew... moja kość... dziecko moje... ten obcy łotr... o... o...“

Mimowoli znów jęknął.

— „Co ci jest, tatuśku?“ — tuliła się przymilnie.

— „Co mi jest?“ — huczało w nim — „mam córkę ladacznicę, i brak mi odwagi, aby jej to powiedzieć.“

Mruknął jednak niewyraźnie: „Nic! nic!“ i skwapliwie porwał gazetę, ażeby rozpostarte stronice stworzyły palisadę przed jej pytającym wzrokiem,

coraz mniej bowiem czuł się na siłach spojrzeć jej w oczy. Ręce mu drżały.

„Teraz muszę jej powiedzieć, teraz, póki jesteśmy sami“ — dręczył się w myśli. Lecz głos odmówił mu posłuszeństwa i nie znalazł nawet siły, aby choć raz podnieść wzrok z nad gazety.

Nagle pchnął krzesło i ciężko stąpając, poszedł w stronę ogrodu. Czuł bowiem, że wbrew woli wielka łza toczy się po policzku. A tego ona nie powinna była widzieć.

* * *

Stary przysadzisty pan błądził po ogrodzie i osłupiałym wzrokiem spoglądał na jezioro. Oczy jego, ślepe od niewylanych łez, nie mogły obronić się jednak piękności krajobrazu. Skąpane w srebrzystym blasku falowały zielone wzgórza, łagodne w barwie, znaczone czarnemi pręgami cyprysów. Ponad niemi — stromość gór, panujących nad wdzięczną rozlewnością jeziora, surowo lecz nie wyniośle — tak jak stateczni mężowie patrzą na niefrasobliwe igraszki ukochanej dziatwy. Jakże łagodnie rozpościerał się ten widok, gościnny, otwarty, kwiecisty, jakże kusił ten nieskończenie święty uśmiech Boga do dobroci i szczęśliwości!

„Szczęśliwy!“ — stary człowiek kiwał głową, ciężką od trosk...

„Tu można być szczęśliwym. I ja raz chciałem, chciałem odczuć, jak piękny jest świat bez trosk... jedyny raz, po pięćdziesięciu latach rachunków i bazgrania, targów i frymarki, chciałem przeżyć kilka jaśniejszych dni... jeden, jedyny raz

w życiu, nim mię pochowają... gdy się ma sześćdziesiąt pięć lat, mój Boże, to się już stoi nad grobem... ani doktorzy, ani pieniądze nic nie pomogą... chciałem przedtem odetchnąć pełną piersią, raz w życiu dla siebie... Mój nieboszczyk ojciec nieraz mawiał: „Przyjemności — to nie dla nas, my musimy ciężar taszczyć na grzbiecie aż do grobu"... Wczoraj myślałem, że i mnie raz będzie dobrze... wczoraj byłem prawie szczęśliwym człowiekiem, cieszyłem się z mojej ślicznej jasnej dziewczynki, radowałem się jej radością... i Bóg już mnie ukarał, już mi to zabrał...

Bo to co się stało, już się nie odstanie... Nie mogę mówić z rodzonem dzieckiem... nie mogę jej w oczy spojrzeć, tak bardzo się wstydzę... Będę wciąż myślał o tem, wszędzie, w domu, w biurze, w nocy... gdzie ona jest, gdzie była, co robiła? Nigdy nie przyjdę spokojny do domu, a ona nie wybiegnie mi naprzeciw, jak niegdyś... Serce we mnie rosło, gdy na nią patrzyłem, taką młodą, taką ładną... Gdy mię pocałuje, będę pytał się w myśli, kto wczoraj całował te wargi... Żyć w nieustannym strachu, kiedy jej niema w pobliżu, a kiedy jest, wstydzić się w oczy spojrzeć... Nie, tak żyć nie można... tak nie można żyć..."

Stary człowiek szeptał do siebie, zataczając się jak pijany. Bezustanku patrzył na jezioro i łzy bezustanku kapały na brodę. Musiał zdjąć szkła, i stał na wąskiej dróżce z wilgotnemi, krótkowzrocznemi oczyma tak jakoś niezdarnie, że ogrodniczek, który właśnie przechodził, stanął zdumiony, roześmiał się głośno i rzucił po włosku

jakąś drwinę. To zbudziło starego pana z bolesnego odurzenia; włożył binokle i chyłkiem przemknął się do ogrodu, aby na jakiejś ławce ukryć się przed ludźmi.

Lecz ledwo przybliżył się do ustronia w ogrodzie, gdy nagle przestraszył go czyjś śmiech... Tak, na lewo... śmiech, który znał dobrze, który szarpał teraz mu serce... Przez dziewiętnaście lat muzyką dlań był ten lekki swawolny śmieszek... dla tego śmieszku przejeździł całe noce trzecią klasą do Poznania, do Węgier, aby przysypać dlań pulchnego czarnoziemu, na którym rozkwitnie owa beztroska wesołość... Dla tego śmiechu jedynie żył dotychczas... na śmierć się zamartwiał, by ten śmiech zawsze dzwonił w najdroższych ustach... A teraz — aż do trzewi nim targnął ten przeklęty śmiech, jak rozpalona piła.

Choć z oporem poddał się jednak czarowitych dźwięków. Stała na placu tenisowym, z rakietą wobnażonej ręce — podrzucała ją wysoko i znów chwytała giętkim przegubem ręki. I każdemu podrzutowi dłoni wtórował swawolny śmiech, rozpływający się w lazurze nieba. Trzej panowie przyglądali się jej z podziwem: hrabia Ubaldi w lekkiej koszuli tenisowej, oficer w mocno obciągniętym, wyprężającym mięśnie uniformie, i baron w nienagannych breechesach — trzy postaci męskie, ostro zarysowane jak statue, i to jak motyl trzepocące bawidełko. Stary pan nie mógł oderwać wzroku, był oczarowany. — Mój Boże, jaka ona śliczna w jasnej króciutkiej sukience, z blaskiem słonecznym, rozpylonym w złocistych włosach! Jak błogo odczuwają jej młodziutkie członki własną powiewność

w podskoku i rozbiegu, upite i upajające rytmiczną lekkością posłusznych wiązadeł! Teraz niefrasobliwie podrzuca białą piłkę, za nią drugą, trzecią. Zadziwiające, jak chwytne i przegibne, jak smukłe, niczem witka, dziewczęce jej ciało wznosi się, wzbija wzwyż, aby ostatnią piłkę dogonić. W takiej postaci nie widział jej nigdy — rozgorzałej ogniem swawoli, całej jak śnieżny, zwiewny, polotny płomień, jak dziewicza boginka, wynurzająca się w popłochu z pośród bluszczu południowych sadów, z błękitnej lustrzanej tafli jeziora. Nigdy dotąd nie wyprężało się takim dzikim tanecznym rytmem jej smukłe i muskularne ciało, jak teraz, w zapale gry. Nie, nigdy nie widział jej tak ładnej w obrębie zatęchłych murów miasta, nigdy nie słyszał na ulicy ani w pokoju jej głosu, pełnego rozśpiewanej wesołości, nigdy nie była jeszcze taka śliczna. Stary pan patrzył, patrzył bezustanku.

Zapomniał o wszystkiem, widział jedynie lotny śnieżny płomyk. I tak stałby bez końca, wpijając się w jej obraz namiętnem spojrzeniem — gdyby ona zwinnym obrotem, roztrzepotanym podskokiem nie chwyciła ostatniej z żonglowanych piłek i nie przycisnęła jej do piersi, zadyszana, rozgrzana, bez tchu prawie, o oczach śmiejących się z dumy. „Brawo, brawo!“ — jak po arji operowej przyklasnęli trzej panowie, którzy z wielkiem zainteresowaniem śledzili zręczność jej chwytów. Dźwięk tych gardłowych głosów zbudził starego człowieka z oczarowania. Spojrzał na nich z pasją.

— „To oni, te szelmy!“ — tłukło mu się w mózgu. — „To oni... lecz który z nich?... który z tych trzech miał ją?... Jak pięknie są wystrojeni,

ogoleni, perfumowani... nicponie! Tacy jak my w ich wieku musieli siedzieć w połatanych spodniach w kantorze lub ścierać obcasy po kundmanach... A ojcowie ich dziś jeszcze harują do krwawego potu... Ci zaś jeżdżą sobie po świecie, mają twarze ogorzałe i beztroskie, mają jasne zuchwałe oczy... Kradną Panu Bogu dzień za dniem... Nietrudno mieć im świeżość, przyjemne samopoczucie... niech szepną takiemu próżnemu dziecku kilka słodziutkich słówek, już jest obłaskawiona, już włazi do łóżka... Ale który z tych trzech, który?... Wiem, że jeden z nich poprzez suknie widzi ją nagą i mlaska językiem: miałem, posiadłem ją gorącą, obnażoną — i myśli: „Dziś wieczór znowu" i mruga do niej... o, ten pies!... na śmierć go schłostać, tego psa!"

Spostrzeżono go z tamtej strony. Córka, wywijając rakietą, pozdrowiła go uśmiechem, panowie złożyli ukłon. Nie oddał pozdrowienia; oczy jego, zalane krwią, patrzyły z uporem na jej pogodne usta:

„Jeszcze możesz się śmiać, bezwstydna... a tamten także śmieje się w duchu i myśli sobie: „Tu stoi ten głupi stary żyd, co przechrapał tę noc... gdyby on wiedział, stary osioł! „Tak, wiem, że omijacie mnie, jak coś brudnego, plugawego... ale córeczka jest kształtniutka i chętna, a jakże, żwawo biegnie wprost do waszych łóżek... a matka, choć za tęga troszkę, choć już nieco malowana, szminkowana, szepnijcie jej słówko, może się jeszcze na coś niecoś waży... Wy macie rację, łajdaki, kiedy uganiacie się za kobietami bez czci, rozwydrzonemi... co was to obchodzi, że

w kim innym serce przytem pęka... jeżeli wy macie uciechę, jeżeli one mają uciechę, nikczemne kobiety... Z rewolwerów do was palić, nahajką was zdzielić... Lecz macie rację... dopóki nikt tak nie postępuje... za rękaw was się nie odciąga od bezwstydnej... gdy się stoi w milczeniu, dławiąc się własną żółcią... macie słuszność... O, tchórz jestem, tchórz, tchórz..."

Rękoma uchwycił się balustrady, trzęsąc się w bezsilnej pasji. Nagle splunął gniewnie przed siebie i zataczając się, opuścił ogród.

* * *

Stary człowiek błąkał się po miasteczku; nagle stanął przed wystawą. Przewalały się tam przedmioty dla użytku turystów — koszule obok siatek na motyle, bluzki obok wędek, książki, krawaty, w przypadkowem sąsiedztwie z pieczywem — wszystko to składało się na barwne półki, kunsztowne piramidy. Wzrok starego pana zatrzymał się na jednym przedmiocie, który spoczywał wzgardzony pośród eleganckich gracików: gruby, sękaty, zamaszysty kij, zakończony żelaznym szpicem, ciężki i zapewne strasznie bolesny w uderzeniu. „Wytłuc... wytłuc tego psa!"... Myśl ta wprowadziła go w stan dziwacznej, prawie zmysłowej rozkoszy. Jakaś siła pchnęła go do sklepiku, gdzie nabył sękatą pałkę za niewielką cenę. I ledwo zawarł w garści ciężką, niebezpiecznie ciężką rzecz, poczuł się silniejszy; posiadanie oręża umacnia przecież fizyczną słabość. Czuł, jak mięśnie ręki poczęły się gwałtowniej napinać. „Wytłuc... zbić tego psa!" — szeptał do siebie,

a jego potykający się krok stał się bardziej zdecydowany, bardziej krzepki i rączy. Szedł, a raczej biegł po wybrzeżu, zdyszany, spocony, zmęczony bardziej hamowaną namiętnością, niż przyspieszeniem chodu. I coraz popędliwiej zaciskała się dłoń wokół ciężkiego trzonka.

Tak uzbrojony, znalazł się w błękitnawym półmroku werandy, szukając oczyma niewidzialnego przeciwnika. Istotnie, w kącie, w białych trzcinowych fotelach rozsiedli się wszyscy razem. Sącząc przez wąziutkie słomki whisky z wodą sodową, rozpaplani wesoło w próżniaczej błogości: żona, córka i trzech nieodzownych panów.

„Który to? który?“ — myślał głucho, zaciskając ciężki kij w pięści. — „Któremu z nich łeb rozpłatać? ... komu? ... komu? ...

Wtem przybiegła doń Erna, źle zrozumiawszy jego niespokojne poszukiwania.

„Ach, jesteś wreszcie, tatuśku! Myśmy szukali cię wszędzie. Wyobraź sobie, pan von Medwitz zabiera nas swoim Fiatem, pojedziemy wzdłuż wybrzeża aż do Desenzano“.

Przytem popychała go łagodnie w stronę stołu, jakgdyby miał jeszcze podziękować za zaproszenie.

Panowie podnieśli się uprzejmie i wyciągnęli doń dłonie. Stary człowiek drżał cały. W obezwładnieniu przyjął ofiarowane uściski dłoni, milcząc usiadł, wyjął cygaro i wgryzł się z pasją zaciśniętych zębów w miękki koniuszek. Wokół niego trzepotały francuskie wyrazy urwanej rozmowy, przefruwały śmiechy, pogodne i głośne.

Stary człowiek siedział zgarbiony i milczący i gryzł cygaro z taką pasją, że bronzowa ciecz zaczęła spływać po zębach.

— „Oni mają rację... mają rację..." — myślał — „w twarz mi plunąć trzeba... jeszcze rękę im podałem... wszystkim trzem... a przecież wiem, że jeden z nich jest tym łotrem... siedzę spokojnie przy jednym stole z nimi... nie zabijam go, nie tłukę, nie — grzecznie podaję mu rękę... Mają rację, zupełną rację, że drwią sobie ze mnie... tak jakby mnie już na świecie nie było... a przytem one bardzo dobrze wiedzą, Erna i matka, że ja nie rozumiem ani słowa po francusku... dobrze wiedzą o tem, i żadna z nich nie pyta mnie o nic choćby dla pozoru, abym tak śmiesznie przy nich nie sterczał, tak potwornie śmiesznie... tyle znaczę dla nich, co powietrze... nieprzyjemny dodatek, ciężar, zawada... ktoś, kogo trzeba się wstydzić, i tylko dlatego się go nie odprawia, że zarabia pieniądze... pieniądze, plugawe, mizerne pieniądze... pieniędzmi ja je zepsułem... złoto, na którem spoczywa Boże przekleństwo... ani jednem słowem nie zwracają się do mnie, moja żona, moja dziecko jedyne, oczy mają w tych próżniaków utkwione, w tych dudków gładkich i wypomadowanych... jak one się śmieją do nich, jakby je dłonią po ciele łaskotali... A ja, a ja znoszę to wszystko... siedzę, przysłuchuję się tym śmiechom, nie rozumiem nic, a jednak siedzę tutaj, zamiast ich okładać kułakami... tak, kijem ich wymłócić i precz rozpędzić, nim się parzyć w oczach moich zaczną... przyzwalam na

wszystko... siedzę tu milczkiem, głupiec, tchórz... tchórz... tchórz."

— „Pozwoli pan?" — wtem zapytal włoski oficer, z trudem mówiąc po niemiecku i sięgnął po zapalniczkę.

Stary pan, ocknięty z gorączkowego zamyślenia, podniósł się i wbił zajadły wzrok w oficera, który nie przeczuwał nic złego. Fala wściekłości wzbierała w nim. Przez chwilę dłoń ściskała kurczowo laskę. A potem usta wykręcił grymas, krzywy i bezmyślny.

— O, ja pozwalam," — powtórzył zachłyśniętym głosem, — „naturalnie, pozwalam . . . hehe . . . na wszystko pozwalam . . . wszystko, co posiadam, jest do pańskiej dyspozycji . . . ze mną można sobie na wszystko pozwolić"...

Oficer spoglądał zdumiony. Nie znając języka, niewiele zrozumiał. Lecz ten krzywy uśmiech, ten grymas zaniepokoiły go. Niemiec podniósł się bezwiednie, obie panie zbladły jak płótno — na sekundę wszystko zamarło, zataiło dech, zdrętwiało, jak w owej krótkiej pauzie, która dzieli błyskawicę od huku gromu.

Ale dziki spazm już ustąpił, rysy się rozluźniły, kij wypadł z zaciśniętej pięści. Jak zbity pies, stary pan zjeżył się cały i zakaszlał zmieszany, przerażony własną śmiałością. Erna śpiesznie nawiązała przerwaną rozmowę, aby przykre naprężenie coprędzej minęło. Baron odpowiedział z umyślnie przesadną wesołością i zatamowany nurt znów potoczył się wartko.

Stary pan siedział pośród rozmawiających, myślą wyraźnie gdzieindziej; można było przypu-

szczać, że usnął. Potężny kij, wymknąwszy się z rąk, zawisł bez celu między kolanami. Głowa coraz niżej opadała na wspierającą dłoń. Lecz nikt nie zwracał nań uwagi, ponad jego milczeniem toczyła się fala rozmowy szczebiotliwej, dzwoniącej, roziskrzonej śmiechem. A on trwał nieruchomy w bezgranicznym mroku, trawiony wstydem i bólem.

* * *

Trzej panowie podnieśli się, Erna wstała śpiesznie, matka zaś wolniej nieco. Na rzuconą przez kogoś propozycję wszyscy przenieśli się do salonu, mieszczącego się tuż obok, nie uważając za stosowne specjalnie zapraszać starego pana.

Gdy znalazł się w nagłej pustce, ocknął się, jak ktoś śpiący, kiedy w nocy ześlizgnie się kołdra i chłodny przewiew owionie nagie ciało. Wzrok błądził mimowoli po opróżnionych krzesłach. W salonie obok młócił już ktoś na pianinie i klekocący, szarpany rytm jazzbandu rozlegał się pod akompanjament śmiechów i krzyku. Tańczono. Tańczyć, tańczyć bezustanku — to oni potrafią! Wciąż jątrzyć krew w żyłach, wciąż lubieżnie ocierać się o siebie, aż smakowity kąsek będzie gotów. Wieczorem, w nocy, w jasny dzień, wciąż tańczą — ci lenie, darmozjady, tańcem zwabiają kobiety... Znów chwycił twardy kij i z zawziętością potrząsnął wślad za nimi.

Stanął przy drzwiach. Baron siedział przy pianinie, wpół odwrócony, aby jednocześnie przyglądać się tańczącym i bębnił hałaśliwie jakąś amerykańską śpiewkę uliczną. Erna tańczyła z oficerem,

a długi jak śledź hrabia Ubaldi sunął z matką, nieforemną i ociężałą, to wprost, to wspak — nie bez pewnego wysiłku.

Lecz stary pan przyglądał się tylko Ernie i jej partnerowi. Jak lekko i pieszczotliwie kładzie ten szelma dłonie na jej delikatnych ramionach — jak gdyby to stworzenie całkowicie należało do niego! Jak jej ciało rozkołysane, pełne oddania, niby w milczącej obietnicy rwie się ku niemu, jak w jego własnych oczach oni wrastają w siebie z hamowaną z trudem namiętnością! Tak, to był t e n — w tych obydwóch rozfalowanych ciałach płonęła widoma bliskość, wspólnota, co już w krew się wcieliła. Tak, to był t e n — tylko t e n mógł nim być, czytał to w jej wpółprzymkniętych oczach, w których drżało wspomnienie płomiennych doznań, zbudzone wirem tańca — tak, to on był, złodziej ponocny, co z żarem wtargnął i sięgnął po nią, teraz spowitą w półprzezroczystą cieniutką sukienkę — po nią, po jego dziecko! Mimowoli przystąpił do nich. aby mu ją wydrzeć. Lecz ona go nie spostrzegła. Całem ciałem poddana rytmowi, pod niedostrzegalnie sterującym naciskiem wodzącego — nie, uwodzącego — z głową w tył przechyloną, o wilgotnych ustach, w upojeniu zapamiętałem miękko krążyła w takt muzyki, nie spostrzegając czasu, ani przestrzeni, ani ludzi . . . nie widząc starego ojca, który drżał i ciężko dyszał, wodząc za nią krwią podbiegniętemi oczyma w spaźmie fanatycznego gniewu. Tylko siebie samą czuła, gibkość młodziutkich członków, powolnych bez oporu tej zdyszanej, klekocącej, zawrotnej melodji tanecznej, tylko siebie czuła . . . a jeszcze tuż obok

oddech mężczyzny, który pożądał, krzepkie ramię, które ją obejmowało — czuła, że oboje muszą się strzec, ażeby nie rzucić się sobie w objęcia w szale spragnionych ust, w piekącym porywie oddania. Stary człowiek widział to wszystko magją wstrząśniętego serca: ilekroć wir tańca zabierał mu ją z przed oczu, było mu tak, jakgdyby ją tracił na zawsze.

Jak pęknięta struna, zatrzymała się nagle muzyka w połowie taktu. Baron podskoczył: „Assez joué pour vous“ — zaśmiał się — „maintenant je veux danser moi-même“. Wszyscy przystali na to wesoło, pary taneczne rozbiły się w luźne grupy.

Stary pan przyszedł do siebie: coś trzeba uczynić, coś powiedzieć. Nie stać tak jak mazgaj, jak ktoś zbyteczny, ktoś godny pożałowania! — Właśnie żona mijała go w tańcu, trochę zdyszana wskutek natężenia, lecz zaróżowiona z ukontentowania. Gniew podszepnął mu nagłą decyzję. Zastąpił jej drogę.

„Chodź!“ — zasapał jej niecierpliwie prosto w twarz — „mam ci coś powiedzieć.“

Spojrzała na niego zdumiona: krople potu zwilżyły mu pobladłe czoło, oczy patrzyły błędnie. Cóż on mógł chcieć od niej? Dlaczego jej akurat teraz przeszkadza? Już miała na ustach wymijającą odpowiedź, lecz w zachowaniu jego było coś groźnego, coś spazmatycznego, i gdy przypomniała sobie przytem jego wściekły wybuch poprzedni — niechętnie poszła za nim.

„Excusez, messieurs, un instant“ — przeprosiła panów.

„Ich przeprasza" — myślał zawzięcie, wzburzony — „mnie nie przeprosiły, gdy przedtem wstały od stołu. Tyle znaczę dla nich, co pies, co szmata, którą się depce. Mają rację, tak, mają rację, skoro ja to wszystko znoszę..."

Żona czekała z surowo podniesionemi brwiami; O drżących wargach, jak uczniak wobec nauczyciela, stanął przed nią.

„No?" — spytała wreszcie wyzywająco.

„Ja nie chcę... nie chcę" — wybełkotał nieporadnie — „nie chcę, żebyście się zadawały z tymi ludźmi".

„Z jakimi ludźmi?" — z rozmysłem nie rozumiejąc, podniosła brwi oburzona, jak gdyby to ją dotknęło osobiście.

„Z tamtymi" — z wściekłością wskazał głową w kierunku salonu — „mnie to nie odpowiada... ja nie chcę..."

„A dlaczegóż to?"

„Zawsze ten inkwizytorski ton" — myślał rozjątrzony — „jak gdybym był jej lokajem" i w podnieceniu zacinał się: — „Mam swoje powody... zdecydowane powody... Nie odpowiada mi... Nie chcę, żeby Erna mówiła z tymi ludźmi... Nie muszę wszystkiego mówić!"

„To bardzo mi przykro" — odrzuciła wyniośle — „uważam wszystkich trzech panów za ludzi zadziwiająco dobrze wychowanych, z o wiele lepszego towarzystwa niż nasi znajomi".

„Lepsze towarzystwo... ci nicponie... ci... ci..." Gniew dławił go nie do zniesienia. Nagle tupnął nogą: „Nie chcę... zabraniam... zrozumiałaś!"

„Nie! — odparła z zimną krwią — „nie zrozumiałam nic. — Nie rozumiem, dlaczego mam dziecku odbierać przyjemność“ ...

„Przyjemność... jej przyjemność“ ... — zatoczył się, jak pod nagłym ciosem. Czoło miał oblane mokrym potem, twarz zaczerwienioną, a ręka szukała w próżni ciężkiego kija, aby się na nim oprzeć, albo też walić bez opamiętania. Lecz kija zapomniał, przywróciło go to do przytomności. Opanował się — ciepła fala nagle owionęła mu serce.

Zbliżył się, chciał ją ująć za rękę. Głos miał pokorny, prawie żebrzący:

„Ty mnie nie rozumiesz ... nie chcę dla siebie ... proszę was tylko dlatego... to moja pierwsza prośba od wielu lat, wyjedźmy stąd, natychmiast ... do Florencji, do Rzymu, dokąd chcecie, mnie wszystko jedno . . . możecie ułożyć wszystko tak, jak chcecie ... aby stąd wyjechać, proszę cię ... wyjechać, jeszcze dziś, proszę cię ... byle dalej stąd ... dziś jeszcze ... nie mogę dłużej wytrzymać ... nie mogę“.

„Dziś?“ — zmarszczyła czoło zdziwiona — „dziś wyjechać? Cóż to znów za śmieszne pomysły ... i to tylko dlatego, że ci panowie wydają ci się niesympatyczni . . . Ty wszak nie musisz obcować z nimi.“

Złożywszy błagalnie ręce, stał przy niej.

„Ja nie mogę wytrzymać, powiedziałem ci ... nie mogę, nie mogę ... Nie pytaj o nic, proszę cię ... ale wierz mi, że nie mogę ... Zróbcie coś dla mnie raz, jedyny raz dla mnie“ ...

W głębi rozdźwięczało się znowuż pianino. Żona spojrzała nań, porwana wbrew woli tym krzykiem: ale jak śmiesznie, niewymownie śmiesznie wyglądał mały, tłusty człowieczek, z twarzą czerwoną, jak przed apopleksją, z okiem błędnem i wysadzonem z orbity, o rękach drżących i wyciągniętych w próżnię z przykrótkich rękawów; nader przykro było go oglądać w tej żałosnej postaci. Słowa zmroziły łagodniejsze uczucia:

„To niemożliwe" — rozstrzygnęła — „na dziś przyobiecałyśmy im wycieczkę... a wyjeżdżać jutro, gdy się wynajęło na trzy tygodnie... ośmieszać się... nie widzę żadnego powodu do wyjazdu... ja zostaję, i Erna też"...

„A ja mogę sobie odejść, prawda?... ja tylko przeszkadzam... zamącam wasze... przyjemności"...

Głuchym okrzykiem przerwał zdanie w środku słowa. Pochylony masywny korpus wyprostował się, ręce zwarły się w kułaki, na czole dygotała niebezpieczna czarna żyła wściekłości. Słowo, czy też cios — coś rwało się nazewnątrz, szukało ujścia. Nagle odwrócił się, i na nieforemnych nogach, potykając się o każdy stopień, szybko, coraz szybciej, jak ścigany, pobiegł po schodach.

* * *

Stary pan wspinał się, sapiąc, po schodach: teraz chciał być sam, opanować się, poskromić nerwy, nie zachowywać się niedorzecznie. Był już na górnem piętrze, gdy nagle zatoczył się na ścianę, biały jak kreda — zdawało mu się, że ogniste szpony targnęły mu trzewia. Och, ten ból,

co rżnie, gniecie, piecze! — musiał zacisnąć zęby, aby głośno nie krzyknąć. Ciało wiło się w skrętach bolu.

W jednej chwili pojął, co się dzieje: to napad kamieni żółciowych, jeden z tych strasznych ataków, jakie go dręczyły w ciągu ostatnich czasów, nigdy wszakże nie dochodząc do tak szatańskiej katuszy. „Żadnych wzruszeń“ — powiedział lekarz — przemknęło mu przez myśl podczas bólu. I podczas bólu szydził sam ze siebie z zawziętością: „Łatwo mówić — żadnych wzruszeń... niech mi pokaże pan profesor, jak można się nie przejmować, gdy... och... och...“

Stary człowiek jęczał, skręcał się — niewidzialne szpony wpijały się w rozognione, torturowane ciało. Z trudem przywlókł się aż do drzwi salonu, pchnął je i upadł na otomanę, szarpiąc zębami poduszkę. Gdy położył się, ból zelżał nieco — rozprażone pazury nie targały tak wściekle obolałych niemiłosiernie wnętrzności.

„Okład powinienem zrobić“ — przypomniał sobie — „wziąć krople, wtedy będzie mi lepiej.“

Ale nikogo nie było, ktoby mu pomógł, nikogo. A on nie miał siły, żeby się dowlec do drugiego pokoju lub choćby do dzwonka.

„Nikogo niema“ — myślał zgorzkniały, — „jak pies, kiedyś zdechnę... bo przecież wiem, że to, co boli, to nie żółć — to śmierć... wiem, że jestem stracony, żaden profesor, żadna kuracja mi nie pomoże... gdy się ma sześćdziesiąt pięć lat, nie można wyzdrowieć... wiem, co za ból się wwierca i ryje: to śmierć... kilka lat, co mi pozostało, to już nie życie, tylko konanie... Lecz kiedy, kiedy,

ja żyłem naprawdę? Dla siebie, kiedy, żyłem? Co to za życie: zawsze gromadzić pieniądze, zawsze dla innych, a teraz, teraz cóż mi one pomogą? Miałem żonę, wziąłem ją jako dziewczątko, zbudziłem jej ciało, dziecko wydała mi na świat — rok za rokiem oddychaliśmy tem samem powietrzem w tem samem łożu ... a teraz, gdzie ona jest teraz ... nie poznaję jej twarzy, nie poznaję jej głosu ... mówi do mnie jak obca i nigdy nie myśli o mojem życiu, o tem, co czuję, co myślę, co mnie boli ... obcą jest mi od lat ... jak to minęło, jak ... i dziecko mieliśmy ... na rękach nam wyrosła ... wierzyłem, że wraz z nią zacznie się nowe życie, piękniejsze, szczęśliwsze, niż to, które mnie przypadło w udziale ... a tu ona nocami się wymyka, chłopom się na szyję rzuca ... tylko dla siebie umrę ... dla siebie samego ... dla innych już dawno umarłem... O, Boże mój, Boże, nigdy jeszcze nie byłem tak samotny ...“

Szpony raz jeszcze szarpnęły zajadle i zwolna puściły. Zato inny ból, jak młotem walił w skronie — ból myśli niby żwir, twardy,kolący, rozprażony bez miłosierdzia ... tylko nie myśleć, tylko nie myśleć! ... Stary pan ściągnął marynarkę i kamizelkę — ociężały i niekształtny korpus dygotał pod wzdętą koszulą. Położył ostrożnie dłoń na obolałe miejsce.

„Tylko ból mój do mnie należy“ — pomyślał — „ten strzęp gorącej skóry, to tylko jest moje ... moja choroba, moja śmierć . . . tem jestem . . . to nie ma tytułu radcy, ani nie ma żony, ani nie ma córki, ani domu, ani kantoru . . . tyle jest rzeczywistości, ile palcami wyczuwam ...

rzeczywistość, to moje ciało i ten piekący ból wewnątrz . . . wszystko inne to głupstwo, bez żadnego sensu . . . to, co mnie boli, boli tylko mnie... co mnie martwi, martwi tylko mnie... one mnie nie rozumieją, a ja nie rozumiem ich... samotny jest każdy człowiek, nigdy tego nie czułem tak mocno, jak w tej chwili. Teraz to wiem, gdy sam leżę i czuję, jak śmierć we mnie rośnie... Za późno, w sześćdziesiątym piątym roku życia... Tymczasem one spacerują i tańczą, albo się wałęsają, te kobiety bez godności... teraz wiem, że żyłem tylko dla nich, a one mi się nie odwdzięczają... ani chwili dla siebie... Co one zresztą mnie obchodzą... po co myśleć o nich, gdy one nigdy nie myślą o mnie? Lepiej zdechnąć, niż przyjąć ich współczucie... co one mnie obchodzą?“

Powoli, krok za krokiem ból ustępował; już nie tak drapieżnie, już nie tak piekąco szarpała go zażarta dłoń. Jeszcze zostało jakieś głuche cierpienie, ból ledwo wyczuwalny, coś gniotło i tłoczyło, coś się wwiercało w głąb ciała.

Stary człowiek leżał z zamkniętemi oczyma i w natężeniu wsłuchiwał się w ten ból trawiący, i zażarty. Zdawało mu się, że nieznana obca siła drążyła w nim jakiemś narzędziem, zrazu wyostrzonem, potem tępem — jak gdyby zwalniały się, rozluźniały, jedno po drugiem, więzadła w umęczonem ciele. Już ból nie rwał tak dziko. Już nic nie bolało. A jednak, wewnątrz coś się tliło, coś próchniało, coś poczynało zamierać... Wszystko, co przeżył, wszystko, co umiłował, spłonęło zwolna w trawiącem zarzewiu, czarne i smoliste, aż zwęglone, spróchniałe rozpadło się w ciągnący szlam

obojętności. Coś się stało, gdy leżał tutaj i rozpamiętywał z pasją sprawy swego żywota. Coś się skończyło. Lecz co?... Wsłuchiwał się pilnie, wglądał w siebie...

I tak zwolna rozpoczęła się agonja serca.

* * *

Stary człowiek leżał z zamkniętemi oczyma w mrocznym pokoju, napoły czuwał, napoły drzemał. W stanie półsnu i niejasnych odczuwań majaczyło mu się, że gdzieś wewnątrz, z jakiejś rany, o której nic nie wiedział i która nie bolała — sączy się zwolna jakaś ciecz, wilgotna i gorąca, jak gdyby pławił się we własnej krwi z wewnętrznego krwotoku. Ten niewidzialny strumień nie sprawiał bólu ani nie spływał zbyt gwałtownie. Ciepłe mżące krople ściekały zwolna, jak łzy,a każda z nich spadała wprost w serce. Lecz serce, głęboko ukryte, nie odpowiadało żadnem drgnieniem, cichutko wsysając ten dziwny potok. Jak gąbka, stawało się coraz to cięższe, pęczniało, rozsadzało wąskie sklepienie piersi. Pełne, przepełnione swym nadmiernym ciężarem poczęło zwolna ciążyć ku dołowi, rozciągać więzadła, targać napięte muskuły — gnieść i tłoczyć dotkliwie — serce, nabrzękłe, obolałe serce. A teraz poczynało opadać (ach, co za ból!), ciężar rozluźniał się, sfolgował. Nie znienacka, nie raptownie — bardzo wolno odwiązywało się od mięsistych włókien — bardzo wolno — nie jak głaz i nie jak spadający owoc, nie: jak gąbka, wezbrana wilgocią, opuszczało się na dno coraz głębiej, w pustkę, w pustkę bezprzedmiotową, w daleką bezgraniczną noc. I zrazu zapanowała przeraźliwa

cisza, w miejscu, gdzie tylko co biło ciepłe spęczniałe serce, ziała pustka, zimna i niesamowita. Już nic nie biło, już nic nie ściekało — cisza, martwota. Jak trumna czarna i wydrążona, sklepiła się wzdrygająca pierś nad tą oniemiałą, niepojętą nicością.

Tak zwodne były te majaki, tak prawdziwe te widziadła, że gdy stary pan ocknął się, bezwiednie dotknął lewej piersi: czy tkwi w niej jeszcze serce? Lecz — chwała Bogu — coś tam jeszcze drgało głucho i rytmicznie pod badającymi palcami, tak jednak, jak stłumione uderzenia w próżnię, w której nie było serca. Rzecz osobliwa: wydało mu się, że pozbył się własnego ciała. Ból już nie szarpał, wspomnienia nie wstrząsały storturowanych nerwów — wszystko w nim zamilkło, zdrętwiało, skamieniało.

— „Jak to? — myślał, — dopiero co męczyłem się jak bardzo, dopiero co trzęsły mną dreszcze — co się ze mną stało?"

Wsłuchiwał się w wewnętrzną próżnię — ale daleko już odpłynął ów szmer i szum, ów stuk i plusk — nasłuchiwał — nic, nic, żadnego oddźwięku. Ani bólu, ani męki, ani wezbrania: czarna próżnia, jak w dziupli spalonego drzewa. Zdawało mu się, że już nie żył, albo że w nim coś zamarło — tak przeraźliwie niemy był obieg krwi. Zimne jak trup spoczywało jego własne ciało, bał się je pomacać ciepłą dłonią.

* * *

Stary człowiek wsłuchiwał się w siebie, nie spostrzegając, że zegar nad jeziorem wydzwaniał coraz to inną godzinę, że pokój coraz bardziej tonął

w zmierzchu. Nad nim wzrastała noc, mrok zacierał linje przedmiotów w niknącej przestrzeni; nawet jasny skrawek niebios całkiem przygasł w pomroce. Stary człowiek nic nie spostrzegał, wsłuchany w pustkę, wpatrzony w czerń, jak w głębię własnej śmierci.

W sąsiednim pokoju rozległ się śmiech, błysnęło światło — smuga promieni trysnęła przez niedomknięte drzwi. Stary pan spłoszył się: żona, córka. Znajdą go na otomanie, zaczną rozpytywać. Zapiął spiesznie kamizelkę, marynarkę: poco mają wiedzieć o ataku? co to je obchodzi?

Lecz one nie szukały go wcale. Widocznie spieszyły się bardzo, gdyż gong natarczywie wzywał poraz trzeci do diner. Szykowały się do wyjścia, przez wpółotwarte drzwi słychać było każde poruszenie. Teraz odsuwają szuflady... teraz — kładą na umywalni pierścionki, lekko brzęczące, teraz obuwie ich postukuje o podłogę, w międzyczasie rozmawiają: każda sylaba, każde słówko z przeraźliwą jasnością wpada do ucha. Z początku rozmowa dotyczy panów, żartują z małej przygody podczas wycieczki, lekkie, luźne słówka zderzają się ze sobą podczas mycia i ubierania się pań.

Nagle rozmowa zmieniła temat.

— „A gdzie jest papa?" spytała Erna, pełna zdumienia, że tak jej późno na myśl przyszło.

— „Skąd ja mam wiedzieć?" — zabrzmiał głos matki, rozdrażniony już samem napomknieniem. „Prawdopodobnie siedzi w hallu i poraz setny odczytuje ceduły we „Frankfurter Zeitung" — przecież nic więcej go nie interesuje. Myślisz, że on chociaż raz popatrzył na jezioro? Powiedział mi

dziś, że mu się tutaj nie podoba. Życzył sobie, żebyśmy dziś jeszcze wyjechali."

— „Dziś jeszcze wyjechali? Ale dlaczego?" (To znów był głos Erny.)

— „Nie wiem. Kto go tam zrozumie? Nasze towarzystwo mu nie konwenjuje, panowie najwidoczniej mu nie odpowiadają — prawdopodobnie sam czuje, jak bardzo się do nich nie nadaje. Doprawdy, to wstyd, jak on wygląda, ubranie zawsze pogniecione, rozpięty kołnierzyk ... Powinnaś mu zwrócić uwagę, niech chociaż wieczorem będzie staranniej ubrany, ciebie przecież posłucha. A dziś przed obiadem ... myślałam, że się pod ziemię zapadnę, tak się zachował na werandzie ..."

— „Tak, mamo ... co to było? Chciałam cię już o to spytać? Co papie się stało? Nie widziałam go jeszcze w takim nastroju ... naprawdę, że się przelękłam."

— „Ach, cóż? Zły humor... pewno kurs spadł... albo żeśmy po francusku mówili ... On nie może innym użyczyć przyjemności ... Tyś nic nie spostrzegła: kiedyśmy tańczyli, stanął przy drzwiach, jak zbój za drzewem ... Wyjechać! z punktu wyjechać! I to tylko dlatego, że jemu się tak nagle spodobało! — Jeśli się jemu nie podoba, to choć niech nam użyczy rozrywek ... no, ale ja się nie przejmuję jego humorami, może robić i mówić, co sobie zechce."

Rozmowa urwała się. Najwidoczniej toaleta wieczorna była skończona; tak, drzwi się otworzyły, kontakt trzasnął, światło zgasło — wyszły z pokoju.

Stary człowiek siedział na otomanie i słyszał każde słowo. Dziwne: to nie bolało, ani trochę nie bolało. Ten opętany mechanizm, który walił i rwał się w piersiach, teraz zamilkł: widocznie był pęknięty. Ani gniewu, ani nienawiści... nic... nic... Spokojnie zapiął ubranie, ostrożnie zeszedł ze schodów i przysiadł się do ich stołu, jak do stołu obcych ludzi.

* * *

Nie odzywał się do nich, a one znów nie spostrzegły tego milczenia, złego, jak zaciśnięte pięści. Bez pożegnania wrócił do swego pokoju, położył się do łóżka i zgasił światło. Znacznie później przyszła żona z jakiejś wesołej zabawy; myśląc, że śpi, rozebrała się pociemku.

Wkrótce usłyszał jej ciężki, beztroski oddech.

Stary samotny człowiek utkwił wzrok w bezdenną pustkę nocy. Obok niego, w ciemnościach, ktoś spoczywał, głęboko dysząc. Usiłował przypomnieć sobie, że to ciało, które wdychało powietrze tej samej komnaty, było niegdyś młode i rozpalone, że darowało mu dziecię, że było z nim zespolone najtajniejszą więzią krwi. Przymuszał się do myśli, że ta ciepła miękka masa opodal, na długość ręki — była niegdyś duszą jego duszy.

Dziwne: wspomnienia nie wywoływały żadnych uczuć. I wsłuchiwał się w to tchnienie nie inaczej, niż w bijący przez otwarte okno pomruk drobnych fal morskich, klaskających o żwir wybrzeża. Jakby to obok było czemś obcem, przypadkowem — co dalekie i nieistotne minęło, bezpowrotnie minęło.

Raz drgnął jednak: cichutko, podstępnie skrzypnęły drzwi w pokoju córki.

— „A więc dziś znów“ — krótkie, gorące ukłucie w samo serce, które już mniemał martwem. Przez błysk sekundy wstrząs, jak rozjątrzony nerw, nim zamrze. A potem znów przeszło:

„Niech robi, co chce. Co mnie obchodzi?“

I stary pan znów ułożył się na poduszkach. Mrok łagodnie okwefił udręczone skronie, błękitnawy chłód dobroczynnie chłodził rozpaloną krew. Niebawem lekki sen ukołysał znużone członki.

Gdy żona zbudziła się rankiem, mąż był już w płaszczu i kapeluszu.

— „Co ty wyprawiasz?“ — spytała, jeszcze zaspana.

Stary pan nie obrócił się nawet, z niezmąconym spokojem pakując nocną koszulę do walizki.

— „Widzisz, że wyjeżdżam. Zabieram ze sobą tylko to, co niezbędne, resztę możecie mi odesłać.“

Żona przeraziła się. Co to jest? Takiego głosu nigdy jeszcze nie słyszała: przez zęby ciskał każde słowo, bardzo zimne, niewzruszone. Zerwała się z łóżka na równe nogi.

— „Przecież nie chcesz wyjechać? . . . poczekaj, my też wyjeżdżamy, mówiłam już z Erną . . .“

Lecz on gwałtownie potrząsnął głową.

— „Nie . . . nie . . . nie przeszkadzajcie sobie.“

I nie oglądając się, powlókł się ku drzwiom. Aby przycisnąć klamkę, musiał na chwilkę postawić walizkę na podłodze. I w tej jednej wstrząsającej sekundzie przyszło mu na myśl: po tysiąc razy odstawiał kufer z próbkami u cudzych drzwi, nim wy-

szedł, zgięty w ukłonie, polecając się służalczo dla dalszych zamówień. Ale tutaj już nie było nijakiej sprawy do załatwienia, więc zaniechał wszelkich pożegnań. Podniósł torbę podróżną i bez jednego spojrzenia nacisnął klamkę, która z trzaskiem zapadła między nim a ubiegłem życiem.

* * *

Ani matka, ani córka nie mogły zrozumieć, co się stało. Lecz ten wyjazd, gwałtowny i uderzająco stanowczy, zaniepokoił obiedwie. Napisały natychmiast list, obszernie wyjaśniający przypuszczalne nieporozumienie, prawie tkliwy — rozpytywały, pełne troskliwości, jak przebył podróż i jak dojechał, oświadczyły ustępliwie, że są gotowe każdej chwili pobyt swój skrócić. Nie dał żadnej odpowiedzi. Wysłały express, później depeszę: nie odpowiadał. Pieniądze, o których napomknęły w jednym z listów, że są im potrzebne, zostały przysłane z biura: przekaz pocztowy z firmowym stemplem bez jednego słowa, bez pozdrowienia.

Wobec tak niezrozumiałego i trapiącego stanu rzeczy musiały przyspieszyć powrót. Nikt nie oczekiwał na dworcu, w domu nic nie było przygotowane, choć telegraficznie zapowiedziały przyjazd. Służba zapewniała, że pan w roztargnieniu położył telegram na stole i wyszedł, nie zostawiwszy żadnych zleceń. Gdy zasiadły wieczorem do kolacji, usłyszały wreszcie szmer drzwi wejściowych — wybiegły mu na spotkanie. Wytrzeszczył na nie oczy zaskoczony — (najwidoczniej zapomniał o depeszy) — bez wyrazu jednak jakiegoś szczególnego uczucia. Tolerował apatycznie uściski

córki, pozwolił zaprowadzić się do jadalni i opowiadać sobie wrażenia. — Lecz sam nie zadawał żadnych pytań, w milczeniu gryząc cygaro. Na niektóre pytania dawał lakoniczne odpowiedzi, niektórych nie chciał dosłyszeć: wydawało się, że śpi z otwartemi oczyma. Wreszcie podniósł się ociężale i zawlókł do swego pokoju.

Następnych dni działo się tak samo. Daremnie żona w wielkim niepokoju zabiegała o jakąś rozmowę: im gwałtowniej nastawała, tem niepostrzeżeniej się wymykał. Coś w nim się zatrzasło, zabarykadowało, wstęp był zamurowany. Jeszcze obiadował z niemi razem, a gdy byli goście, przez pewien czas siedział z nimi, milczący, zagłębiony w sobie... Lecz nie brał udziału w niczem, i gdy ktoś z gości przypadkowo wśród rozmowy spojrzał na niego, doznawał męczącego uczucia, że drętwe szkliste spojrzenie patrzyło w przestrzeń, ponad nimi, jak oczy umarłego.

Nawet obcych uderzało wzrastające dziwactwo starego pana. Już znajomi poczęli się tajemniczo trącać, gdy go spotykali na ulicy: on, jeden z najbogatszych w mieście, sunął pod ścianą, jak żebrak, w kapeluszu spłaszczonym i koślawym, w surducie, obsypanym popiołem z cygara, chwiał się dziwacznie co krok i często coś mruczał do siebie półgłosem. Gdy go pozdrawiano, podnosił oczy, wzdrygając się, gdy doń zagadywano, spoglądał wygasłem spojrzeniem na spotkanego i zapominał podać mu rękę. Z początku mniemano, że stary pan jest przygłuchy i głośno powtarzano słowa. Lecz tak nie było: musiało trwać kilka chwil, nim się ocknął z wewnętrznego uśpienia, a nieraz

i w trakcie rozmowy znów zapadał w stan szczególnego zatracenia. Nagle oczy jego stawały się mętne — urywał gwałtownie i potykając się, szedł dalej, nie bacząc na zdumienie rozmówcy. Wydawał się zawsze zaprzątnięty chmurnemi myślami o sobie samym, lub zbudzony z głuchego snu: łatwo było spostrzec, że ludzie nie istnieli dla niego. O nikogo nie pytał, we własnym domu nie spostrzegał ani tłumionej rozpaczy żony, ani bezradnych zapytań córki. Nie czytał gazet, nie wdawał się w rozmowy. Ani jedno pytanie, ani jedno słowo nawet przez chwilę nie przedarło się przez posępną zasłonę apatji, oblekającą jego istotę. Nawet najbardziej osobisty świat — biuro — stał mu się obcy. Niekiedy siadał tępo zamyślony w kantorze, by podpisywać listy. A gdy sekretarz przychodził po godzinie, ażeby zabrać podpisane arkusze, znajdował starego pana dokładnie w tej samej pozie, w jakiej go zostawił, tym samym błędnym wzrokiem zapatrzonego w nieczytane listy. Wkońcu sam spostrzegł, że jest zbyteczny i całkiem przestał przychodzić.

Najbardziej osobliwym, najbardziej zadziwiającym dla całego miasta był fakt, że stary pan, który nigdy nie należał do rzędu religijnych, ni stąd ni zowąd stał się pobożny. Obojętny na wszystko, niepunktualny tak co do posiłku, jak i co do każdej umowy, nie omieszkał nigdy zjawić się w synagodze o przepisanej godzinie. Tam stawał w „tałesie", zarzuconym na ramiona, w czarnej jedwabnej krymce, zawsze na tem samem miejscu, gdzie niegdyś stawał jego nieboszczyk ojciec, i kiwał utrudzoną głową, i zawodził psalmy. Tutaj, w tem

miejscu, napoły opuszczonem, gdzie słowa głucho dudniły wokół niego, dalekie i mroczne, najdoskonalej był sam ze sobą. Jakaś cisza wewnętrzna koiła szalejący w nim zamęt.

Lecz gdy czytano modlitwę za zmarłych i spoglądał na krewnych, dzieci i przyjaciół nieboszczyka, jak sprawowali wzruszającą powinność i coraz żarliwiej, coraz gorętszemi zaklęciami wzywali Bożego miłosiedzia dla zmarłego — wtedy, wtedy oczy jego mgliły się znowu: on był przecież ostatni, wiedział o tem. Za jego duszę nikt nie odmówi modlitwy. I w skupieniu szeptał razem z nimi, i myślał o sobie, jak o zmarłym.

Gdy raz powracał wieczorem z takiej wędrówki, nagle zaczął padać deszcz.

Stary pan, jak zazwyczaj, zapomniał był parasola. Za małą opłatą mógł wynająć powóz; bramy i oszklone okapy nastręczały schronienie przed chmurą, bluzgającą strumienie wody, lecz dziwak dreptał i chwiał się na nogach, nie bacząc na to, że cały ocieka deszczem. W spłaszczonem rondzie kapelusza zebrała się kałuża, z rękawów, które można było wyżąć, sączyły się strumienie wślad jego kroków, nie zważał na to i kroczył dalej, prawie samotny na bezludnej ulicy. I tak przemoczony do nitki, zachlapany, wyglądając raczej na włóczęgę, niż na właściciela wytwornej willi — przybył do bramy wjazdowej swego domu. W tej właśnie chwili oślepiający światłem automobil zatrzymał się raptownie, bryzgając z pod tylnych kół wodnistem błotem na niepoczesnego piechura. Drzwiczki szeroko odemknięto, z karetki oświetlonej elektrycznością wysiadła śpiesznie jego żona, za

nią jakiś wytworny gość z zamkniętym parasolem, i jeszcze jakiś pan. Zderzyli się u samych drzwi. Żona poznała go i przelękła się, widząc go w takim stanie: schlapany, zaszargany, pomięty, wyglądał jak tłumok, wyciągnięty z wody; mimowoli odwróciła głowę. Stary człowiek zrozumiał natychmiast: wstydziła się wobec gości.

I bez gniewu, bez żalu, aby zaoszczędzić jej przykrości przedstawiania, jak obcy poszedł kilka kroków dalej, aż do kuchennych schodów.

Począwszy od tego dna, stary pan we własnym domu posługiwał się tylko kuchennemi schodami — był pewien, że tam nikogo nie spotka. Nie przeszkadzał nikomu, ani nikt jemu nie przeszkadzał. Przestał także wspólnie jadać — stara służąca przynosiła mu jedzenie do pokoju. Gdy żona lub córka próbowały się dostać do niego, poczynał sarkać nieśmiało, a jednak z oporem, trudnym do przyzwyciężenia. Ostatecznie pozostawiono go w spokoju, odzwyczajono się od pytań o niego, a on nie pytał o nic. Często słyszał przez ścianę dźwięki muzyki i śmiechy z innych, obcych mu już sal, słyszał turkot odjeżdżających i przyjeżdżających pojazdów aż do późnej nocy. Lecz wszystko było mu tak obojętne, że nigdy nie spojrzał nawet przez okno, co go to obchodziło? Jeszcze pies przychodził niekiedy i kładł się przed łóżkiem pana, zapomnianego przez ludzi.

* * *

Zamarłe serce już nie sprawiało bólu — lecz wewnątrz ryły się czarne czerwie, do krwi wgryzając się w obolałe ciało. Ataki były z dnia na

dzień częstsze. Zmęczony chorobą, ustąpił wreszcie naleganiom lekarza i poddał się specjalnemu badaniu. Profesor zrobił poważny wyraz twarzy. Po ostrożnych przygotowaniach oświadczył, że operacja jest nieunikniona. Wieść ta nie przeraziła wszakże starego pana, uśmiechnął się tylko nikle: chwała Bogu, ma się ku końcowi. Koniec agonji, teraz przyjdzie najwyższa błogość: śmierć. Zabronił lekarzowi szepnąć choć słówko rodzinie, oznaczył dzień, i gotował się do operacji. Poraz ostatni poszedł do biura (gdzie nikt go nie oczekiwał i gdzie nań spoglądano, jak na obcego), zasiadł w obitym czarną skórą fotelu, na którym siadywał przez trzydzieści lat, przez niezliczone setki godzin, przez całe swoje życie... kazał sobie podać książeczkę czekową, wypełnił czek i zaniósł go przedstawicielowi gminy, który prawie przeraził się wysokością zapisanej sumy. Sumę tę przeznaczył na cele dobroczynne i na swój grób.

Aby uniknąć wszelkiej podzięki, wyszedł śpiesznie, przytem spadł mu kapelusz, a on się już nie schylił, żeby go podnieść. Z gołą głową — aż ludzie oglądali się na nim zdziwieni — z oczyma szklistemi w pomarszczonej, zżółkłej, schorowanej twarzy, podreptał na cmentarz, na grób rodziców. Tam kilku gapiów przygodnych widziało, jak stary człowiek rozmawiał długo, głośno ze zbutwiałymi napoły głazami tak, jak się z ludźmi rozmawia. Oznajmiał im coś — czy też prosił o błogosławieństwo?

Słów nikt nie dosłyszał — wargi poruszały się bezszelestnie, a trzęsąca się głowa coraz niżej opadała w takt modlitwy. Przy wyjściu poczęli go

napastować żebracy; skwapliwie wyszperał z kieszeni wszystkie miedziaki, wszystkie banknoty i porozdzielał między nimi. Nagle przykulała jakaś chroma, stara kobieta i z płaczem błagała o wsparcie. Szukał zakłopotany we wszystkich kieszeniach — nie znalazł nic. Tak — jeszcze palec uciskał jakiś przedmiot ciężki, obcy: obrączka ślubna. Niewyraźne wspomnienie przemknęło mu przez myśl — ściągnął ją śpiesznie i podarował zadziwionej kalece.

Pozbawiony wszystkiego, bardzo ubogi i bardzo samotny poszedł stary pan pod nóż.

* * *

Gdy stary człowiek ocknął się raz jeszcze z narkozy, lekarze — zdając sobie sprawę z ciężkiego stanu chorego — zawezwali do pokoju w międzyczasie powiadomione, żonę i córkę. Z mozołem uniósł powieki, podkrążone błękitnym cieniem.

— „Gdzie ja jestem?" — spojrzał na obcą białość niewidzianego nigdy pokoju.

Córka pochyliła się nad zapadniętą żałośnie twarzą, by ją pogładzić. Płomyk rozpoznania błysnął nagle w niewidzących szklanych oczach. Światełko, maleńkie światełko trysnęło ze źrenic: to ona, dziecko bezgranicznie ukochane, to ona, Erna, śliczna słodka dziewuszka...

Zwolna — bardzo wolniutko rozprostywał się grymas gorzkich ust — uśmiech, mały, żałosny uśmieszek zjawił się ostrożnie na zaciętych, oddawna niezwyczajnych do śmiechu wargach. Wzruszona tym wysiłkiem rozradowania, pochyliła się, aby ucałować ojca w bezkrwisty policzek.

Lecz wtedy — czy to słodkawa mdła woń perfum, którą przypomniał sobie, czy też zaświtały znów minione chwile w napoły uśpionym mózgu — przeraźliwa zmiana przeorała nagle rysy twarzy, przed chwilą jeszcze tak bardzo szczęśliwej: sine wargi zacisnęły się w gniewnej obronie, ręka pod kołdrą pracowała z natężeniem, chcąc odepchnąć coś bardzo obrzydliwego, pokrajany korpus dygotał z oburzenia. — „Precz! precz!" — bełkotały trupie prawie wargi. Wstręt malował się tak wyraźnie w drżących rysach, że lekarz przezornie usunął kobiety na stronę.

— „On majaczy," — szepnął, — „lepiej będzie, gdy panie stąd wyjdą."

Ledwo wyszły — zeszpecone rysy rozpłynęły się znów w wyraz poprzedniej ospałości, bezsilny i bezmyślny. Stłumiony oddech podnosił pierś, a pierś z rzężeniem walczyła coraz usilniej o mozolne tchnienie życia. Lecz wkrótce uprzykrzyła sobie ów żmudny wysiłek o gorzką kroplę ludzkiego żywota. I gdy lekarz badając położył dłoń na sercu, serce przestało sprawiać ból staremu człowiekowi.

W ODMĘCIE UCZUĆ

Dobry mieli pomysł moi uczniowie i koledzy uniwersyteccy: przede mną leży w cennej oprawie pierwszy egzemplarz owej pracy, którą uroczyście wręczyli filologowie w dniu sześćdziesiątej rocznicy moich urodzin, a trzydziestej — mej akademickiej działalności naukowej. Doprawdy, że to cała biografja; niema artykułu, ani mowy okolicznościowej, ani błahej recenzji w jakimś roczniku naukowym, której by gorliwość bibliograficzna nie zdołała wydrzeć z papierowej mogiły. Historja mojej ewolucji, mojego stawania się, została odbudowana aż do chwili obecnej, jasno, dokładnie, szczebel za szczeblem, podobna do czysto wymiecionych schodów. Byłbym chyba niewdzięczny, gdybym się nie radował tą wzruszającą starannością. To, com mniemał przeżytem i zaginionem, powraca w tym wizerunku uporządkowane i uzgodnione: nie, nie mogę zaprzeczyć, żem ja, stary człowiek, przyglądał się tym kartkom z taką samą dumą, z jaką ongi uczeń oglądał świadectwa nauczycieli, którzy mu po raz pierwszy przyznawali zdolności i pragnienie wiedzy.

A jednak ... gdym przerzucił dwieście pracowitych stronic i gdym się przyjrzał dokładnie mojemu wizerunkowi duchowemu, musiałem się uśmiechnąć. Czy tak doprawdy wyglądało moje życie, czy istotnie biegło od pierwszej do ostatniej chwili w tak wygodnych, tak pełnych celowości serpentynach, czy układało się w tak należyte warstwy, jak to wynika z papierowego bilansu biografa? Podobnych uczuć doznałem, gdym usłyszał po raz pierwszy własny głos w gramofonie: początkowo nie poznałem go, bo to był głos, który inni słyszą, a nie ten, który ja sam słyszę własnemi włóknami nerwowemi.

I wtedy ja, którym całe życie poświęcił na to, aby opisywać ludzi na podstawie ich dzieł, aby odtwarzać ich duchową strukturę — we własnych przeżyciach spostrzegłem, jak niedostępny jest właściwy rdzeń każdej istoty, owa twórcza komórka, w której wszelki rozrost kiełkuje. Przeżywamy wszak miljardy sekund, a przecież wśród nich tylko jedną, jedyną, która wstrząsa naszym światem wewnętrznym, tę sekundę (Stendhal ją opisał), w której się krystalizuje, w której błyskawicznie rozkwita utajony zarodek duchowego życia — magiczna sekunda, podobna do chwili poczęcia, jak ona, skryta w gorącem wnętrzu ciała, niewidzialna, niedotykalna, niewyczuwalna, jedyny raz przeżyta tajemnica. Algebra ducha nie potrafi jej wyliczyć, alchemja przeczuć — wyczarować, a nawet własne uczucie rzadko ją odgadnie.

O tajemnicach mego duchowego rozwoju nie wie owa księga nic: dlatego też musiałem się uśmiechnąć. Wszystko w niej jest prawdziwe — lecz brak w niej najistotniejszego. Opisuje mnie, lecz nie świadczy o mnie. Mówi o mnie, lecz mnie nie zdradza. Dwieście nazwisk zawiera ów starannie zestawiony rejestr — jednego wszakże nazwiska braknie — nazwiska człowieka, który był mi twórczym impulsem, który rozstrzygnął o moim losie, a teraz ze zdwojoną siłą przywołuje mię do czasów mojej młodości. Jest mowa o wszystkich, oprócz tego, który mię natchnął słowami, który przeze mnie przemawia: i to tchórzliwe przemilczanie poczytuję sobie za winę. Przez całe życie kreśliłem duchowe sylwetki, wskrzeszałem postaci z ubiegłych stuleci, aby się stały zrozumiałe dla współczesnych, a o nim

nie pomyślałem nigdy. Teraz pragnę więc drogim cieniom — jak za dni Homera — dać się napić własnej krwi, i niech przemówi do mnie znów, do mnie, starzejącego się, on, już oddawna postarzały. Tajną kartkę dołożę do jawnych, spowiedź dołączę do księgi uczonej, Jemu i sobie opowiem prawdę mej młodości.

* * *

Nim rozpocznę — raz jeszcze przerzucę stronice owej księgi, usiłującej odzwierciedlić moje życie. I muszę się po raz wtóry uśmiechnąć. Bo jakżeż chcieli dotrzeć do prawdy wewnętrznej mej istoty, skoro obrali fałszywy sposób podejścia? Już pierwszy krok był chybiony! Jakiś przychylny mi kolega szkolny — obecnie także tajny radca — opowiada o mnie, jakobym już w gimnazjum wyróżniał się namiętnem ukochaniem wiedzy. Źleś sobie przypomniał, kochany radco! Humanistyka była dla mnie wtedy przymusem, który mi ciążył aż do wściekłości, aż do zgrzytania zębami! Ponieważ byłem synem dyrektora gimnazjum w małem miasteczku północnych Niemiec, i widziałem, że nad oświatą pracuje się tylko dla chleba, znienawidziłem filologję od wczesnego dzieciństwa. Zwykle bowiem natura, zgodnie ze swem mistycznem prawem, aby ocalić iskrę twórczą — nastawia dziecko niechętnie i pogardliwie względem zamiłowań ojca. Nie pragnie bowiem bezsilnego, opieszałego dziedzictwa, kontynuacji z pokolenia w pokolenie: najpierw przeciwstawia sobie jednorodne upodobania i dopiero po mozolnych acz owocnych zbaczaniach na manowce

przyzwala na powrót do drogi, utorowanej przez przodków. Wystarczyło, że mój ojciec uważał naukę za świętość, abym ja utrzymywał, że to jest puste mędrkowanie; ponieważ on upatrywał w klasykach ideały, mnie wydawali się moralizatorami i dlatego ich nienawidziłem. Otoczony książkami, gardziłem niemi. Popychany wciąż przez ojca do pracy umysłowej, buntowałem się przeciw wszelkiej na piśmie przekazywanej wiedzy. Nic też dziwnego, że uporawszy się po wielkim wysiłku z maturą, wzbraniałem się gwałtownie przeciw kontynuacji studjów. Chciałem być oficerem, marynarzem lub inżynierem, do żadnego z tych zawodów nie czując nieodpartego powołania. Jedynie wstręt do papierowej, dydaktycznej wiedzy przymuszał mię do szukania drogi praktyczno-aktywnej, miast akademickiej. Lecz ojciec mój, w fanatycznej czołobitności przed wszystkiem, co „uniwersyteckie“, domagał się ode mnie akademickiego wykształcenia. Udało mi się uzyskać jedynie to ustępstwo, żem obrał filologję angielską, zamiast filologji klasycznej. (Rozwiązanie to przyjąłem wkońcu, nie bez tajnej myśli, że będę prędzej mógł zużytkować znajomość tego marynarskiego języka w upragnionej karjerze żeglarza.)

Niema też nic w owem curriculum vitae bardziej nietrafnego, niż grzecznościowe orzeczenie, żem w Berlinie, „w pierwszym semestrze zdobył podwaliny wiedzy filologicznej, dzięki światłemu kierownictwu najbardziej zasłużonych profesorów“ — cóż ja wtedy wiedziałem o kolegach i docentach, w swem niepohamowanem upragnieniu swobody?

Gdym po raz pierwszy mimochodem wpadł do sali wykładowej — zatęchłe powietrze, po pastorsku

monotonny, a jednocześnie rozwlekły wykład zmogły mię takiem znużeniem, że musiałem walczyć ze sobą, aby nie złożyć sennej głowy na ławce — przecież to była wciąż jeszcze szkoła, z której sądziłem, żem umknął szczęśliwie... taka sama klasa z katedrą na podjum, z takąż samą pedantyczną drobiazgowością. Mimowoli wydało mi się, że to piasek się sączy z cienkich warg tajnego radcy, tak równomiernie, tak szybko spadały słowa z obskubanego zeszytu w zgęszczone powietrze. Dobrze znane uczniom podejrzenie, że dostali się do kostnicy ducha, gdzie obojętne ręce dokonywują sekcji — odnowiło się ze straszną dokładnością przy tej preparacji oddawna przestarzałej aleksandryny. Instynkt samozachowawczy potęgował się we mnie dopiero z przemożną siłą, gdym wyszedł z trudem przesłuchanego wykładu na ulice miasta.

Berlin ówczesny, zadziwiony własnym rozrostem, spęczniały zbyt wybujałą męskością, tryskał elektrycznością ze wszystkich ulic, ze wszystkich kamieni, narzucał nieodparcie gorące, roztętnione tempo, i był bardzo podobny swą zaborczą żądzą do lekkiego szału mej świeżo spostrzeżonej męskości.

Wydostaliśmy się nagle oboje, miasto i ja, z atmosfery protestancko przyzwoitej, ograniczonej, małomieszczańskiej — i zbyt szybko rzuceni w wir kuszących możliwości — oboje, miasto i ja, wówczas ledwo wykluty młodzieniaszek, wibrowaliśmy, jak dynamo, z niepokoju i niecierpliwości. Nigdym nie rozumiał ani nie kochał Berlina tak, jak wtedy. Jak w tym gorącym przepełnionym ulu ludzkim, tak i we mnie tętniła każda komórka żądzą rozprzestrzenienia się — młodzieńcza niecierpliwość,

która mógła się wyładować jedynie w spazmie na rozpalonem łonie owej olbrzymki, miasta niecierpliwego, miasta buchającego siłą. Odrazu rzuciłem się w wir stolicy, krążyłem w jej tętnicach, obejmowałem skwapliwie i z ciekawością jej korpus kamienny a przecież gorący — od poranka do północy ganiałem po ulicach, tropiłem jej kryjówki; z istnem opętaniem rzuciłem się w wyszukiwanie przygód, zamiast pogrążyć się w studja. Ta przesada we wszystkiem była objawem mego szczególnego usposobienia: od dzieciństwa byłem niezdolny do równoczesności zajęć. Zawsze i wszędzie kierował mną gwałtowny, lecz jednostronny impet — i dziś jeszcze potrafię się wgryźć w jakiś problemat z takim fanatyzmem, że nie odpocznę wcześniej, nim nie rozgryzę go aż do najostateczniejszego szpiku.

Poczucie swobody górowało we mnie wtedy z tak przemożną siłą, że nie tolerowałem nawet klauzuli godzin wykładowych — ba! nawet zamknięta przestrzeń mego pokoju wydawała mi się nieznośną — wszystko, co nie było poszukiwaniem awantur, było, według mnie, stratą czasu. I dobrze musiał się okiełznać młody prowincjonalista, tylko co spuszczony z wędzidła, aby móc uchodzić za mężczyznę: byłem hospitantem korporacji, chciałem nadać sobie (w istocie byłem bardzo nieśmiały) wyraz junaka, chwata i wszetecznika, po ośmiu dniach pobytu grałem rolę mieszkańca stolicy, nauczyłem się ze zdumiewającą szybkością szwendania i rozsiadania się po kawiarniach, jak prawdziwy miles gloriosus. Do tego rozdziału męskich przeżyć należą oczywiście niewiasty — „kobitki“ — jak je nazywała

arogancka gwara studentów — i bardzo mi się to przydało, żem był wyjątkowo ładny chłopak. Wysmukły, rozrośnięty, o twarzy, pokrytej jeszcze świeżą bronzową patyną morza, o wygimnastykowanych członkach ... istotnie, nie było mi trudno górować nad wysuszonymi jak śledzie subjekcikami, którzy, jak my, ciągnęli co niedzielę na zdobycz do tancbud w Halensee lub Hundekehle (wtedy jeszcze dość odległych od miasta). Już to była służąca z Meklenburga, dziewucha o włosach jak słoma i cerze, jak mleko — którą, rozgrzany tańcem, ściągnąłem do mojej budy, korzystając z jej „wychodnej" — już to rozwichrzona nerwowa żydóweczka z Poznania, co sprzedawała u Tietza pończoszki — tani łup, bez trudu zdobyty i szybko oddawany w ręce kompanów. W tej nadspodziewanej łatwości wygranych lękliwego jeszcze wczoraj żaka taiła się upajająca niespodzianka — taniutkie rezultaty pomnażały moje zuchwalstwo — i wkońcu począłem traktować ulicę jedynie, jako miejsce łowów, szukania przygód już zupełnie bez wyboru, raczej dla samego sportu.

Gdy pewnego razu, łażąc za jakąś ładną dziewczynką, znalazłem się — doprawdy przypadkiem — przed gmachem Uniwersytetu, musiałem się uśmiechnąć, myśląc, jak dawno moja noga nie przestąpiła tego szacownego progu. Razem z przyjacielem, takim samym zuchem, jak ja, weszliśmy do wnętrza — tak, dla kawału. Uchyliliśmy tylko drzwi i zobaczyliśmy (niewiarygodnie śmieszny był to widok): sto pięćdziesiąt zgarbionych nad pismem grzbietów, odmawiających litanję pod przewodnictwem zawodzącego starca z białą brodą. Po chwili przymknąłem drzwi — niech sobie tam dalej cieknie ów mętny

strumyczek wymowy ponad ramionami gorliwców — ja z moim towarzyszem wybiegliśmy wesoło wprost w rozsłonecznioną aleję.

Zdaje mi się, że żaden młody człowiek nie zabijał czasu w głupszy sposób, niż ja to czyniłem w owych miesiącach. Nie czytałem książek, i jestem pewien, żem przez ten czas nie powiedział ani jednego rozsądnego słowa, żem nie miał ani jednej głębszej myśli — instynktownie unikałem kulturalnego towarzystwa, po to jedynie, aby zbudzone zmysły mocniej reagowały na piekący czar nowych, dotychczas zabronionych wzruszeń. Coprawda, to upajanie się, to rozrzutne burzenie się soków jest istotą silnej, wyzwolonej młodości. W tem dziwnem opętaniu uważałem jednak ów rodzaj loterji za niebezpieczny. Byłbym się zupełnie zmarnował lub przynajmniej pogrążył w pewne otępienie uczuciowe, gdyby przypadek nie zahamował mnie na drodze ku przepaści.

Przypadek ten — dziś z wdzięcznością nazywam go szczęśliwym — sprawił, że mój ojciec został przez Ministerstwo wezwany do Berlina na jednodniową konferencję dyrektorów. Ponieważ był zawodowym pedagogiem, zużytkował tę sposobność, aby wybadać mój sposób prowadzenia się bez zapowiedzi przybycia, i aby mię niespodzianie przyłapać. Ten podstęp udał mu się znakomicie. Jak zazwyczaj, w moim tanim studenckim pokoiku (wchodziło się doń przez kuchnię, a później przez przedpokój gospodyni) miałem ścisle poufną damską wizytę, gdy wtem ktoś donośnie zapukał do drzwi. Przypuszczając, że to jakiś kolega, mruknąłem niechętnie: „Jestem teraz zajęty.“ Lecz po krótkiej pauzie pukanie po-

wtórzyło się, po raz drugi i trzeci — z wyraźną niecierpliwością. Z wściekłością wciągnąłem spodnie, aby jaknajszybciej zlikwidować impertynenckiego natręta — i w rozchełstanej koszuli, ze zwisającemi szelkami, boso, szarpnąłem drzwi... Natychmiast cofnąłem się, jak uderzony maczugą w łeb, rozpoznawszy w ciemnościach przedpokoju sylwetkę mego ojca. Twarzy nie dojrzałem prawie wcale, jedynie zamigotał błysk okularów w półmroku. Lecz rozpoznanie konturów wystarczyło, aby przygotowane z góry bezczelne słowa uwięzły w krtani, jak dławiąca ość: przez chwilę stałem kompletnie ogłuszony. A potem musiałem — o, straszna chwilo! — pokornie prosić, by zechciał kilka minut poczekać w kuchni, dopóki nie doprowadzę mego pokoju do porządku. Jak powiedziałem wyżej, twarzy nie widziałem, alem czuł, że on zrozumiał wszystko. Mówiło mi o tem jego milczenie, jego powściągliwe zachowanie i ten pełen obrzydzenia gest — z jakim, nie podając mi ręki — przeszedł do kuchni. I tam, przed paleniskiem, w wyziewach brukwi i odgrzewanej kawy, musiał stary człowiek czekać dziesięć minut — dziesięć minut jednakowo poniżających dla mnie i dla niego — i słyszeć mimowoli, jak podawałem dziewczynie jej suknie i jakem ją wyprawiał z mieszkania. Słyszał jej kroki, jak śpieszny ich szelest wionął fałdami firanki: i nawet po jej wyjściu jeszcze nie mogłem go sprowadzić z upokarzającego ukrycia — musiałem uzupełnić braki, aż nazbyt wymowne, wzburzonego łóżka. Dopiero później — nigdy w życiu nie byłem bardziej zawstydzony — zjawiłem się przed nim.

Mój ojciec zachował w owej ciężkiej godzinie po-

stawę, za którą mu do dziś dnia jestem wdzięczny. I gdy teraz przypominam sobie zmarłego ojca, nie wracam do perspektywy sztubaka, który uważał go jedynie za maszynę do poprawiania zeszytów, który w pogardzie miał jego nieustanne gderanie, jego skrupulatność zaśniedziałego pedanta — lecz przywołuję na myśl obraz tej arcyludzkiej chwili, kiedy stary człowiek, do głębi przejęty wstrętem, a jednak opanowany, bez jednego słowa poszedł za mną do dusznego pokoju. Kapelusz i rękawiczki trzymał w ręce: chciał je położyć, lecz gest odrazy wyjawił mi, że nie chciał dotknąć własną ręką obmierzłego dlań brudu. Podsunąłem krzesło: nie odpowiedział nic, lecz pogardliwe jego zachowanie odrzucało możliwość jakiejkolwiek styczności z przedmiotami mego pokoju.

Po kilku chwilach lodowatego, niechętnego milczenia zdjął okulary i przetarł je starannie, Wiedziałem, że ruch ten oznaczał zakłopotanie; nie uszło mej uwadze także, że stary człowiek, gdy znów kładł okulary, przetarł ukradkiem oczy. On wstydził się mnie, a ja wstydziłem się jego, nikt z nas nie znalazł słowa. W głębi duszy obawiałem się, że się rozpocznie kazanie, kwiecista przemowa owym gardłowym tonem, który znałem jeszcze ze szkoły, który nienawidziłem i wydrwiwałem. Ale — i za to dziś mu jeszcze dziękuję — stary człowiek milczał i unikał mego wzroku. Wkońcu podszedł do chwiejącej się etażerki, gdzie stały moje książki, otworzył je — i z pierwszego rzutu oka zorjentował się, że były nietknięte, a w większości nawet nieporozcinane.

— „Pokaż notatki!“

Ten rozkaz, to były pierwsze jego słowa. Z drżeniem podałem mu zeszyt, wiedziałem bowiem, że stenograficzne notatki zawierają tylko jeden jedyny wykład. Szybko przebiegł oczyma pierwsze dwie kartki i bez cienia wzburzenia położył zeszyt na stole. Potem przysunął krzesło, usiadł, popatrzył na mnie poważnie, lecz bez najmniejszego wyrzutu, i zapytał:

— „No, co ty sobie myślisz o tem? Co z tego będzie?"

To spokojne pytanie przytłoczyło mnie poprostu. Wszystko we mnie zdrętwiało: gdyby mnie był złajał, odpowiedziałbym mu arogancko — gdyby mnie łagodnie upomniał, byłbym go wyszydził. A to rzeczowe pytanie złamało mą krnąbrność: powaga domagała się powagi, ten wymuszony spokój nakazywał respekt i wewnętrzną gotowość. Nie ważę się przypominać, com wtedy odpowiedział, owa rozmowa dziś jeszcze ucieka mi z pod pióra. Bywają niespodziane wydarzenia, rodzaj wstrząsu wewnętrznego, pewne słowa, które dźwięczą prawdziwie tylko jeden raz i to w cztery oczy, a powtórzone brzmiałyby prawdopodobnie nieco sentymentalnie — słowa, wybuchające w niespodzianym tumulcie uczuć.

Była to jedyna istotna rozmowa, jaką prowadziłem z moim ojcem: upokarzałem się przed nim bez zastanowienia, wszelkie osądzenie kładąc w jego ręce. On zaś podsunął mi radę, abym opuścił Berlin i następny semestr przestudjował w jakimś małym uniwersytecie; jest pewien, pocieszał mnie prawie, że od tej chwili uda mi się nadrobić czas zmarnowany. Zaufanie to wstrząsnęło mną. W jednej chwili pojąłem krzywdę, jaką sprawiałem przez

cały czas mej młodości temu staremu człowiekowi, zakutemu w pancerz zimnej formalistyki. Musiałem zagryźć wargi, aby powstrzymać cisnące się nagwałt łzy. Lecz on pewno odczuwał coś podobnego, gdyż nagle wyciągnął do mnie rękę, przytrzymał ją w swej drżącej dłoni przez chwilę — i wyszedł porywczo. Nie śmiałem iść za nim, stałem w pomieszaniu i ścierałem chusteczką krew z wargi: tak bardzo wgryzłem się zębami, aby pohamować szloch.

To był pierwszy wstrząs, jaki przeżył dziewiętnastoletni chłopiec. Wstrząs ów rozsypał bombastyczny domek z kart junactwa i studenckiej niezawisłości, rozbił bez użycia ostrzejszego słowa. Czułem się dość silny, aby wyrzec się wszystkich przyjemności — siła woli przyjęła rzucone wezwanie, niecierpliwiłem się, aby zmierzyć się znów z pracą umysłową, pałałem żądzą do trybu życia wstrzemięźliwego i poważnego, tęskniłem za surowym rygorem. W tym okresie poświęciłem się studjom tak żarliwie, jak w klasztornem ślubowaniu, nie wiedząc wprawdzie o tem cudownem upojeniu, jakie mnie czeka w nauce, nie przeczuwając, że w owym świecie ducha oczekują mnie także przygody i burzliwe niebezpieczeństwa.

* * *

Małe prowincjonalne miasteczko, któreśmy obrali zgodnie z ojcem, jako miejsce moich studjów na następny semestr — leżało w środkowych Niemczech. Rozległa jego sława akademicka stała w jaskrawej niezgodzie z kupką mizernych domków, otaczających budynek uniwersytecki. Nie

musiałem sobie zadać zbyt wiele trudu, aby się rozpytać o drogę do Alma Mater z dworca, gdziem pozostawił bagaż. Znalazłszy się w obrębie staroświeckiego przestronnego gmachu, poczułem odrazu, że o wiele łatwiej wewnętrzny krąg tutaj się zamyka, niż w owym berlińskim gołębniku. Po dwóch godzinach byłem już zapisany, odwiedziłem większość profesorów. Nie zastałem jedynie profesora głównego przedmiotu, to jest filologji angielskiej, lecz oznajmiono mi, że będzie nazajutrz koło czwartej w seminarjum.

Gnany niecierpliwością, aby nie opuścić żadnego wykładu, tak samo namiętny w pędzie do wiedzy, jak przedtem w jej trwonieniu, znalazłem się — (przebiegłszy śpiesznie przez miasteczko, w porównaniu z Berlinem śpiące snem narkotycznym) — punktualnie o czwartej na miejscu oznaczonem. Pedel wskazał mi drzwi seminarjum. Zapukałem. Zdawało mi się, że ktoś odpowiedział — więc wszedłem.

Nie, słuch mię zawiódł! Ten nieokreślony dźwięk, jaki mnie doszedł, to był podniesiony, energiczny głos profesora, który stał w ciasnej stłoczonej grupce dwudziestu kilku studentów i miał do nich snać improwizowaną przemowę. Było mi bardzo przykro, żem wszedł bez pozwolenia, i chciałem się pocichutku wyślizgnąć, lecz obawiałem się, że tem dopiero ściągnę na siebie uwagę, gdyż dotychczas żaden ze słuchaczy mnie nie spostrzegł. Stanąłem więc blizko drzwi i mimowoli począłem się przysłuchiwać.

Wykład ten najwidoczniej wyrósł samorzutnie z jakiejś dyskusji, czy też colloqium, na co wka-

zywało luźne, zupełnie przypadkowe zgrupowanie słuchaczy wokół nauczyciela. I on nie zasiadał w profesorskim fotelu, nakazującym dystans, lecz prawie po burszowsku siadł na jednym ze stołów, z nogą lekko zwieszającą, — a wokół niego zgromadzili się młodzi ludzie w dowolnych pozach, znieruchomiali w wielkiem zainteresowaniu. Widocznie stali, rozmawiając, gdy profesor niespodzianie zasiadł na stole i ze swego wzniesienia pochwycił ich na lasso słów, przyciągnął do siebie i jakby czarami w miejscu osadził. Niewiele czasu trzeba było na to, abym i ja, zapomniawszy o swej niepowołanej obecności, dał się porwać fascynującej potędze jego mowy i czuł jej wpływ magnetyczny na sobie. Mimowoli przysunąłem się bliżej, aby ujrzeć plastycznie wymowne gesty rąk, które niekiedy, gdy słowo jakieś władczo wysunęło się naprzód — rozpościerały się niby skrzydła, podfruwały w górę i stopniowo opadały, jak uspokajające muzykalne gesty dyrygenta. Coraz gwałtowniejsza, coraz burzliwsza była ta przemowa — a on tymczasem unosił się rytmicznie nad krawędzią twardego stołu, jak na grzbiecie rumaka w galopie, i bez tchu prawie wyrzucał ze siebie potok myśli, uskrzydlony, gwałtowny, przeszywający błyskawicznemi obrazami. Nigdym dotychczas nie słyszał mówcy w takim zapale, w takiem prawdziwem natchnieniu — po raz pierwszy przeżyłem to, co Rzymianie nazywają „raptus", to wyniesienie człowieka ponad siebie samego: nie dla siebie, ani nie dla innych przemawiały te niestrudzone wargi — to płomień z nich wylatywał, jak z domu, w którym rozszalał pożar.

Nigdy nie przeżywałem podobnych uczuć: to przemówienie, jak ekstaza, ten wykład, jak stawanie się żywiołów, ta niespodzianka targnęły mną poprostu. Nie czując, że się posuwam, przyciągnięty siłą hypnotyczną, silniejszą, niżeli ciekawość, owym bezsilnym krokiem lunatyków znalazłem się w tym wązkim magicznym kręgu: stanąłem między nimi, w odległości dziesięciu cali od niego, wpośród kolegów, zanadto oczarowanych, aby mogli mnie lub kogokolwiek innego spostrzedz. Byłem porwany prądem, a nie znałem jego źródła: prawdopodobnie jakiś student wygłosił zdanie, że Szekspir zjawił się, jak meteor, człowiek zaś, siedzący wyżej, udawadniał, że to był właśnie najsilniejszy wyraz generacji, w jednej osobie zawarta namiętność epoki. Jednym rysem odmalował ów przedziwny okres Anglji, ową jedyną sekundę ekstazy, która niespodzianie wybucha tak w życiu jednostki, jak w życiu narodu, i koncentruje wszystkie siły do jednego pocisku w wieczność. Ziemia rozszerzyła się nagle, odkryto nowe lądy, tymczasem stara potęga, potęga papiestwa groziła upadkiem: poza morzami, od chwili rozbicia armady hiszpańskiej, nęciły nowe możliwości, świat się rozszerzył i dusze ludzkie mimowoli wytężało to samo pragnienie rozszerzenia horyzontów, sięgnięcia aż do ostatnich granic Dobra i Zła. Zakiełkowało pragnienie odkryć, zdobyczy, wypraw konkwistadorskich, nowej mowy, świeżych sił. I w ciągu jednej nocy powstali nowi twórcy nowego języka, poeci — po pięćdziesięciu, po stu w przeciągu jednego wieku — dzika, niesforna banda kompanów, nie tych, co jak owe dworskie

wierszopisy, uprawiali pasterskie ogródki i pisywali grzeczne wierszyki z poczytnej mitologji — nie! oni szturmem zdobyli teatr, rozbili namioty na deskach sceny, gdzie dotąd szalały jedynie krwawe igrzyska ludzi i zwierząt. Gorącym zapachem krwi dziś jeszcze wioną ich utwory; ich dramaty — to Circus maximus, gdzie krwiożercze bestje uczuć ścierają się ze sobą w zażartych zapasach. Jak lwice, szarpie się nieposkromiona namiętność tych serc: jeden chce przewyższyć drugiego nadmiarem okrucieństwa, wszystko jest dopuszczalne, wszystko przedstawione: kazirodztwo, zbrodnia, mord, występek, niepowściągniony bunt wszystkiego, co ludzkie, święci tu swą płomienną orgję. Tak jak przedtem wybiegały ze swych klatek wygłodniałe bestje, tak teraz z rykiem wypadły na drewnianą arenę rozszalałe namiętności. Wybuch eksplodujący, jak petarda, krwotok, ejakulacja, wcielona dzikość, co świat cały niszczy: ledwo można rozróżnić głosy pojedyńcze, pojedyńcze postaci w tej orgji żywiołów. Ludzie rozpalają się wzajemnie, ten kradnie pomysł od tamtego, jeszcze inny chce go prześcignąć — wszyscy, to duchowi gladjatorzy jednej uroczystości, rozpętani niewolnicy, biczowani przez genjusz epoki. Genjusz wynosi ich zarówno z pochyłych domków przedmieścia, jak i pałaców: Ben Jonson, potomek maurytański, Marlowe syn szewca, Massinger, lokajska latorośl, Filip Sydney, syn bogacza, uczonego męża stanu. W tem kłębowisku płomiennem mieszają się i tłoczą wszyscy; dziś obchodzą swe święto, zdychają nazajutrz. Kyd, Heywoods w najsroższej nędzy umierają z głodu, tak jak Spencer i Kingstreet — nie mieszczuchy, zawadjaki, oszuści, komedjanci, wsze-

tecznicy — ale poeci, poeci całą gębą! Szekspir jest pośród nich: „The very age and body of the time“ — lecz niema czasu na podziwianie go, tak kipi ten war, tak bujnie tryskają dzieło za dziełem, namiętność za namiętnością. I nagle, równie spazmatycznie jak powstała, rozpada się w ruinę ta najwspanialsza erupcja ludzkości — koniec dramatu, Anglja jest wyczerpana, i znów przez setkę lat mży nad duchem ludzkim ów szary mglisty tuman z nad Tamizy. Jednym wysiłkiem pokolenie dosięgło szczytu i głębi namiętności; rozpętana, przepełniona dusza całym swym żarem zionęła z piersi — a teraz kraj spoczął znużony, zmęczony, wyczerpany. Manjacki purytanizm zamyka teatry i więzi w ten sposób pasję słowa, Biblja znów dochodzi do głosu, ludzkość uczyniła najżarliwszą spowiedź po wszystkie czasy, i jedno płomienne pokolenie przeżyło za tysiąc.

Niespodzianie zmieniając temat swej olśniewającej przemowy, zwrócił się do nas:

— „Czy teraz rozumiecie, czemu rozpoczynam moje wykłady nie w chronologicznym porządku, od króla Artura i Chaucera, lecz wbrew regule — od czasów elżbietańskich? I czy rozumiecie, czemu pragnę zażyłości z wami, aby razem wczuwać się w okres najintensywniejszej żywotności? Niema bowiem filologicznego zrozumienia bez przeżycia, niema słów o tylko gramatycznem znaczeniu, bez odczucia ich wartości — i wy, młodzieńcy, musicie najpierw poznać kraj i mowę, którą pragniecie opanować, w najdoskonalszych formach piękności, — w młodości waszej, w jej namiętnościach. Najpierw musicie od poetów usłyszeć ich słowo, od nich, którzy je two-

rzą i doskonałą, musicie poczuć tu, na sercu, ciepło i słodycz poezji — nim przystąpicie do niej ze skalpelem w ręce. Dlatego też rozpoczynam od bogów, ponieważ Anglja — to czas panowania Elżbiety, to Szekspir i jego epoka; okres poprzedni — to okres przygotowawczy, okres następny — to kulawe naśladownictwo tego śmiałego skoku w nieskończoność; tu jest, wy to czujecie, czujecie to sami, najbardziej żywotna młodzieńczość świata. Każde zjawisko, każdego człowieka najlepiej poznamy w kształcie ognistym, w jego namiętności. Ponieważ wszelki duch powstaje z krwi, wszelka myśl — z namiętności, wszelka namiętność — z natchnienia — dlatego też przedewszystkiem Szekspir i jego współcześni czynią was, młodzieńcy, naprawdę młodymi! Wprzód entuzjazm, później gorliwość — wprzód On, najwyższy, najważniejszy, on, Szekspir, to najwspanialsze repetytorjum świata, a później żmudne studjum nad językiem!"

— „Dość będzie na dziś — bądźcie zdrowi!" zakończył szybkim ruchem dłoni, jednocześnie zeskakując ze stołu. Jak potrząśnięty snop, rozsypała się ciasno stłoczona gromadka studentów — łoskot i rumor krzeseł, rozsuwanie stołów, dwadzieścia zamkniętych dotychczas krtani rozpoczęło jednocześnie mówić, chrząkać, głośno dyszeć — teraz można było dopiero zrozumieć, jak silny był czar magnetyczny, że na tak długo zamknął te wargi. Już niczem nieprzytłumione kotłowało się bractwo w wązkim pokoju: jedni podchodzili do profesora, aby mu podziękować czy też mu coś powiedzieć, inni z rozgorączkowanemi policzkami dzielili się nawzajem wrażeniami — nikt nie stał spokojnie,

nie było nikogo, kogoby nie tknęło owo elektryczne napięcie, i choć kontakt został tak szorstko przerwany, jednak wydawało się, że pachnie ozonem i że iskry pryskają jeszcze w zgęszczonej atmosferze.

Ja zaś nie mogłem się ruszyć z miejsca: zdawało mi się, że zostałem ugodzony w samo serce. Z natury byłem namiętny i zdolny do pasjonowania się — po raz pierwszy jednak wypadło mi dać się porwać przez nauczyciela i odczuwać przytem taką potęgę, że poddanie się jej było zarówno obowiązkiem, jak i rozkoszą. Krew w żyłach krążyła wartko, oddech był coraz szybszy, i ten śpieszny rytm cwałował w mojem ciele, aż zrywałem się z niecierpliwości.

Przedarłem się wreszcie do pierwszego rzędu, aby ujrzeć oblicze tego człowieka, bo — choć to dziwne — dotychczas nie spostrzegłem jego rysów, do tego stopnia byłem pochłonięty przemową. Zrazu zauważyłem tylko zarysowujący się niepewnie profil: pół odwrócony do jakiegoś studenta, z ręką poufale na jego ramieniu, stał w półświetle okna. I nawet ten lekki ruch miał w sobie odcień pewnej zażyłości i taki powab, jakiegobym nigdy nie podejrzewał u pedagoga.

W międzyczasie spostrzegło mię kilku studentów. Aby nie uważano mnie za niepowołanego intruza, przystąpiłem bliżej do profesora i czekałem, aż skończy rozmowę. Dopiero teraz miałem sposobność przyjrzeć się jego twarzy: głowa Rzymianina, o pięknie sklepionem czole — ponad niem, puszyste, białe, falujące włosy, imponująca budowa górnej części twarzy o wyrazie uduchowionym, — niżej zaś: oczy, podkrążone głębokim cieniem, — miękkie, prawie

kobiece zaokrąglenie podbródka, niespokojne usta, drgające nerwowo już to w uśmiechu, już to w niespokojnym skurczu. Męski piękny wyraz czoła ustępował w dolnej części twarzy na rzecz nieco obwisłych policzków i ruchliwych ust. Zdaleka imponująca i władcza — zblizka twarz jego wyglądała na przemęczoną. I w postawie jego także znać było ową dwoistość. Lewa ręka spoczywała na stole — lub przynajmniej wydawało się, że spoczywa — gdyż w kostce drżała ustawicznie, a wązkie, może nieco zbyt delikatne, jak na męską dłoń, zbyt miękkie palce rysowały niewidzialne figury na blacie stołu — oczy zaś, z pod ciężkich powiek, brały żywy udział w rozmowie. Był to niepokój, czy też nerwy drżały w nim z poprzedniego podniecenia — w każdym razie chwiejne, niezborne ruchy rąk sprzeciwiały się wyrazowi twarzy, wyczekującej, znużonej, a przecież zasłuchanej w rozmowę ze studentem.

Nareszcie przyszła kolej na mnie. Zbliżyłem się, wymieniłem nazwisko i zamiary — i natychmiast wpiły się we mnie błyszczące błękitne źrenice. Przez dwie, trzy sekundy pytające oczy przebiegały moją twarz od podbródka, aż do czubka włosów. Prawdopodobnie zaczerwieniłem się bardzo podczas tego badania, które wyglądało na łagodną inkwizycję, gdyż w tejże chwili przestał mi się przypatrywać, uśmiechając się:

— „A więc pan chce się zapisać w poczet moich słuchaczy? Musimy jeszcze obszerniej porozmawiać. Przepraszam, że nie czynię tego natychmiast. Mam jeszcze coś do załatwienia — może pan zechce poczekać na mnie i odprowadzić mnie do domu.“

Przytem wyciągnął do mnie rękę — swą szczupłą, delikatną dłoń, która spoczęła w mych palcach lżej niż rękawiczka, i już zwrócił się uprzejmie do następnego w kolejce.

Z bijącem sercem kręciłem się przez dziesięć minut przed bramą. Co odpowiedzieć, gdy mię zapyta o moje studja? Czy będzie mną pogardzał — czy wyłączy mnie z owego płomiennego koła, co dziś się z magiczną siłą nademną zakreśliło? Lecz ledwo zjawił się — spiesznie, z dobrym uśmiechem na ustach — opuściła mię trwoga, i zwierzyłem mu się (nawet bez nagabywań, niezdolny byłem przed nim coś ukryć), żem tak zmarnował pierwszy semestr moich studjów. Znów ześlizgnęło się po mnie ciepłe współczujące spojrzenie. „I pauzy należą do muzyki" — uśmiech jego był pełen otuchy — i nie chcąc widocznie zawstydzać mnie moją ignorancją, począł się informować o sprawy najzupełniej osobiste, o moje miasto rodzinne i o to, gdzie mam zamiar zamieszkać. Gdy oznajmiłem, żem dotychczas nie znalazł pokoju, zaproponował mi swą pomoc i poradził, żebym się dowiedział o pokój w tym domu, gdzie on mieszka; tam odnajmuje jakaś stara głuchawa babuleńka miły pokoik, z którego dotychczasowi mieszkańcy byli zadowoleni. O wszystko profesor będzie się troszczył: jeżeli mam istotny zamiar poważnie studjować, to będzie sobie poczytywał za najmilszy obowiązek być mi w każdej sprawie pomocnym.

Przed domem raz jeszcze podał mi rękę i zaprosił mię do siebie na następny wieczór, celem wspólnego opracowania programu studjów. I tak wielka była

we mnie wdzięczność za nieoczekiwaną dobroć tego człowieka, żem ściągnął kapelusz, z szacunkiem uścisnąłem podaną dłoń... lecz zapomniałem mu choćby słowem podziękować.

* * *

Naturalnie, wynająłem natychmiast pokoik w tym samym domu. Gdyby mi nawet zupełnie nie odpowiadał, wynająłbym go także z dziękczynnem i zarazem naiwnem uczuciem, że będę bliżej tego czarodzieja, który w ciągu jednej godziny więcej mi ofiarował, niż inni w ciągu całego życia. Pokoik był prześliczny: była to mansarda nad mieszkaniem profesora, przyciemna wskutek pochyłego pułapu, z oknem, wychodzącem na przyległe dachy i wieżę kościelną. W dali widać było zielone kwadraty pól i ponad niemi rozwiane obłoki. Głucha jak pień kobiecina opiekowała się swymi wychowankami z macierzyńską troskliwością — po dwóch minutach zgodziłem się co do ceny, a po godzinie taszczyłem mój kufer po skrzypiących schodach.

Nie wychodziłem już tego wieczora, zapomniałem o jedzeniu — ba! zapomniałem o paleniu. Z niecierpliwością wyciągnąłem z kufra tom Szekspira, aby go znów odczytać, pierwszy raz po wielu latach. Wykład profesora roznamiętnił mą ciekawość, więc wczytywałem się w poezję, tak jakem nigdy nie czytał. Jak można wytłómaczyć podobne metamorfozy? Nagle zacząłem rozumieć świat, zawarty w tych pismach,słowa wstrząsnęły mną tak,jak gdyby czekały na mnie od stuleci. Wiersz huczał i porywał, jak fala płomienna, w pulsach tętniło, a w skroniach czułem ów szczególny szum, jak w snach o podniebnym

locie. Dygotałem, drżałem cały, krew krążyła coraz szybciej, jak w gorączce — nigdy dotąd nie zdarzało mi się nic podobnego... a przecież targnęło mną tak jedynie wysłuchanie entuzjastycznej przemowy. Jeszcze byłem tą mową upojony — czułem, gdym czytał jakąś strofkę głośno, że mimowoli mój głos naśladuje jego głos, że zdania pędziły takim gwałtownym rytmem, jak jego zdania i że ręce nawet przejęły gesty jego rąk. W ciągu jednej chwili, jak pod różdżką maga, rozsypał się mur graniczny między mną a światem ducha i poznałem nową namiętność, której jestem po dziś dzień wierny: rozkosz obcowania z uduchowionem słowem.

Przypadkiem natknąłem się na „Korjolana", i w głowie mi się zakręciło, gdym w sobie odnalazł wszystkie pierwiastki duszy tego dziwnego Rzymianina: dumę, pychę, gniew, szyderstwo, drwiny — sól, złoto, ołów, wszystkie metale uczuć. Czytałem, czytałem bez końca, aż oczy zaczęły mnie palić; spojrzałem na zegar, było wpół do czwartej. Byłem prawie przerażony tą nową potęgą, co przez sześć godzin podniecała i zarazem ogłuszała mi zmysły. Zgasiłem światło. Lecz przed oczyma krążyły jeszcze i płonęły widziadła, nie mogłem usnąć w tęsknem oczekiwaniu jutra, które miało rozszerzyć widnokrąg czarodziejskiego świata, a wreszcie całkiem mi go przyswoić.

* * *

Lecz następny ranek przyniósł rozczarowanie. Pierwszy przyszedłem do sali wykładowej, gdzie mój nauczyciel (tak go będę od tej chwili nazywał) wykładał angielską głosownię. Ledwom wszedł do

audytorjum, przeraziłem się... Czy to był ten sam człowiek, co wczoraj, — czy też we wspomnieniach, w podniosłym nastroju, przetworzyłem go w Korjolana, co przemawia na Forum Romanum słowami, pełnemi gromów, odważny, bohaterski, poskramiający a nieposkromiony? Do sali wszedł powoli, powłócząc nogami, zmęczony stary człowiek. Jak gdyby ktoś nagle odjął z jego twarzy świetlaną maskę — z pierwszej ławki dostrzegłem nieomal chorobliwie bezsilne rysy, przeorane zmarszczkami i szramami. Błękitne cienie drążyły poprzeczne bruzdy w obwisłych szarych policzkach. Zbyt ciężkie powieki przykrywały oczy, w bladych cienkich wargach słowa nie nabierały już metalicznego dźwięku. Gdzież się podziała jego wesołość, jego radosny entuzjazm? Nawet głos wydał mi się obcy: widać otrzeźwiał w zetknięciu z tematem gramatycznych rozważań i brzmiał, jak stąpanie monotonnym znużonym krokiem poprzez suchy, trzeszczący piasek.

Ogarnął mnie niepokój. Czy to był ten człowiek, któregom oczekiwał niecierpliwie od świtu: gdzież jest oblicze, co oświetliło mię wczoraj blaskiem astralnym? To jakiś zniszczony rutyną profesor motał, jak ze szpuli, temat wykładu. Wsłuchiwałem się niespokojnie w jego słowa — czy też nie wróci czasem ów ton wczorajszy, owa ciepła wibracja, co jak dłoń, targnęła mem sercem i nastroiła je na nutę namiętności... Coraz niespokojniej przebiegałem wzrokiem, pełnym zawodu, tę odstręczającą twarz: niewątpliwie, twarz była ta sama, lecz jakby pozbawiona siły twórczej, zmęczona, starcza, pergaminowa maska postarzałego człowieka. Czyż to

możliwe? Czy można być młodzieńcem przez jedną godzinę i starcem przez następną? Czy bywają takie napływy sił duchowych, że wraz ze słowem przekształcają twarz i o dziesiątki lat czynią ją młodszą?

Dręczyło mnie to pytanie. Płonęła we mnie, jak głód, chęć dowiedzenia się czegoś więcej o tym człowieku w dwoistej postaci. Ledwo opuścił katedrę, nie spojrzawszy na nas, — idąc za nagłym podszeptem, udałem się śpiesznie do bibljoteki i zażądałem jego dzieł. — Może był dziś znużony, może niedyspozycja fizyczna stłumiła jego zapał: tam może, w wykładni trwałych ukształtowań znajdę klucz i rozwiązanie zadziwiającego zjawiska. Woźny przyniósł książki: zdziwiłem się, że było ich tak niewiele. W przeciągu dwudziestu lat starzejący się człowiek nie opublikował nic, ponad szereg szczupłych tomików, zawierających wstępy, przedmowy, rozprawę o autentyczności szekspirowskiego Peryklesa, pracę porównawczą o Hölderlinie i Shelley'u, (kiedy ani jeden, ani drugi nie byli uważani za genjalnych przez swój naród) — a pozatem, filologiczne rupiecie. Ach, prawda: wszystkie pisma zawierały notatkę o mającem się ukazać dwutomowem dziele: „Globe-teatr, historja jego, opis i twórcy.“ Na powtórne pytanie odpowiedział mi bibljotekarz, że mimo wzmianek z przed dwudziestu laty książka ta nie ukazała się nigdy. Nieśmiało, coraz mniej odważnie przerzucałem książki, z utęsknieniem chcąc usłyszeć ów upajający głos i odnowić wrażenia porywającego rytmu. Lecz słowa książek stąpały miarowym, stałym, poważnym krokiem, znikąd nie tryskał ów gorący takt, jak z fali na fali przelewający się rytm jego mowy.

— Jaka szkoda! — wzdychałem w głębi duszy. Byłbym się obił chętnie, dygotałem cały ze złości na siebie, żem się tak szybko i łatwowiernie dał porwać uczuciom.

Popołudniu wszakże, w seminarjum, odpoznałem go znowu. Tym razem z początku przemawiał nie sam. Według obyczaju angielskich uniwersytetów, studenci podczas dyskusji dzielili się na dwie grupy: referentów i oponentów. Tematem dyskusji był ulubiony Szekspir: czy należy uważać Troilusa i Cressidę za figury parodystyczne, i czy utwór jest satyrą, czy też tragedją, ukrytą pod maską szyderstwa. Ożywiona zrazu rozmowa, podniecana jego umiejętnem kierownictwem, rozogniła się w atmosferę elektrycznego napięcia — argument sprężyście odparowywał jakiś sąd, nazbyt ociężały, okrzyki z tej lub tamtej strony zaostrzały gorąco dyskusji, aż w końcu młodzi ludzie poczęli się porywać na siebie w nieomal wrogim nastroju.

Ale gdy się już sypnęły iskry, profesor wtrącił się, rozdzielił ich, zręcznie skierował dyskusję we właściwe łożysko, nadając jej wszakże charakter ponadaktualny, sub specie aeternitatis — i stał wpośród ognistej szermierki słów, już to hamując, już to rozdmuchując walkę pojęć, sam bardzo podniecony, pan i mistrz tej rozhukanej fali młodzieńczego entuzjazmu, falą tą sam pokonany. Wsparty o brzeg stołu, z rękoma skrzyżowanemi na piersi, spoglądał to na jednych, to na drugich, do tego się uśmiechnął, tamtego znakiem zachęcił do opozycji. Jak wczoraj, oczy jego znów błyszczały; czułem, że musi się powściągać, aby nie zabrać głosu i nie przerwać tem dyskusji. Lecz hamował się mocno, widziałem,

jak jego ręce coraz silniej zaplatały się na piersiach, zgadywałem, co znaczyły drgające kąciki ust, które z wysiłkiem powstrzymywały zrywające się z nich słowa. Wreszcie nie wytrzymał, i rzucił się, jak pływak, w wir dyskusji — jednym ważkim gestem ręki uśmierzył tumult, niby skinieniem batuty: natychmiast wszyscy zamilkli, a on skupił wszystkie argumenty według architektonicznej umiejętności. I gdy przemawiał, znów ukazała się twarz wczorajsza, nerwowa, ruchliwa mimika rozprostowała zmarszczki, postawa nabrała cech śmiałych i władczych — przedtem przysłuchiwał się zgarbiony, teraz wyprostowany zanurzył się jakby w gwałtownym potoku słów. Porywająca improwizacja! — Zacząłem wtedy przeczuwać, że on, sam wstrzemięźliwy z natury, musiał się obchodzić bez zapalnego materjału w swojej pracowni lub też na suchym wykładzie, i dopiero tutaj, w stłoczonej, zapierającej oddech atmosferze naszego oczarowania, odmykały się gwałtownie wewnętrzne hamulce. O, jak ja dobrze to czułem: brakowało mu naszego zapału do jego entuzjazmu, naszej rozrzutności do jego marnotrawstwa, naszej młodości do młodzieńczości jego natchnień. Jak cymbalista upaja się coraz dzikszym rytmem żarliwych swych dłoni — tak jego przemowa stawała się coraz ognistsza coraz barwniejsza, coraz bogatsza w płomienne słowa, i im bardziej milczeliśmy (mimowoli zatailiśmy oddech), tem wyższy był polot, tem większe rozpięcie, tem szerszym hymnem brzmiała jego mowa. Wszyscy w owej chwili należeliśmy do niego, zasłuchani, upojeni tą powodzią słów.

I znów, zakończył nagle, tym razem cytatą

z Goethego, — i znów gwałtownie prysło nasze podniecenie. Tak jak wczoraj, oparł się w wyczerpaniu o stół, z twarzą pobladłą, którą przebiegały nerwowe drżenia. W oczach migotał ów blask rozkoszy, jak w oczach kobiety, która tylko co się wydarła z przemożnych objęć. Nie miałem odwagi mówić z nim teraz; przypadkiem wzrok jego spoczął na mnie. Najwidoczniej odczuł mój zapał i wdzięczność, gdyż uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, pochylił się lekko ku mnie, i kładąc dłoń na ramieniu, przypomniał mi, że mam być u niego wieczorem.

Punktualnie o siódmej zjawiłem się u profesora. Z jakim chłopięcym lękiem przestępowałem ów próg po raz pierwszy! Niema większej namiętności na świecie, niż młodzieńcze uwielbienie — najbardziej nieśmiałe, najbardziej zalęknione, najbardziej wstydliwe, bardzo kobiece uczucie...

Wprowadzono mię do gabinetu, półciemnego pokoju. Za szkłem szafy ujrzałem barwne grzbiety książek.

Nad biurkiem wisiał obraz „Szkoła ateńska“ Rafaela. Jak później się dowiedziałem, był to ulubiony jego obraz, ponieważ wszelkie ukształtowania ducha i wszelkie sposoby nauczania łączą się tu w jedną symboliczną syntezę. Widziałem ten obraz poraz pierwszy: mimowoli dopatrzyłem się podobieństwa między pewną siebie twarzą Sokratesa a twarzą profesora. Na tylnym planie połyskiwał biały marmur — był to ładnie zmniejszony posążek paryskiego Ganimeda — obok święty Sebastjan mistrza staro-niemieckiego, najpewniej nie w przypadkowem sąsiedztwie: piękność tragiczna obok piękności doczesnej.

Czekałem z bijącem sercem, z zapartym oddechem, milczący, jak otaczające mię w szlachetnem zamyśleniu dzieła sztuki. Z tych dzieł przemawiało do mnie symbolicznie piękno duchowe, którego nie przeczuwałem i nie rozumiałem jeszcze, choć czułem się na siłach przyjąć je z otwartemi ramionami. Na rozglądanie się zostało mi już niewiele czasu, gdyż nagle wszedł profesor. Znów przemknęło po mej twarzy miękkie, powłóczyste spojrzenie, skryte, jak tląca iskra — i ku memu zdumieniu tajemnice duszy topniały pod tem spojrzeniem. Zacząłem z nim odrazu mówić swobodnie, jak z przyjacielem, i gdy mię zapytał o przebieg studjów berlińskich, wyrwało mi się — sam się przeraziłem tej chwili — opowiadanie o wizycie mego ojca, i raz jeszcze umocniłem tajemne ślubowanie obietnicą poważnej pracy.

— „Tylko nie „poważnie" mój chłopcze — rzekł wtedy — przedewszystkiem z pasją. Ten, kto nie ma namiętności, w najlepszym razie będzie belfrem — z wewnętrznym ogniem trzeba się brać do rzeczy, zawsze z namiętnością, zawsze z pasją."

Coraz cieplejszy był jego głos, coraz ciemniejszy stawał się pokój. Opowiedział mi wiele o własnej młodości, jak równie niedorzecznie rozpoczął studja i dopiero później odkrył w sobie prawdziwe powołanie. Co do mnie, to nie powinienem tracić odwagi, on zaś, o ile tylko będzie mógł, przyjdzie mi z pomocą. Ze wszystkiemi pytaniami i życzeniami powinienem się zwracać do niego bez zastanowienia. Jeszcze nigdy nikt się nie zwracał do mnie z takiem współczuciem i zrozumieniem. Drża-

łem cały z wdzięczności i byłem rad, że zmierzch pomógł mi ukryć zwilgotniałe oczy.

Mógłbym tak siedzieć godzinami, nie odczuwając czasu — gdy wtem ktoś lekko zapukał. Drzwi się otworzyły, w cieniu stanęła jakaś smukła postać. Podniósł się i przedstawił mnie: „Moja żona." Wysmukły cień zbliżył się, złożył wązką dłoń w mojej ręce i zwrócił się do niego:

— „Kolacja gotowa." „Wiem, wiem," odpowiedział pośpiesznie i (jak mi się przynajmniej zdawało) nieco opryskliwie.

Jakaś chłodna nuta zadźwięczała w jego głosie — i gdy zajaśniała lampa, przedemną stał znów ów stary, znużony człowiek, którego widziałem w sali wykładowej, i wyciągał do mnie rękę na pożegnanie.

* * *

Następne dwa tygodnie spędziłem w jakiejś wściekłej furji nauki i pracy. Nie opuszczałem prawie pokoju, jadałem, stojąc, aby nie tracić czasu, studjowałem bez ustanku, bez pauz, bez snu prawie. Żyłem, jak ów książę z baśni wschodniej, co łamiąc pieczęcie na drzwiach, przebiegał od komnaty do komnaty i w każdej z nich znajdował coraz więcej kamieni szlachetnych i klejnotów, i z coraz większą żądzą przetrząsał je, pragnąc wreszcie zobaczyć ostatnią komnatę. Tak samo i ja rzucałem się z książki na książkę — wszystkie mnie upajały, żadna nie nasyciła. Po raz pierwszy począłem przeczuwać bezgraniczność i głębię świata duchowego, tak kuszące, jak ongi kusiły awanturki wielkomiejskie. Zbudził się we mnie przytem chłopięcy

lęk, że nie zdołam tego świata opanować: skąpiłem więc sobie snu, rozrywek, pogawędki, wszelkiej dystrakcji, aby wykorzystać czas, który teraz dopiero począłem wysoko cenić. Lecz najbardziej zagrzewała mię do pracy ambicja, aby sprostać obietnicom wobec nauczyciela, aby nie zawieść jego zaufania, aby uzyskać przychylny uśmiech i takie zrozumienie i odczucie, jakie ja miałem dla niego. Najbłahsza sposobność służyła za bodziec dla niewytrawnego, a przecież lotnego umysłu. Szukałem okazji, aby mu zaimponować, aby go zadziwić. Jeśli podczas wykładu wymienił nazwisko poety, którego nie znałem, tegoż popołudnia rzucałem się na poszukiwanie, aby chełpliwie zabłysnąć swemi wiadomościami w następnej dyskusji. Jakieś życzenie, mimochodem wyrażone i przez innych ledwo dostrzeżone — dla mnie było równoznaczne z rozkazem. Luźno rzucona uwaga na temat wiecznego kopcenia studentów wystarczyła, abym cisnął natychmiast zapalonego papierosa i zaniechał wypomnianego nałogu. Tak jak słowo Ewangelisty, jego słowa były dla mnie zarazem łaską i przykazaniem. Z nieustannie wytężoną, z niemordowanie czujną uwagą podchwytywałem każde jego słowo i każdy ruch. W niewyrozumiałej pasji uważałem profesora za jedynego kierownika, a wszystkich kolegów za wrogów, którzy codziennie współzawodniczyli i współubiegali się ze mną, więc z tem zazdrośniejszym uporem zacinałem się w sobie.

Nie wiem, czy profesor wyczuwał, czem dla mnie był, czy też może impulsywność natury ujęła go — dość, że wyróżniał mnie z pośród innych swem wyraźnem zainteresowaniem.

Czuwał nad lekturą, wciągał nowicjusza wprost natarczywie do wspólnych dyskusyj, a często także wieczorami wolno mi było przychodzić do niego na poufne gawędy. Niekiedy czytywał mi urywki tragedyj lub wiersze swym dźwięcznym jasnym głosem. Czasem wyjaśniał mi sporne problemy; — w ciągu tych dwóch upajających tygodni dowiedziałem się więcej o istocie sztuki, niż w przeciągu całych dziewiętnastu lat. Zawsze byliśmy sami podczas tej przykrótkiej dla mnie godziny.

Około ósmej ktoś lekko stukał do drzwi: to żona wołała na kolację. Lecz nigdy nie wchodziła już do pokoju, snać zgodnie ze zleceniem nieprzerywania naszej rozmowy.

Tak minęło czternaście dni, wytężonych, gorączkowych dni wiosennych. Aż pewnego pięknego poranku naderwało się we mnie owe nasilenie pracy, jak zbyt napięta sprężyna. Profesor przestrzegał mnie już wcześniej o złych skutkach przesadnej gorliwości, radził mi zaniechać pracy na jeden dzień i iść na powietrze — i przepowiednie jego spełniły się: budziłem się ociężały z ciężkich snów, a gdy brałem się do czytania, litery latały mi przed oczyma, jak kłujące szpileczki. Ponieważ z niewolniczą wiernością byłem posłuszny każdemu słowu nauczyciela, postanowiłem natychmiast uszczknąć dla siebie jeden dzień wolny od nauki z pośród tylu, jej tylko poświęconych.

Nazajutrz rano wstałem, poszedłem obejrzeć starożytną część miasta, wdrapałem się po stu schodkach na wieżę kościelną, aby w ten sposób rozprostować członki. Z pomostu wieży udało mi się odkryć małe jezioro w otoczu zieleni. Jako

mieszkaniec północnych wybrzeży, pasjami lubiłem sport pływacki. I tu, na tej wieży, skąd rozpościerał się widok na łąki, pocentkowane stawami — owionął mię jakby wiatr ojczysty i rozpalił niepcskromioną chęć zanurzenia się w ulubionym żywiole.

Zaraz po obiedzie znalazłem kąpielisko. Ledwom począł harcować w wodzie, znów muskuły nabrały giętkości i siły, ramiona rozprostowały się, a wiatr i słońce, łaskocące nagą skórę, w przeciągu półgodziny przemieniły mnie w dawnego junaka, co stawał ongi do dzikich zapasów z kolegami i w szaleństwie odwagi za nic sobie życie ważył. Pluskałem się i dokazywałem, i nic mnie nie obchodziły książki ani nauka. Z właściwą sobie zapamiętałością oddałem się poniechanej oddawna pasji i w ciągu dwóch godzin tarzałem się z rozkoszą w znów odzyskanym żywiole. Ze trzydzieści razy skakałem z trampoliny, by wyładować nadmiar energji, dwa razy przepłynąłem wpoprzek jezioro i wciąż jeszcze czułem się niestrudzony. Parskając, szukałem jeszcze jakiejś okazji do wyładowania się, chciałem dokonać jakiegoś czynu zuchwałego — mocnego — niebywałego!

Wtem, po stronie oddziału damskiego skrzypnęła trampolina, czułem, że ktoś mocno się odbił do deski. W powietrzu śmignęło smukłe ciało kobiece, wygięte w łuk, jak zakrzywiony miecz turecki. Woda plusnęła, zawirowała, spieniła się białą pianą — później znów wychyliła się smukła postać, płynąc nerwowemi rzutami wprost ku wysepce. — „Za nią!“ „Dogonić!“ — Duch sportu wprawił w ruch mięśnie, skoczyłem do wody i prąc ramionami, w zawziętem tempie począłem ją doganiać.

Lecz ona widocznie natychmiast spostrzegła pościg i wyzyskując dzielnie swą mocniejszą pozycję, popłynęła naukos obok wyspy, a potem śpiesznie zawróciła. Domyśliłem się z punktu jej zamiarów, wziąłem na prawo i popłynąłem tak zamaszyście, że wysunięta ręka znalazła się w wirze wody, spienionym przez nią, że już nas dzieliła nie więcej, niż piędź — gdy wtem ścigana śmiało i chytrze dała nura, i po chwili wynurzyła się u barjery damskiego oddziału, unikając dalszego pościgu. Tu tryumfatorka, ociekając wodą, weszła na schody. Musiała stanąć na chwilkę, z ręką na sercu, widocznie brakło jej tchu. Potem odwróciła się, a gdy mnie ujrzała tuż przy lince granicznej, uśmiechnęła się zwycięsko, błyskając białemi zębami.

Nie mogłem się dokładnie przyjrzeć jej twarzy, ukrytej pod czepkiem kąpielowym — zapamiętałem jedynie uśmiech, szyderczy i lśniący emalją zębów.

Byłem trochę zły, ale i rad jednocześnie: pierwszy raz, od czasów berlińskich, uczułem urok radości spojrzenia kobiecego — znów mignęła możliwość awanturki. Szybko dopłynąłem do męskiego oddziału, żwawo wciągnąłem ubranie na wilgotne jeszcze ciało, aby tylko módz czatować na nią przy wyjściu. Musiałem czekać dziesięć minut, nim przeszła, lekko stąpając, moja dumna przeciwniczka. Nietrudno było ją poznać po wysmukłej, prawie chłopięcej budowie. Gdy mnie spostrzegła, przyśpieszyła kroku, z widocznym zamiarem niedopuszczenia do rozmowy. Chodziła tak samo zwinnie i sprężyście, jak przedtem pływała, harmonijnie poruszały się więzadła i muskuły szczupłego — nazbyt szczupłe-

go ciała greckiego efeba. Doprawdy, żem się zdyszał, gdym gonił ją, prawie biegnącą — a przytem zależało mi na tem, żeby zbytnio nie wpadać jej w oczy. Nareszcie, na jakimś zakręcie dogoniłem ją, zręcznie przeciąłem drogę, szarmancko uchyliłem kapelusz i zaryzykowałem pytanie:

— „Czy wolno mi odprowadzić panią?“

Rzuciła z ukosa drwiące spojrzenie i nie zwalniając gorączkowego tempa, odpowiedziała z nieomal prowokującą ironją:

— „Jeśli nie zbyt prędko chodzę — proszę bardzo.“

Zachęcony tą przystępnością, próbowałem być bardziej natrętny: zasypałem ją garścią ciekawych pytań, przeważnie niedorzecznych, lecz gotowość i zdumiewająca swoboda jej odpowiedzi raczej zbiły mnie z tropu, niż zadośćuczyniły. Mój berliński, pożal się Boże, słownik, był oparty przeważnie na drwinkach i uszczypliwościach, to też nie nadawał się do szczerej rozmowy podczas podobnego niemal biegu na przełaj: i po raz drugi tego dnia doznałem uczucia prawdziwej niezręczności wobec silniejszej partnerki.

Ale nieszczęście miało dopiero nastąpić... Zdwajałem natarczywość niedyskretnych pytań i gdy wkońcu zagadnąłem: „Gdzie pani mieszka?“ — wtedy zwróciły się ku mnie figlarne piwne oczy, tryskając nieukrywanym już śmiechem:

— „W pańskiem najbliższem sąsiedztwie.“

Spojrzałem na nią zaskoczony. Zerknęła z ukosa, czy pocisk trafił. Istotnie, utkwił mi w krtani. W jednej chwili opuściła mnie bezczelność owych djalogów berlińskich, wybełkotałem z przesadną

nieśmiałością, czy czasem moje towarzystwo nie jest dla niej uciążliwe...

— „Ale skądże," — odrzekła znów z uśmiechem, — „już tylko mamy przejść dwie ulice, możemy iść razem."

W głowie mi zahuczało, z trudem posuwałem się naprzód, ale cóż było robić? Gdybym odszedł, popełniłbym jeszcze grubszy nietakt. Tak więc szliśmy razem do domu, gdzie mieszkałem. Tu zatrzymała się, podała mi rękę i powiedziała lekkim tonem:

— „Dziękuję za odprowadzenie. Będzie pan o szóstej u mego męża?"

Byłem czerwony jak burak ze wstydu. Nim zdążyłem się usprawiedliwić, pobiegła szybko po schodach. A ja stałem, rozpamiętując swe głupie powiedzenia, na które ważyłem się w idjotycznej bezczelności.

Kretyn, fanfaron, potraktowałem ją, jak szwaczkę... zaproponowałem majówkę... zachwycałem się jej budową w drastyczny sposób... wygrywałem, jak na katarynce, żale osamotnionego studenta... nie, chyba spalę się ze wstydu, z obrzydzenia do samego siebie!

A teraz poszła roześmiana, opowie o mojem błazeńskiem zachowaniu się mężowi, człowiekowi, którego opinja droższa mi jest ponad wszystko... Wolałbym chyba, żeby mnie nagiego wychłostano na placu publicznym, niżbym się miał wobec niego ośmieszyć!...

Przeżyłem straszne męki, nim nadszedł wieczór. Po tysiąc razy wyobrażałem sobie, jak mnie przyjmie swym wytwornym ironicznym uśmiechem

— był wszak mistrzem sardonicznego słowa, potrafił wetknąć szpileczkę, że piekła i bolała aż do krwi. Chyba skazaniec nie wstępował bardziej zgnębiony na szafot, niż ja wstępowałem owego dnia na schody.

Ledwom wszedł do pokoju, z gardłem, zdławionem szlochem, zdawało mi się, żem usłyszał w przyległym pokoju szelest damskich sukien. Napewno podsłuchiwała, niegodziwa, ażeby się nasycić zakłopotaniem, ażeby nacieszyć się kompromitacją gadatliwego chłopaka...

Wreszcie nadszedł profesor.

— „Co panu jest?“ — spytał troskliwie, — „taki pan blady dzisiaj...“

Byłem na wszystko przygotowany. Lecz oczekiwana egzekucja nie nastąpiła, profesor mówił ze mną, jak zwykle, o sprawach naukowych. W żadnem słowie — choć nasłuchiwałem lękliwie — nie mogłem się dopatrzyć docinka czy też ironji. I wtedy zrozumiałem — zrazu zdziwiony, później uszczęśliwiony: — nic nie powiedziała.

O ósmej znów zapukano do drzwi. Począłem się żegnać: serce zamarło mi w piersi. We drzwiach minęliśmy się: na ukłon spojrzenie jej odpowiedziało uśmiechem. I z radością wytłómaczyłem sobie to przebaczenie, jako obietnicę dalszego milczenia.

* * *

Od tej chwili przybył mi nowy przedmiot uwagi. Dotychczas w chłopięcej czci i nabożeństwie uważałem ubóstwianego nauczyciela prawie za genjusza nie z tego świata, tak że zupełnie nie uwzględniałem jego realnego, prywatnego życia. W przesadnych,

wygórowanych pojęciach, tak charakterystycznych dla prawdziwego fanatyzmu, odsądzałem go od możności codziennych poczynań, w jakie obfituje nasz świat, metodycznie uporządkowany. I tak samo jak zakochany po raz pierwszy w życiu nie waży się w myśli obnażać ubóstwianej dziewczyny ani też uważać jej z całą naturalnością za jedną z tysiącznych istot, noszących spódnice — tak samo ja nie ważyłbym się na ukradkowe, wścibskie wejrzenie w prywatną egzystencję profesora.

Dla mnie był on niejako oczyszczony, wyzwolony od spraw pospolitych i gminnych, dla mnie był on wysłannikiem słowa i wcieleniem twórczego ducha. Lecz od chwili, kiedy owa tragikomiczna przygoda zetknęła mnie z jego żoną, nie mogłem już nie zauważać jego intymnej, domowej egzystencji. Właściwie mówiąc, wbrew woli niespokojna czatująca ciekawość otworzyła mi oczy. I to szpiegujące spojrzenie zdradziło mi wkrótce, że bytowanie tego człowieka było owiane jakąś dziwaczną, prawie niesamowitą tajemniczością.

Niedługo po tem spotkaniu zaproszono mnie na kolację. Gdym zobaczył po raz pierwszy profesora razem z żoną, zbudziło się we mnie posądzenie, że ich współżycie jest dziwne i skomplikowane, i im bliżej wnikałem w wewnętrzne kręgi ich domostwa, tem bardziej umacniało się we mnie to poczucie. Ani słowem, ani gestem, nie zdradzali depresji czy też poróżnień: przeciwnie, była to raczej nicość, brak jakiegokolwiek napięcia z tej czy z tamtej strony — była to uciążliwa cisza południowa, owa duszna atmosfera uczuć, co bardziej gniecie i tłoczy, niż nawałnica zwady, niż błyskawice tajonej niena-

wiści. Nazewnątrz nie widać było podniecenia czy napięcia: można było wyczuć conajwyżej wzajemną obcość wewnętrzną.

Pytania i odpowiedzi w ich nieczęstych rozmowach zazębiały się o siebie tylko koniuszkami palców, nigdy nie szły ciepło i serdecznie, ręka w rękę — i nawet względem mnie jego zachowanie się przy stole było skrępowane i oschłe. I czasem rozmowa, dopóki nie wróciliśmy do pracy, zamarzała w lodowatą bryłę wspólnego milczenia, której nikt wkońcu nie śmiał przełamać; zimny ten ciężar całemi godzinami potem jeszcze uciskał mi duszę.

Przedewszystkiem, przerażało mnie jego kompletne osamotnienie. Ten otwarty, ekspansywny człowiek nie miał wcale przyjaciół. Obcowanie ze studentami było dlań jedyną pociechą. Z kolegami uniwersyteckimi łączyły go jedynie stosunki poprawnej uprzejmości, w towarzystwach nie bywał żadnych. Często w ciągu całego dnia chodził nie więcej, niż dwadzieścia kroków z domu do uniwersytetu. Wszystko taił w sobie, nie zawierzając swych przeżyć ani ludziom, ani pismu.

Zrozumiałem wtedy eruptywność, fanatyzm i wylewność jego przemówień w kółku studentów: to wybuchały myśli po długotrwałem zatamowaniu, runęły nieposkromione, jak parskające rumaki, co przesadzają opłotki milczenia w galopującej gonitwie słów.

W domu odzywał się wogóle rzadko, a już do żony najmniej. Nawet ja, naonczas niedoświadczony młodzieniaszek, z trwożliwem i niemal zawstydzonem zdziwieniem odkryłem błąkający się pośród tych dwojga ludzi cień, bezcielesny, a jednak

groźny, zawsze obecny cień... i poraz pierwszy zrozumiałem, ile tajemnic kryje w sobie małżeństwo. Żona nigdy nie odważyła się przestąpić progu pracowni, jak gdyby próg ten miał jakiś znak magiczny (chyba, że ją specjalnie wzywano). W ten sposób wyraziście zaznaczało się wyłączenie jej ze świata wewnętrznego męża. Nauczyciel mój nie tolerował nawet tego, aby w jej obecności rozmowa zeszła na temat jego planów i pracy. Ledwo wchodziła, przerywał — aż nawet ja sam odczuwałem dotkliwą przykrość — tylko co rozpoczęte i z żarem wygłaszane zdanie. Z pod uprzejmej maski przezierała chwilami wzgarda tak obrażająca, tak otwarcie i brutalnie uchylał się od jej współdziałania — a mimo to ona wydawała się obrazy nie zauważać, czy też być do niej przyzwyczajoną. Lekka, zwinna, sprężysta, o młodej, pogodnej twarzy, biegała po schodach tam i napowrót — miała ręce czemś zawsze zajęte, a jednak czasu jej nie brakło: chodziła do teatru, nie zaniedbywała sportów — natomiast nie znajdowała upodobania w książkach ani w gospodarstwie, nie miała zrozumienia, mimo swych trzydziestu pięciu lat, dla spokoju, zamknięcia i rozwagi. Dobrze jej było wtedy, gdy znajdowała ujście dla swej aktywności w ruchu, w tańcu, w pływaniu, w gimnastyce. Zawsze uśmiechnięta, zawsze coś nuciła i wiecznie była gotowa do uszczypliwej, zjadliwej rozmówki. Ze mną nie mówiła nigdy poważnie, drażniła się tylko, jak z podrostkiem, w najlepszym razie uważała mnie za partnera wesołych utarczek.

Uderzająca jej uprzejmość była tak jaskrawym kontrastem do mrocznej, zaabsorbowanej tylko

światem ducha natury profesora, że z coraz większem zdziwieniem pytałem się siebie, co mogło skojarzyć te dwa tak bardzo odrębne charaktery. Coprawda, dobrze wychodziłem na tym kontraście: gdy zaczynałem z nią rozmawiać po denerwującej pracy, czułem się tak, jakby mi ktoś odejmował ze skroni uciskający szyszak. Wszystkie przedmioty znów układały się według ziemskiego ładu, obrane z ekstatycznych płomieni, nabierały znów barw znanych i codziennych. Życie domagało się swoich praw, i śmiech, któregom prawie zapomniał w wytężonej atmosferze pracowni, odciążał mię dobroczynnie z pod nacisku spraw duchowych. Zadzierzgnął się między nami stosunek bezpretensjonalnego koleżeństwa. Gadaliśmy sobie o obojętnych rzeczach lub wspólnie chodziliśmy do teatru, przyczem nasze obcowanie było proste i nieciążące. Jedyną zawadą całkowitej beztroski naszych rozmów była jednakowoż każdym razem ambarasująca wzmianka o nim. Rozpytującej ciekawości z mej strony przeciwstawiała niezmiennie drażniące milczenie, a głośnemu entuzjazmowi — cudownie zamaskowany uśmieszek. Usta jej zawsze milczały: innym sposobem, ale z równą gwałtownością, wyrzucała go po za obręb swego życia, jak on wyrzucał ją po za obręb swego. A jednak od piętnastu lat mieszkali razem pod jednym dachem, ściśle dochowującym tajemnicy .

Im bardziej nieprzenikniona była ta tajemnica, tem bardziej kusiła namiętną, niecierpliwą ciekawość. Był to jakiś cień, jakaś zasłona, chwiejąca się pod wiewem lada słówka. Już, już byłbym pochwycił wątek, gdy wtem wyślizgiwał mi się z rąk,

aby po chwili znów mię zwodzić, nigdy wszakże nie mógłbym się powołać na jakiś namacalny dowód, na jakiś uchwytny kształt. Nic chyba nie drażni bardziej wyobraźni młodego człowieka, niż denerwująca gra niepewności i domysłów. Fantazja, dotychczas rozleniwiona, nagle upatruje cel w dociekaniu, rozpala się, znajduje upodobanie w tem nowoodkrytem polowaniu i pościgu. Jakby inne, nieprzytłumione zmysły powstały we mnie: wyczulony słuch, co chwytał zdradziecko każdy akcent, podpatrujący, ostry wzrok, pełen nieufności, węsząca wszędy ciekawość — nerwy, niemal boleśnie wyprężone, zawsze naprężone jakiemś przeczuciem, ale nigdy niepewne jasnego sądu.

Jednak ciekawość moja nie zasługuje na naganę: źródło jej było czyste. Nie powodowała mną chęć widowiska, chęć przyłapania kogoś wyżej stojącego na nizkiej podłostce — przeciwnie: był to raczej tajony strach, było to bezradne współczucie wraz z niepokojem, że w tem milczeniu ukrywa się ludzka męka.

Im bliżej byłem jego życia, tem wyraźniej widziałem gromadzące się cienie na ukochanej twarzy mego mistrza. Znałem ów wyraz szlachetnej melancholji, szlachetnej, bo godnie opanowanej, wyraz twarzy, co nigdy nie zniżał się do mrukliwej zrzędności lub gnuśnego zniechęcenia. Wulkaniczny wybuch słowa przyciągnął obcego przybysza — głębia milczenia wstrząsnęła mną, którym uważał się za przyjaciela.

Nic tak potężnie nie przemawia do młodzieńca, jak męskość, górna i chmurna: zaduma Michała Anioła, wpatrzonego we własną głębię, gorzki gry-

mas ust Beethovena, te tragiczne maski ludzkiego cierpienia bardziej wzruszają nieukształtowane jeszcze umysły, niż srebrzyste melodje Mozarta, niż światło, dźwięczące nad postaciami Leonarda. Młodość nie poszukuje apoteozy piękna: w nadmiarze sił żywotnych szuka tragizmu, lubuje się w melancholji, chętnie oddaje się smutkowi: stąd też pochodzi nieustanna gotowość młodzieży na przyjęcie wszelkiego niebezpieczeństwa, dłoń po bratersku wyciągnięta do wszelkich cierpień duchowych.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem oblicze prawdziwego cierpienia. Byłem wychowany w mieszczańskim dobrobycie, znałem więc troskę tylko w śmiesznych maskach dnia powszedniego, bądź przybraną w żółtą szatę zawiści, bądź w pobrzęku sklepikarskich miedziaków — tu wszakże poznałem natychmiast, że rodowód tej troski wywodzi się ze świętych źródeł.

Z mrocznych cieni brała początek ta ponurość, bezlitosny rylec przeorał w zmarszczki i blizny przedwcześnie postarzałe policzki. Czasem, gdym wchodził do jego pokoju (zawsze z lękiem dziecka, które zbliża się do domu, gdzie straszy) — i stukałem, a on, zagłębiony w myślach stukania nie słyszał — zdawało mi się, że przede mną siedzi Wagner, żywa maska w przebraniu Fausta, gdy duch jego tymczasem się błąka pośród tajemniczych rozpadlin, w przejmujących grozą nocach Walpurgji. W takich chwilach zmysły jego były zupełnie uśpione, nie słyszał ani zbliżających się kroków, ani bojaźliwego przywitania. Zrywał się raptownie, usiłował szybkiem jakiemś słowem maskować zakłopotanie: chodził tam i napowrót, starając się odwrócić od siebie

obserwujące spojrzenia za pomocą zadawanych spiesznie pytań.

I on wyczuwał pewno, jak bardzo jego wygląd mnie martwił, mógł wyczytać z moich oczu, z niespokojnych ruchów, że na ustach zawisła mi prośba o zaufanie, tajemna żarliwa prośba o podzielenie się ze mną tym bólem, bym mógł go wziąć na siebie, przyjąć w siebie. Z pewnością czuł to, gdyż niespodzianie przerywał ożywioną rozmowę i spoglądał na mnie wzruszony, a mnie jakby prądem przeszywał ten wzrok, gorący i cudowny. Albo nagle brał mię za rękę, trzymał długo, niespokojnie — oczekiwałem wtedy: już, już, lada chwila zacznie mówić. Lecz wbrew oczekiwaniu nagle twarz jego nabierała szorstkiego wyrazu, a on rzucał jakieś zimne, z rozmysłu otrzeźwiające lub ironiczne słowo. On, wcielenie entuzjazmu, on, który ten entuzjazm we mnie rozbudził i podsycał, umiał niespodzianie wytknąć mi jakiś błąd w źle napisanem ćwiczeniu, i im bardziej widział, że jestem spragniony jego zaufania, tem gniewniej wyrzucał mi w takim lodowatym stylu: „Pan nic z tego nie rozumie“, albo: „Niech pan się wyzbędzie raz tej przesady“ — słowa, które mnie doprowadzały do rozpaczy. Jak mi się udało żyć w biegunowo różnej atmosferze tego człowieka, który rozpalał mnie do czerwoności, aby potem zanurzyć w zimną wodę, tego dziś nie wiem — doznawałem strasznego uczucia, że im bardziej się do niego garnąłem, tem lękliwiej mię odpychał. Nikt nie miał, nikt nie powinien był mieć dostępu do jego tajemnic.

Tajemnica rozpalała mnie coraz bardziej, tajemnica porywała magicznie pociągającą głębią. Do-

myślałem się przemilczanego sekretu w jego spojrzeniu, co z żarem wnikało i trwożnie się natychmiast ześlizgiwało, gdy w oczach mych czytał dziękczynne oddanie; czułem sekret w zaciśniętych ustach jego żony, w dziwnie oschłej rezerwie obywateli miasteczka, w ich wzroku, pełnym oburzenia, gdy go wychwalano — domyślałem się z wielu dziwnych zachowań, z wielu nagłych zakłopotań. Co za męka, znajdować się w wewnętrznym kręgu tego życia, i dopiero w nim zbłądzić, jak w labiryncie, nie znając sedna ani źródła.

Najtrudniejsze do wyjaśnienia, najbardziej drażniące były jego eskapady. Gdym pewnego dnia poszedł na uniwersytet, zobaczyłem kartkę, głoszącą, że profesor przerwał wykłady na dwa dni. Studenci nie dziwili się wcale, ja zaś (byłem u niego poprzedniego dnia) pobiegłem coprędzej przerażony do domu, ażeby się dowiedzieć o jego zdrowie. Żona uśmiechnęła się sucho, gdym wtargnął do ich domu w takiem wzburzeniu.

— „To się częściej zdarza" — rzekła nader zimno — „tylko pan o tem jeszcze nie wie."

Rzeczywiście, dowiedziałem się od kolegów, że profesor często znika tak nagle, niekiedy usprawiedliwiając się tylko telegraficznie. Raz widział go jakiś student o czwartej nad ranem na ulicy Berlina, inny kiedyindziej znów w zajeździe obcego miasta. Wylatywał nagle, jak korek z butelki, potem wracał i nikt nie wiedział, gdzie był przez ten czas.

Niespodziany ten wyjazd przecierpiałem, jak chorobę: przez dwa dni krążyłem tam i napowrót niespokojny, osowiały, roztargniony. Studja wydawały

mi się bezmyślną i pustą zabawą, gdy nie stało jego zwykłej obecności. Trawiły mnie zazdrośne podejrzenia, buntowałem się gniewnie i prawie nienawistnie przeciw jego skrytości: czemu odpychał mnie, garnącego się tak gorąco, od spraw najistotniejszych, tak jak się wypycha żebraka na mróz? Próżno perswadowałem sobie, że jestem wobec niego tylko żakiem, tylko chłopcem, który nie ma prawa domagać się sprawozdań i wyjaśnień, i że on w dobroci swojej okazał mi po stokroć większe zaufanie, niźli wynikało z profesorskich obowiązków. Lecz rozsądek nie miał żadnego wpływu na ogień namiętności. Dziesięć razy schodziłem zapytywać, czy już wrócił, aż wreszcie wyczułem pewną gorycz w coraz opryskliwszych odpowiedziach profesorowej. Nie spałem przez połowę nocy, nasłuchując, czy czasem nie wraca — rano ukradkiem łaziłem koło jego drzwi, bo nie śmiałem już rozpytywać. Gdy wreszcie, trzeciego dnia po wyjeździe, wszedł niespodzianie do mego pokoju, aż mi dech w piersiach zaparło: z przerażeniem spostrzegłem w nim jakąś dziwną obcość. Wzrok jego unikał mojego wzroku. Po raz pierwszy rozmowa nasza deptała w jednem miejscu i choć obydwaj starannie unikaliśmy jakiejkolwiek aluzji co do jego nieobecności, właśnie owe niedopowiedzenia hamowały możność porozumienia się wzajemnego.

Od chwili, gdy zostałem sam, płomień ciekawości wybuchnął ze zdwojoną siłą: stopniowo strawił mi wszystkie siły we śnie i na jawie.

* * *

Długo, całemi tygodniami trwała walka o zdobycie tajemnicy. Z uporem starałem się dotrzeć do ognistego krateru, który przeczuwałem pod skorupą milczenia.

Wreszcie udało mi się wtargnąć w ich tajemniczy świat wewnętrzny. Było to tak: siedziałem znów w jego pokoju, aż do zmierzchu. Otworzył szufladę, wyjął sonety Szekspira i przeczytał mi je we własnym przekładzie. Gdym usłyszał te utwory, jak gdyby w bronzie odlane, doznałem uczucia żalu, że wszystkie dary tego wyjątkowego człowieka muszą zaginąć, gdyż są utrwalone jedynie w znikomej, przemijającej formie żywego słowa.

Odważyłem się (nie wiem sam, skąd do mnie przyszła ta odwaga) na zapytanie, czemu jego wielkie dzieło „Historja Globe-teatru" dotychczas nie jest ukończone? Ledwo jednak wypowiedziałem pytanie, struchlałem, żem mimowoli i niedelikatnie zadrasnął ukrytą, bolesną ranę. Profesor wstał, odwrócił się i długo milczał. Pokój był pełen ciemności i milczenia. Wreszcie zbliżył się do mnie, spojrzał na mnie poważnie, a wargi jego drgnęły kilkakrotnie, nim rozpoczął bolesne wyznanie:

— „Nie mogę już pracować nad wielkiem dziełem. To już minęło... Młodzi tylko mają śmiałe plany. Jestem teraz — poco ukrywać? — człowiekiem momentów, nie mam wytrwałości. Dawniej miałem więcej sił... Teraz mogę już tylko przemawiać: wtedy jeszcze mię czasem coś poniosło... Ale zasiąść przy biurku — już nie potrafię. Wieczna samotność — nie, to nie dla mnie!"

Ta rezygnacja wzruszyła mnie głęboko. Z naj-

szczerszem przekonaniem zacząłem mówić, że mógłby zebrać i skupić wiedzę, którą hojnie codzień przed nami rozsypuje i zamiast rozdrabniać ją na cząstki, podać je w skończonej postaci.

— „Nie, pisać nie mogę, " — powtórzył znużony, — „brak mi wewnętrznej koncentracji."

— „Więc proszę dyktować!" — dodałem błagalnie: — „Niech pan profesor mi dyktuje! Chociaż na próbę — choć tylko początek! Proszę spróbować... niech pan to zrobi choć dla mnie!"

Z początku był zaskoczony tą propozycją, potem zastanowił się chwilę.

— „Dla pana?" — powtórzył, — „czy istotnie pan przypuszcza, że to kogoś ucieszy, jeśli ja, stary człowiek, podejmę jakąś pracę?"

Czułem, że zaczyna się już wahać i ulegać, że chmurny jeszcze wzrok rozjaśnia się zwolna ciepłym błyskiem nadziei.

— „Istotnie pan tak sądzi?" — i nagle rzekł:

— „No więc spróbujemy! Młodość ma zawsze słuszność. Mądrze czyni ten, kto jej ustępuje."

Dzika moja radość i trjumf podziałały nań ożywczo. Był podniecony, chodził śpiesznie po pokoju tam i napowrót; umówiliśmy się, że codziennie po kolacji, o dziewiątej wieczorem, będziemy pracowali — z początku tylko przez godzinę. I następnego już dnia rozpoczął dyktando.

Nie potrafię opisać tych godzin. Czekałem ich przez cały niemal dzień. Już poobiedzie rozpoczynał się nerwowy niepokój — ledwo mogłem doczekać się wieczornej godziny. Natychmiast po wieczerzy szliśmy do gabinetu, zasiadałem przy biurku i cze-

kałem — profesor chodził niespokojnie po pokoju, aż w rytmie kroków odczytywał słowa początku. Wszystkie swoje idee kształtował bowiem ten dziwny człowiek w myśl pewnego poczucia muzycznego — musiał więc czekać na chwilę natchnienia.

Jakiś obraz, jakaś śmiała metafora, jakaś plastyczna sytuacja służyły mu za punkt wyjścia, a on je rozwijał w dramatyczne sceny. Gdy zapalał się, mimowoli zmieniał tempo kroków. Owe improwizacje jaśniały wspaniałym blaskiem prawdziwej twórczości. Przypominam sobie, że niektóre wiersze dzwoniły równym taktem, niby jamb; inne znów, w świetnie po sobie następującym ordynku wyliczeń brzmiały, niby spis okrętów u Homera lub hymny Walt Whitman'a.

Po raz pierwszy miałem szczęście uczestniczenia w tem misterjum, jakiem jest rozwój myśli twórczej. Widziałem, jak niekształtna jeszcze masa myśli, niby płynny rozpalony spiż, stygła zwolna w pewną formę, jak forma ta zaokrąglała się i wypełniała, aż wreszcie bić w niej poczynało słowo żywą ludzką mową, niby serce dzwonu.

Każdy okres powstawał z poszczególnych ogniw rytmu, każdy opis ze scenicznych ukształtowań, a całe dzieło zrodziło się w sposób zupełnie niefilologiczny: z hymnu. Z hymnu na cześć morza... Morze jest doczesnym kształtem nieskończoności, faluje w niezmierne dale, sięga wyżyn i kryje się w głębiach, igra napozór bezmyślnie z ludzkiem przeznaczeniem, z wątłą na falach swych łodzią — podobnie, jak żywioł niepożyty, włada duchem ludzkim pierwiastek tragiczny.

Później, w tem obrazowem porównaniu na pierwszy plan wystąpiła Anglja — wyspa, wieczyście w ramionach niespokojnego żywiołu, co jednakowo jest niebezpieczny dla wszystkich stref, dla wszystkich brzegów kuli ziemskiej. Anglja jest wodnem mocarstwem; w szarych i błękitnych oczach synów Albjonu odbija się zimny, jasny blask tego żywiołu. Każdy z mieszkańców, podobnie do swej Ojczyzny, jest jednocześnie marynarzem i wyspiarzem. W ogniu niebezpieczeństw i szkwałów zahartowały się namiętności pokolenia, co przez sto lat ścierały się w zapasach z groźnym wikingiem. Tchnienie pokoju powiało nad lądem, co mieści się w pierścieniu wód. A oni, przywykli do burz i huraganów, pragną niebezpieczeństwa, które dla nich jest chlebem powszednim, szukają podniety w krwawych igraszkach. Więc najpierw budują drewnianą trybunę dla walk dzikich bestyj i turniejów. Okrwawione niedźwiedzie, pokaleczone koguty — oto rozkoszne widowisko dla żadnych wrażeń. Lecz wkrótce nasycone zmysły szukają bardziej wstrząsających podniet w heroicznych ludzkich konfliktach. Z pobożnych kościelnych misterjów wyrasta inne burzliwe widowisko, powrót do przepraw i przygód, żeglujących po morzu ludzkich uczuć. Mocna anglosaksońska rasa upatruje świeżą rozkosz w zanurzeniu się w innym bezkresie, w oceanie ludzkich namiętności, w miotaniu się po wezbranej fali ludzkiego ducha. Tak powstał dramat angielski, dramat epoki elżbietańskiej.

I twórcze słowo odpowiadało w zupełności owemu fanatycznemu opisowi, z jakim profesor odmalowywał prapoczątek barbarzyńskiego świata. Głos jego

przechodził z szeptu w nuty dźwięczne i metalowe, stawał się coraz wyższy i podnioślejszy: zbyt ciasne były ściany pokoju, które głos ten więziły, trzeba mu było szerokiej przestrzeni. Czułem jakby zawieruchę nad sobą, słyszałem zgiełkliwe usta morza, jak powtarzały raz po raz swą potężną groźbę. Zdawało mi się, że znów jestem w mej ojczyźnie i stojąc u piaszczystej diuny, słyszę pomruk tysiąca fal i rozszalałego wichru.

Z duszą, pełną szczęścia i zdumienia, wczuwałem się poraz pierwszy w życiu w ten dreszcz, właściwy chwili narodzin, tak człowieka, jak i słowa.

Gdy nauczyciel kończył dyktando pracy, w której natchnienie szło w parze z naukowym planem, a myśl z poezją — odczuwałem silne zmęczenie. Znużenie profesora było inne: było to wyczerpanie, było to wyładowanie, we mnie zaś drżało jeszcze wszystko i dygotało od przepełniających serce płomiennych uczuć.

Obydwaj jednak mieliśmy potrzebę jakiejś rozmowy przed udaniem się na spoczynek. Zazwyczaj czytałem raz jeszcze stenogram. I dziwna rzecz: ledwo znaczki nabierały sensu wyrazów, wydawało mi się, że ktoś głos mój zamienił na inny. Powtarzałem, skandując, i oddawałem jego intonację tak dokładnie, że to właściwie on przeze mnie przemawiał, a nie ja sam, do tego stopnia stałem się rezonansem jego istoty, echem jego słów.

Już czterdzieści lat minęło . . . a jeszcze teraz, gdy jestem porwany mową podczas wykładu, ze zdumieniem konstatuję, że to ktoś inny przez moje usta przemawia. Poznaję wtedy głos drogiego mi zmarłego. Jeszcze głos ten w ustach moich żyje . . . Gdy

entuzjazm mnie uskrzydla, wtedy staję się Nim. I wiem: to owe godziny wspólnej pracy tak głos mi ten w pamięci na zawsze odbiły.

* * *

Praca rosła z dnia na dzień i gęstniała, niby las, co zwolna ukrył przede mną widok na świat Boży. Żyłem w ciemnym gąszczu rozwidlających się gałęzi dzieła, w ciepłej atmosferze czarującego człowieka.

Mój caluteńki dzień, oprócz niewielu godzin wykładowych na uniwersytecie, był w zupełności jemu poświęcony. Jadałem u profesora, on miał klucz od mojego, a ja od jego mieszkania. Mógł przyjść do mnie w każdej chwili, bez niepokojenia głuchej gospodyni. Im w bliższej byłem z nim styczności, tem bardziej oddalałem się od świata zewnętrznego. Dzieliłem wraz z nim ciepło wewnętrznej atmosfery i zimną zamkniętość na zewnątrz, wobec ludzi. Koledzy moi okazywali mi pewną oziębłość i nawet pogardę. Nie wiem, czy był to wyrok tajnego trybunału, czy też tylko zazdrość o wyróżnienie — dość, że byłem izolowany z ich kręgu i nawet w dyskusjach seminaryjnych nikt mnie nie witał, ani nikt do mnie nie zagadywał, jakby byli wszyscy w jakiejś zmowie. I profesorowie nie ukrywali swej niechęci. Gdy raz poprosiłem docenta filologji romańskiej o pewne błahe wyjaśnienie, zbył mnie ironicznie:

„Pan, który jest w takiej zażyłości z profesorem... powinien sam mieć na to odpowiedź.“

Daremnie próbowałem doszukać się przyczyn tej niezasłużonej banicji. Spojrzenia i słowa wszystkich unikały wyjaśnień. Od czasu, gdy zbliżyłem się do

dwojga samotników, zostałem i ja zupełnie osamotniony.

Ten bojkot towarzyski nie martwił mnie zbytnio, gdyż dalej byłem pochłonięty sprawami naukowemi. Lecz nerwy nie wytrzymały tej ustawicznej szarpaniny. Nie można żyć bezkarnie całymi tygodniami w okresie duchowych nadużyć, nie można przerzucać się z jednej ostateczności w drugą, nie nadwyrężając przytem nadanej przez naturę równowagi. W Berlinie rozprężały się mięśnie w tych bezcelowych wałęsaniach, wszelkie zatamowanie wewnętrzne znajdowało upust w ponętnych awanturkach miłosnych — tu zaś ciężka, przytłaczająca atmosfera do tego stopnia wyostrzyła we mnie nerwy, że dygotały, jak naelektryzowane przewodniki.

Zapomniałem, co to jest zdrowy i mocny sen, chociaż — a może właśnie dlatego — żem często aż do świtu przepisywał stenogram z własnej pilności — aby jak najwcześniej przedstawić gotowe kartki ukochanemu nauczycielowi. Drżałem z niecierpliwości, aby ten moment już nadszedł.

Pozatem pochłaniały mnie praca uniwersytecka i spiesznie opracowywana lektura — oraz w niemały sposób targało mi nerwy przebywanie z profesorem, gdzie w każdej rozmowie pełen byłem wiecznie napiętej, wiecznie czujnej uwagi, aby tylko nie stracić na chwilę z nim kontaktu. Znieważony organizm nie dał długo czekać na zemstę za te nadużycia. Od czasu do czasu miewałem lekkie omdlenia, owe sygnały ostrzegawcze na szwank narażonej natury.

Pierwszą osobą, która spostrzegła nadwyrężenie

mego zdrowia — była żona profesora. Często spostrzegałem jej niespokojne spojrzenia, umyślnie wtrącała do naszych rozmów pewne przestrogi, jak naprzykład, że „nie należy pragnąć podbicia świata w ciągu jednego półrocza". Wkońcu zaczęła mówić już wyraźnie.

— „Dosyć!" — rzekła pewnej słonecznej niedzieli, gdym niezmordowanie kuł gramatykę, odbierając mi książkę — „jak może młody zdrowy chłopak być takim niewolnikiem ambicji? Proszę nie brać przykładu z mego męża: on jest stary, a pan jest młody. Pan musi żyć w inny sposób!"

Gdy mówiła o mężu, wciąż w głosie jej brzmiała tajona nuta wzgardy, przeciw której buntowałem się gniewnie. Czułem, że umyślnie szukała okazji, aby mnie trzymać od niego zdaleka, albo też żeby ośmieszyć ironicznie moją przesadną gorliwość. Może tak czyniła, kierowana opaczną zazdrością... Gdy siedzieliśmy zbyt długo przy robocie, stukała energicznie do drzwi i domagała się natychmiastowego przerwania pracy mimo gniewnych protestów mego nauczyciela.

— „On panu nerwy na nic poszarpie, on panu zdrowie odbierze!" — rzekła rozgniewana, gdy zastała mnie pewnego razu śmiertelnie znużonego — „co on z pana zrobił przez te kilka tygodni! Nie mogę patrzeć na to! I przytem . . ."

Urwała w środku zdania i nie dokończyła . . . Wargi jej zbielały i drżały z hamowanej pasji.

Istotnie, wymagania mego profesora nie były łatwe. Im gorliwszym byłem mu sługą, tem obojętniej cenił sobie moją wieczną gotowość i uwielbienie. Rzadko kiedy dziękował. Gdym przynosił

mu rankiem pracę, owoc całonocnego wysiłku, mówił sucho:

— „Nie było pilne, mogło czekać do jutra.“

Gdy ambicja i zapał ponosiły mnie do okazywania mu nieproszonych przysług, w trakcie rozmowy uśmiechał się ironicznie lub rzucał jakieś drwiące słówko. Ale gdy widział we mnie upadek ducha, znów ogarniał mnie ciepłem spojrzeniem, znów pocieszał mnie w mej rozpaczy — lecz rzadko to się zdarzało, ach, jakże rzadko! To ustawiczne odpychanie i przyciąganie, ten chłód i to ciepło naprzemian dezorjentowały mnie kompletnie, tęskniłem więc... nie, nawet nie umiałbym wtedy powiedzieć, za czem tęskniłem, czego pragnąłem, do czego dążyłem, jakiego rezonansu spodziewałem się w mem entuzjastycznem oddaniu. Gdy bowiem przedmiotem podobnie uwielbiającej namiętności jest kobieta, wtedy dąży się do cielesnego spełnienia, natura wszak ukształtowała najwyższe zespolenie w fizycznem posiadaniu — ale jakież spełnienie może osiągnąć namiętność duchowa, namiętność mężczyzny do mężczyzny? Coraz płomienniejsze są stany duchowej ekstazy, nigdy nie ugaszone w ostatecznym uścisku. Pragnienie wiecznie pożąda, niestrudzone pragnienie duchowe!

Nigdy nie było mi dosyć jego blizkości, nigdy nie odsłaniała mi się dostatecznie jego dusza w długich rozmowach. Nawet gdy pozbywał się swej zwykłej obcości na rzecz zaufania, wiedziałem, że już w następnej chwili może jednym ostrym gestem przerwać zadzierżgającą się blizkość. Zmienność jego usposobienia drażniła moje uczucia i doprawdy nie przesadzę, gdy powiem, że w pewnych chwilach

blizki już byłem najbardziej niedorzecznych postępków. Gdy podsuwałem mu jakąś książkę, na którą zwróciłem uwagę, odkładał ją lekceważąco — albo naprzykład, gdy siedzieliśmy raz wieczorem, zagłębieni w rozmowie i cały byłem pochłonięty światem jego myśli (przed chwilą położył mi był łagodnie rękę na ramieniu) — nagle wstawał i mówił szorstko:

— „Niech pan już idzie. Już późno. Dobranoc!" Drobiazgi podobne wystarczały, aby mi zomącić spokój na kilka godzin, na kilka dni nawet. Dopatrywałem się może w swem przeczuleniu uraz i pokrzywdzeń nawet wtedy, gdy były nieumyślne — ale cóż pomaga samouspakajanie się w okresie podobnych burz wewnętrznych? I tak powtarzało się dzień w dzień: cierpiałem w jego obecności, tęskniłem, gdy byłem zdaleka — stale byłem rozczarowany jego rezerwą, a on nie podejmował żadnych środków, aby mnie uspokoić — zawsze byłem zdany na wolę przypadku.

Dziwne: ilekroć czułem się urażony w swej wrażliwości, znajdowałem ucieczkę w jego żonie. Było to może nieświadome poszukiwanie człowieka, który podobnie jak ja, cierpiał wskutek owej milczącej wstrzemięźliwości, czy też może tylko potrzeba znalezienia w kimś, jeśli już nie pomocy, to przynajmniej zrozumienia — dość, że zawsze udawałem się do niej, niby do tajemnego sojusznika. Zwykle drwiła sobie z mego przeczulenia albo też, wzruszając ramionami, tłómaczyła mi zimno, że powinienem się już przyzwyczaić do tych dokuczliwych dziwactw. Niekiedy spoglądała na mnie poważnie, nawet z pewnem zdziwieniem, gdym przed nią wylewał

potok łzawych wyrzutów i tłumionych skarg — nie mówiła wszakże ani słowa. Wyczuwałem jednak, że panuje nad sobą, aby nie powiedzieć czegoś w złości, czego potem mogłaby żałować. Bez wątpienia, ona także ukrywała jakąś tajemnicę, może niemniejszą, niż on sam. Ale on odpychał mnie szorstko, gdym jakiemś słowem zahaczył o ten sekret — ona zaś urywała rozmowę żarcikiem czy też figlem.

Jeden raz o mało nie wydobyłem z niej tej tajemnicy. Było tak: rano, po przepisaniu dyktanda, nie mogłem się powstrzymać, aby nie opowiedzieć nauczycielowi z zachwytem, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie jego praca (była to biografja Marlowe'a). I rozgorączkowany, dodałem z podziwem, że nikt jeszcze nie skreślił takiego mistrzowskiego portretu. Wtedy, zagryzając wargi, odrzucił kartkę i mruknął wzgardliwie:

— „Nie opowiadaj pan bzdur! Co pan się rozumie na mistrzowskiej pracy!"

Te szorstkie słowa (twarz profesora przywdziała tymczasem maskę zniecierpliwionej wstydliwości) wystarczyły, aby mój cały dzień był na nic rozbity.

Popołudniu byłem przez godzinę sam na sam z jego żoną. Chwyciłem ją za ręce i w histerycznym wybuchu zacząłem wypytywać:

— „Niech pani mi powie, za co on mnie tak nienawidzi? Za co mną tak gardzi? Co ja mu zrobiłem, że każde moje słowo tak go drażni? Niech pani mi powie, co ja mam zrobić! Dlaczego on mnie tak niecierpi — proszę mi powiedzieć, proszę, błagam panią!"

Zaskoczona tym nagłym wybuchem, spojrzała na mnie bystro.

— „Pana — niecierpi?“ — i uśmiech przewinął się po ustach, uśmiech tak zły i kąśliwy, że cofnąłem się mimowoli.

— „Pana — niecierpi?“ — powtórzyła raz jeszcze i spojrzała mi prosto w oczy, z nietajonym gniewem.

A potem pochyliła się nade mną — spojrzenie jej stawało się coraz bardziej miękkie, prawie współczujące — i nagle przesunęła mi ręką po włosach (po raz pierwszy, odkąd ją znałem):

— „Pan jest dzieciak, głupi dzieciak, który nic nie wie, nic nie widzi i nic nie rozumie. Ale tak jest lepiej — byłby pan jeszcze bardziej niespokojny...“

I nagle odwróciła się.

Napróżno szukałem uspokojenia. Sens jej słów był dla mnie tak samo tajemniczy, jak sens snu, pełnego grozy. Daremnie walczyłem o wykładnię jej słów, o wywikłanie się z tajemniczego splotu sprzecznych uczuć.

* * *

Tak minęły cztery miesiące podniecenia i niespodziewanych przemian. Semestr uniwersytecki miał się ku końcowi, ze strachem myślałem o zbliżających się wakacjach, gdyż drogi był mi mój czyściec, a trzeźwa i zimna atmosfera domu rodzinnego wydawała mi się miejscem zesłania. Przygotowywałem już sekretne plany i kłamliwe wykręty, chciałem zmylić rodziców, pisząc, że ważne prace nie pozwalają mi na wyjazd — aby tylko przedłużyć ten pobyt, co nerwy mi trawił. Lecz przeznaczoną mi

jeszcze była godzina wielkiej próby. Godzina ta wisiała nade mną niewidzialna, tak jak wisi spiżowe serce dzwonu, nim niespodzianie bijąc w południe, przypomni o powrocie do pracy, czy też o konieczności pożegnania.

Jak pięknie rozpoczął się fatalny wieczór, jaką zdradliwą pięknością! Siedziałem z profesorem i jego żoną przy stole. Okna były otwarte, widać było niebo o zmierzchu, pełne białych obłoczków.

Łagodna cisza, przenikająca do głębi, spływała w majestacie wczesnego wieczoru. Gawędziliśmy z panią profesorową jakoś bardziej rzeczowo i spokojnie, niż zazwyczaj. Profesor nie brał udziału w naszej rozmowie. Lecz tym razem milczenie jego nie rozpinało nad nami chmurnych skrzydeł. Spoglądałem na niego ukradkiem: była w nim jakaś dziwna jasność i lekki niepokój, zupełnie jak w owych letnich obłokach. Kilka razy podnosił lapmkę wina pod światło i lubował się barwami, a gdy spojrzałem wesoło na ten gest, uśmiechnął się do mnie i zwrócił kieliszek w mą stronę, jakby chciał przepić w moje ręce.

Rzadko kiedy twarz jego miała wyraz tak pogodny, a ruchy podobną miękkość. Zasiadał między nami prawie uroczyście radosny, jakby nasłuchiwał muzyki na ulicy czy też niedosłyszalnej dla innych rozmowy. Usta jego, drgające zazwyczaj, wyglądały teraz jak miękki owoc. Czoło, opromienione łagodną jasnością, wydawało mi się piękniejsze, niż zawsze. Nie wiedziałem, czy to odblask przeczystego wieczoru letniego, czy też jakaś radość wewnętrzna usposobiły go tak dobrotliwie i spokojnie. Lecz będąc wyszkolony w odczytywaniu na-

stroju z jego twarzy, niby z otwartej księgi, wiedziałem, że jakieś dobre bóstwo wygładziło szramy i blizny jego serca.

I nawet skinienie głową w stronę gabinetu, co znaczyło zaproszenie do pracy, miało w sobie coś uroczystego, i krok jego, zazwyczaj spieszny, dziwnie dziś był poważny. Po chwili zawrócił i przyniósł z szafy (dotychczas nigdy tego nie było) zakorkowaną butelkę wina. Żona jego również spostrzegła w nim jakąś zmianę i podniósłszy głowę z nad robótki, z ciekawością i w milczeniu obserwowała jego niezwykłe zachowanie.

Pokój był, jak zawsze, pogrążony w mroku, tylko lampa rzucała złocisty krąg na białość czekających na nas kartek. Usiadłem na zwykłem miejscu i powtórzyłem głośno ostatnie zdania z manuskryptu. Był to jakby kamerton, który nastrajał rytm słów do dalszego ciągu. Ale tym razem profesor nie mówił dalej... Milczenie zaległo pokój, już ciążyć poczynało i tłoczyć. Nagle usłyszałem tuż za sobą nerwowe kroki nauczyciela, mierzące pokój tam i z powrotem.

— „Niech pan jeszcze raz przeczyta!“ — głos jego brzmiał dziwnie, trochę niespokojnie.

Powtórzyłem raz jeszcze ostatni ustęp: wtedy, nawiązując bezpośrednio do moich słów, rozpoczął dyktowanie w sposób bardziej szybki i zdecydowany, niż zazwyczaj. W pięciu zdaniach odtworzył całość. Wszystko, co dotychczas napisał, było to podmalowanie tła, warunki rozwojowe dramatu, szkic historyczny.

Teraz zaczął mówić o samym teatrze, jak po długiej włóczędze i życiu w taborach, poczyna szukać

siedliska i wreszcie buduje sobie własny przybytek, zatwierdzony przez prawo i broniony przez przywileje: — „Teatr Róży“, a później „Fortuna“, drewniane budy dla drewnianej sztuki. W miarę, jak się po męsku rozrasta i krzepnie tors poezji, robotnicy dlań ociosują nowe szaty z desek. Na wybrzeżu Tamizy, wbita jak na palach, w wilgotny błotnisty ił, staje niekształtna budowla z sześciokątną, równie niezgrabną wieżą, „Globe teatr“, na którego scenie zjawia się po raz pierwszy mistrz Szekspir. Jak nawa korsarska, z czerwoną banderą na maszcie zarzuca kotwicę w mulisty grunt. W miejscach parterowych, niby w porcie tłoczy się hałaśliwie pospolity gmin, na galerjach śmieje się do aktorów rozbawiona publiczność eleganckiego świata. Domagają się niecierpliwie rozpoczęcia spektaklu. Tupią nogami i łomocą o deski głowicami szpad, aż wreszcie, na scenie, oświetlonej przez parę migotliwych świec, zjawiają się postaci w niedbałych kostjumach i rozpoczynają improwizowaną komedję. W tem miejscu dziś jeszcze przypominam sobie jego słowa: „...i wtedy zerwała się nawałnica słów, bezkresne morze namiętności, co falą krwi uderza o serca ludzkie, ponad granice tych desek, ponad wszystkie czasy i ponad wszystkie strefy ludzkiego bytowania — niewyczerpany, niezgłębiony, pogodny i tragiczny wizerunek ducha — teatr angielski, dramat Szekspira.“

I przy tych podniosłych słowach zatrzymał się nagle. Nastał moment długiej, martwej ciszy. Odwróciłem głowę: nauczyciel mój stał, wsparty kurczowo o stół, z wyrazem zupełnego wyczerpania, tak dobrze mi już znanym. Lecz wtedy nierucho-

mość ta była wprost przerażająca. Zerwałem się, pełen obawy, że coś złego się stało — i zapytałem, czy może już przestać dalej pisać? Spojrzał na mnie, nie zmieniając pozycji. Lecz po chwili znów zabłysły błękitne źrenice.

— „Nic pan nie zauważył?" — przyglądał mi się natarczywie.

— „Cóż miałem zauważyć?" — wyjąkałem nieporadnie. Wtedy westchnął głęboko i uśmiechnął się. Po raz pierwszy od wielu miesięcy znów doznałem łaski łagodnego spojrzenia.

— „Pierwsza część jest skończona."

Z trudem powstrzymałem okrzyk radości, tak ucieszyła mnie ta niespodzianka. Teraz dopiero spostrzegłem, że był to architektoniczny szkielet, wznoszący się od fundamentów przeszłości aż po przyszłość ukształtowań: przez próg ten mogli przestąpić zwycięsko Ben Jonson, Marlowe, Szekspir. Praca ta uroczyście obchodziła swe pierwsze urodziny: spiesznie zacząłem liczyć kartki. Było ich sto siedemdziesiąt... najtrudniejsza część pracy zawierała sto siedemdziesiąt ciasno pisanych stronic. Dotychczasowa praca mocno zazębiała się o dowody historyczne; następną zaś część stanowiła już tylko indywidualna dowolna interpretacja. Bez wątpienia, profesor skończy swoje dzieło, *nasze* dzieło!

Może zacząłem skakać, może zacząłem tańczyć z radości i dumy... nie wiem. Lecz widocznie zapał mój i entuzjazm przyjęły jakieś niesłychane formy, gdyż on wodził za mną oczyma i uśmiechał się — a ja czytałem raz jeszcze ostatnie słowa, znów liczyłem stronice i jak zakochany, robiłem

przedwczesne, fantastyczne obliczenia, kiedy ukończymy całe dzieło. Głęboka, ukryta duma jego odbiła się w mojej radości: patrzył na mnie wzruszony i uśmiechał się. Później podszedł do mnie blizko — bardzo blizko — i chwycił mnie za ręce. Źrenice jego zwolna wypełniały się jasnym błękitem — błękitem, właściwym tylko wodnym głębinom — i głębi ludzkich odczuwań. I ten połyskliwy błękit wystąpił jakby z jego źrenic, rósł, wpijał się we mnie. Czułem, że ciepła fala wypełnia mi pierś, że pierś rozszerza się i pęcznieje od dziwnie rozkosznych uczuć.

— „Wiem," — usłyszałem jego głos, — „że nigdybym nie rozpoczął pracy, gdyby nie pan, i nigdy panu tego nie zapomnę. Pan nadał znużonej myśli nowy polot — to pan uratował resztki zatraconego mego życia. Nikt nie uczynił dla mnie tego, co pan — nikt nie pomagał mi tak wiernie i gorliwie. I dlatego teraz nie mówię: «dziękuję panu»..., lecz mówię... dziękuję tobie. Chodź! spędzimy godzinkę, jak bracia!"

Łagodnie pociągnął mnie w kierunku stołu, na którym stała przygotowana już przedtem butelka. Obok stały dwa kieliszki: dla mnie przeznaczył ten symboliczny trunek, jako niechybny znak podziękowania. Drżałem cały z radości — cóż bowiem może bardziej wstrząsnąć, niż nagłe spełnienie gorących tajnych pragnień?

Widoma oznaka zaufania, za którą nieświadomie tęskniłem, znalazła najpiękniejszy wyraz w propozycji mówienia po imieniu — w owem „ty", rzuconem, jak most ponad przepaścią lat, bezcennem wprost wskutek dzielącego nas dystansu. Już

dzwoniła butelka, a w duszy mej dzwonił równie jasny i czysty ton; wino miało ochrzcić zalęknione uczucie i umocnić je w wierze... Wtem pewien drobiazg stanął na przeszkodzie do urzeczywistnienia uroczystego momentu: oto butelka była zakorkowana, a nikt z nas nie miał korkociąga. Profesor chciał przynieść, ale ja odgadłem jego zamiar i pospieszyłem do jadalni — paliłem się wprost z niecierpliwości, ab już przyszła ta chwila, która będzie niezaprzeczonem stwierdzeniem jego przychylności.

Pędząc do nieoświetlonego korytarza, natknąłem się w ciemnościach na jakąś postać, która spiesznie ustąpiła: była to żona profesora — widocznie podsłuchiwała przy drzwiach. I choć potrąciłem ją silnie, nie wydała żadnego dźwięku, cofnęła się w milczeniu, i ja także milczałem przestraszony, niezdolny do żadnego ruchu. Trwało tak przez chwilę. Staliśmy oboje milcząc, oboje zawstydzeni — ona tem, że została przyłapana na podsłuchiwaniu, ja zaś mem niespodziewanem odkryciem. Po chwili dał się słyszeć w mroku szelest cichych kroków, światło zabłysło — i zobaczyłem ją bladą i wyzywająco wspartą o szafę; zmierzyła mnie poważnym wzrokiem, a w jej nieruchomej pozie było coś z groźby, czy też z przestrogi. Lecz nadal nie mówiła ani słowa.

Szukałem drżącemi dłońmi nerwowo, poomacku, nim wreszcie znalazłem korkociąg. Musiałem dwa razy przejść koło niej i za każdym razem napotykałem jej wzrok, o połysku twardym i ciemnym, jak polerowane drewno. Nie zdradzała już teraz wstydu, żem ją schwytał na szpiegowaniu przy drzwiach.

Przeciwnie, w oczach jej malowała się niezrozumiała dla mnie groźba, a jej uparta postawa wyraźnie mówiła, że ona ani myśli ustąpić z miejsca swoich czatów. I ta wielka siła przekonania wprawiła mnie w zakłopotanie, mimowoli schyliłem się przed jej nieugiętym wzrokiem. Gdy wróciłem do pokoju, gdzie nauczyciel czekał mnie niecierpliwie, z butelką w ręce, czułem, że moja niezmierna radość ostygła, ustępując miejsca niewytłómaczonemu lękowi.

A on — z jaką beztroską, czekał na mnie, jak radośnie przywitał mnie spojrzeniem! Ileż to razy marzyłem, aby ujrzeć go kiedyś pogodnym, bez zwykłej zadumy na chmurnem czole! I w chwili, kiedy najbardziej radował się blizkością moją, kiedy jaśniał spokojem — właśnie wtedy słowa więzły mi w gardle... Ukryta moja radość znikła, jakby przez niewidzialne pory. Słuchałem w zakłopotaniu, prawie zawstydzony, jak mi znowu dziękował, teraz już w formie zażyłego „ty", przy srebrzystym dźwięku kieliszków.

Objął mię po przyjacielsku, poprowadził na fotel, usiedliśmy naprzeciw siebie, ręka jego spoczywała w mojej ręce: poraz pierwszy był naprawdę szczery i swobodny. Ale mnie słowa nie dopisywały. Mimowoli wciąż rzucałem spojrzenia na drzwi w obawie, że ona tam podsłuchuje. Słyszy, słyszy każde słowo — myślałem bez ustanku — moje słowa, jego słowa. — Dlaczego właśnie dzisiaj? Dlaczego?

Wreszcie profesor, spoglądając na mnie serdecznie, rzekł:

— Chciałbym ci dziś opowiedzieć o sobie, o mojej młodości..."

Przerażony zawołałem, wzbraniając się proszącym gestem dłoni:

— „Dziś nie ... zechciej mi pan wybaczyć .. nie dziś ...“

Bałem się śmiertelnie, żeby się nie zdradził z niczem przed szpiegiem, którego blizkość musiałem przemilczeć.

Nauczyciel spojrzał powątpiewająco:

— „Co ci jest?“ — spytał, tracąc pogodny nastrój.

— „Jestem zmęczony... odurzyło mnie wino... myślę, że lepiej będzie“ — i drżąc, podniosłem się — „gdy już pójdę ...“

Mimowoli spojrzałem na drzwi, za któremi miałem znowuż się natknąć na ową wartę zazdrosnej niedyskrecji.

Profesor ciężko podniósł się z fotela. Cień przemknął po znużonej, zmienionej nagle twarzy.

— „Naprawdę chcesz już iść ... dziś ... właśnie dziś?“

Trzymał moją rękę w swej dłoni: niepostrzeżenie dłoń ta poczęła mi ciążyć. Nagle opadła, jak kamień.

— „Szkoda“ — rzekł zawiedziony — „tak się cieszyłem, że raz będę z tobą mógł mówić szczerze. Szkoda!“

Westchnienie uleciało z jego piersi. Pełen byłem wstydu i niewytłumaczonej, bezradnej obawy. Niepewnym krokiem poszedłem do drzwi i przymknąłem je cicho za sobą.

* * *

Z trudem zawlokłem się do swego pokoju i rzuciłem się na łóżko. Nie mogłem jednak zasnąć. Nigdy nie odczuwałem jeszcze tak wyraźnie, że dzieli nas tylko cienka ściana. Wyostrzona intuicja szeptała mi, że oni także nie śpią. Widziałem, nie patrząc, słyszałem, nie słuchając, że on chodzi niespokojnie po gabinecie, a ona siedzi cicho w innym pokoju i nadsłuchuje. Przerażało mię to ich czuwanie — nad domem naszym zawisła ciężka czarna zmora.

Odrzuciłem kołdrę. Ręce mi płonęły. Gdzież jestem? Już, już byłem blizko owej tajemnicy, już czułem jej gorący oddech na twarzy, i znów mi się wymknęła... Został jeszcze cień w tym domu, niewidzialny cień, co jak kot, skradał się na aksamitnych łapach, podskakiwał, żywy, a jednak upiorny. W ciemnościach połyskiwały oczy, to miękkie, jak przyjaźnie wyciągnięta dłoń, to przerażone i groźne, jak spojrzenie tamtej kobiety... Ale co ja zawiniłem w ich tajemnicy, czemu znajduję się z zawiązanemi oczyma na drodze ich namiętności, czemu na mnie spada ich wzajemna nienawiść i gniew?

Paliły mnie skronie. Jednem pchnięciem otworzyłem okno. Miasto spoczywało w ciszy letniego wieczora. W niektórych oknach błyszczały jeszcze światła lamp — a siedzących za oknami łączyła dobra książka, spokojna rozmowa, czy też cicha muzyka. A tam, gdzie świateł nie było, z pewnością ludzie pokładli się do snu. Na dachach leżała srebrzysta polewa miesięczna, miasto spowite było w tuman łagodnej kojącej ciszy. Z wieży rozległo się jedenaście uderzeń zegara.

Nagle wzdrygnąłem się. Czyż to nie kroki czyjeś

słychać na schodach? Zacząłem nasłuchiwać. Ktoś jakby wstępował poomacku ostrożnym i niepewnym krokiem. Znałem ten jęk i trzask schodów pod stopą ludzką. To mógł być tylko gość do mnie — tylko do mnie — nikt więcej na tem poddaszu nie mieszkał, a moja głucha gospodyni nie miewała wizyt, zresztą spała już oddawna.

Czyżby profesor?... Nie, to nie był spieszny chód profesora — kroki te wahały się, skradały — o! znów — na każdym niemal stopniu. To zbrodniarz, to złodziej zbliża się w ten sposób, a nie przyjaciel. Słuchałem w takiem napięciu, że aż mi w uszach dzwoniło.

Mróz nagle przeleciał mi po kościach. Klucz cicho zazgrzytał. Podejrzany gość musiał być już przy samych drzwiach. Lekki przeciąg, który owionął moje obnażone stopy, wskazywał, że drzwi wchodowe zostały otwarte. Ale klucz miał wszak tylko profesor... Więc to on — lecz dlaczego tak trwożnie, dlaczego tak ukradkiem? Był niespokojny — chciał do mnie zajrzeć? Dlaczego więc stoi teraz w przedpokoju? — bowiem zamarły skradające się kroki. I ja też zamarłem ze strachu. Chciałem krzyknąć, ale w krtani uwiązł mi krzyk. Chciałem otworzyć, ale nogi przyrosły mi do ziemi. Tylko mała odległość była między mną a niepowołanym gościem — i żaden z nas nie robił kroku, aby iść sobie na spotkanie.

Zegar na wieży wydzwonił — raz tylko, był kwadrans po jedenastej. Otrząsnąłem się z odrętwienia, i szarpnąłem drzwi.

Rzeczywiście, był to profesor, ze świecą w ręce. Płomień zamigotał w przeciągu gwałtownie otwar-

tych drzwi, na ścianie zachwiał się, zatoczył zygzakiem, jak pijanica, olbrzymi cień profesora. A on, gdy mnie zobaczył, wykonał jakiś ruch — ruch człowieka, który zbudzony zimnym przewiewem, mimowoli wciąga na siebie kołdrę. Potem cofnął się, świeca, drżąc w jego ręce, kapała na podłogę.

— „Co panu jest?“ — wyjąkałem, śmiertelnie przerażony. Spojrzał na mnie i nic nie powiedział — i on snać dławił się słowami. Wreszcie postawił świecę na komodzie. Cień, co biegał po ścianie, jak spłoszony nietoperz, teraz ułożył się i przycichł.

— „Chciałem ... chciałem ...“ — wybełkotał wreszcie.

I znów głos odmówił mu posłuszeństwa. Stał z oczyma spuszczonemi, jak złodziej, przyłapany na gorącym uczynku. Sytuacja była nie do wytrzymania: ja stałem w koszuli i dygotałem z zimna, on zaś, schylony, zgarbiony, spuszczał oczy ze zmieszania i wstydu.

Nagle, zadając gwałt swej słabości, przybliżył się do mnie. Uśmiech, zły uśmiech satyra, wykrzywił mu wargi. Dotychczas znałem ten niebezpieczny uśmieszek jedynie w wyrazie oczu. Teraz zastygł w wyszczerzonej masce twarzy — a głos zasyczał oschle i jadowicie, jak żądło żmii:

— „Chciałem powiedzieć panu ... żebyśmy zaniechali ... nie wypada, żeby „fuks“ i profesor mówili sobie „ty“ ...

I przytem patrzył na mnie z taką nienawiścią, z taką obelżywą złośliwością, jakby chciał mi wymierzyć policzek — nawet palce skurczyły mu się, jak szpony. Odstąpiłem o krok. Czy był pijany?

Czy też szalony? Stał nademną z zaciśniętym kułakiem, jakby chciał rzucić się na mnie.

Lecz trwało to tylko chwilę... Odwrócił się, mruknął coś, jakby słowa usprawiedliwienia, i zabrał świecę. Czarny usłużny djabeł podniósł leżący już na podłodze cień, znów go rozpostarł na ścianie, wielki i drżący. I profesor wyszedł, nim byłem w stanie wypowiedzieć jakieś słowo. Zamek we drzwiach zgrzytnął, i znów ciężko zaskrzypiały drewniane schody.

* * *

Nigdy nie zapomnę tej nocy. Zimny gniew zmagał się w mej duszy z bezradną rozpaczą. Myśli przebiegały i gasły, jak płomienne rakiety. Dlaczego on mnie tak męczy? — pytałem siebie z nieustającą udręką — za co mnie tak nienawidzi, że aż w nocy do mnie przychodzi, aby mi cisnąć w twarz obelgę? Co ja mu złego zrobiłem? Jak dalej postępować? Czem go mogę zjednać, skoro nie wiem, czem go skrzywdziłem?

Przewracałem się z boku na bok, wstawałem, znów zakrywałem się kołdrą. I wciąż przed oczyma stał mi upiorny obraz nauczyciela — i ten potworny, zagadkowy cień, rysujący się za nim na ścianie.

Gdy zbudziłem się rano po krótkiej drzemce, próbowałem sobie wmówić, że to sen był tylko. Lecz na komodzie zaschły okrągłe, żółte plamy stearynowe. I w pokoju, mimo jasności dnia, wciąż stało przede mną szkaradne wspomnienie skradającego się chyłkiem gościa tej nocy.

Nie wychodziłem wcale przed obiadem. Nie mia-

łem siły spotkać się z nim. Próbowałem pisać, próbowałem czytać — nie szło. Nerwy były podminowane, w każdej chwili mogłem wybuchnąć bądź łkaniem, bądź jakimś gniewnym rykiem. Palce mi drżały, jak liście, a w kolanach nie miałem mocy, jakby mi kto ścięgna poprzerzynał.

Co robić? Co robić? Zadawałem sobie to pytanie aż do wyczerpania. Krew tętniła mi w skroniach, niebieskie płaty biegały przed oczyma. Jednego tylko pragnąłem: nie widzieć go, nie spotykać, nim wrócą mi siły, nim nerwami przetrzymam to spotkanie. Znów rzuciłem się na łóżko, głodny, nieumyty. I znów usiłowałem przedrzeć się myślą przez cienką ścianę: co on tam robi, gdzie jest teraz, czy także nie spał tej nocy, czy — jak ja — jest zrozpaczony?

Już było południe, a ja wciąż leżałem na łożu mej udręki. Nagle usłyszałem czyjeś kroki na schodach. Wszystkie nerwy zadzwoniły na alarm. Kroki te wszakże biegły w sposób lekki i nieprzymuszony, przeskakiwały po dwa stopnie naraz — czyjaś ręka zapukała do drzwi. Zerwałem się, lecz nie otworzyłem.

— „Kto tam?“ — spytałem.

— „Dlaczego pan nie przychodzi na obiad?“ — zabrzmiał trochę gniewny głos kobiecy. — „Czy pan jest chory?“

— „Nie, nie,“ — wymamrotałem zakłopotany, — „już idę, już idę.“

Nie pozostało mi nic innego, jak doprowadzić tualetę do porządku i zejść na dół. Musiałem się trzymać podręczy, gdyż zataczałem się, jak pijany.

Wszedłem do jadalni. Żona profesora przywitała

mię lekką wymówką, że trzeba się dopiero o mnie upominać. Miejsce profesora było niezajęte. Czułem, że krew uderza mi do głowy. Czyżby bał się tego spotkania niemniej ode mnie? Wstydził się — czy też może nie chciał już zasiadać przy jednym stole ze mną? Wreszcie zdecydowałem się na pytanie: „Czy profesor dziś nie przyjdzie?“

Spojrzała na mnie zdziwiona:

— „Pan nie wie, że on dziś rano wyjechał?“

— „Wyjechał... dokąd?“ — wyjąkałem.

Twarz jej się zmieniła natychmiast.

— „Tego mój mąż nie raczy mi opowiadać — prawdopodobnie na jedną ze swoich zwykłych wycieczek.“

Po chwili dodała ostro:

— „Ale że pan o tem nic nie wie? ... Przecież wczoraj w nocy był u pana — myślałam, że się chciał pożegnać. To dziwne... naprawdę dziwne... że panu nic o tem nie powiedział.“

— „Mnie!“... — wydarł mi się z piersi okrzyk.

I ten krzyk zdradził mię, ku memu wstydowi, ku mojej hańbie... Wybuchnąłem łkaniem, czy też rykiem — z gardła wybiegł potok przerywanych słów i szlochów, płakałem, nie, pławiłem się we łzach, tonąłem w histerycznych spazmach, wyrzucałem z siebie mękę, dotychczas niewypowiedzianą. Bębniłem wściekle kułakami po stole, jak rozdrażnione dziecko. Twarz miałem zalaną łzami. Nareszcie rozpętała się burza, co od tygodni wisiała nade mną. I choć doznałem ulgi w tem głośnem wyładowaniu, odczuwałem zarazem niezmierny wstyd, żem się w ten sposób sam zdradził.

— „Co panu jest, na miłość Boską,“ — zerwała

się, nie wiedząc, co robić. Po chwili podbiegła znów szybko i odprowadziła mnie od stołu do kanapy.

— „Niech pan się położy! No, uspokoić się! . . .“

Gładziła mnie lekko po włosach, po rękach — ciało moje przebiegały wciąż jeszcze nerwowe drgawki.

— „Niech pan się tak nie męczy, panie Rolandzie, — niech pan się nie daje tak męczyć. Znam już to wszystko, i ja doznawałam podobnych uczuć . . .“

Raz jeszcze pogłaskała mnie po głowie. Nagle głos jej stał się twardy:

— „Wiem dobrze, jak on potrafi dokuczyć... nikt nie wie lepiej ode mnie. Niech mi pan wierzy, już wiele razy chciałem pana ostrzec . . . Pan się trzymał kurczowo człowieka, który jest bez moralnej podpory. Pan go zna, pan jest dzieciak, ślepy dzieciak — nic pan nie przeczuwa, nawet dziś, nawet teraz nic pan nie wie. Czy też może dziś po raz pierwszy pan zaczął się orjentować . . . — tem lepiej dla niego i dla pana.“

Pochyliła się nade mną, czułem ciepło jej ciała — dobre słowa i kojąca pieszczota jej rąk łagodziły mój ból. Wreszcie odnaleźć tchnienie współczucia, znów czuć dotknięcie dłoni kobiecej, prawie macierzyńskiej — o, jakie to szczęście! Długo byłem tego szczęścia pozbawiony, zbyt długo może . . . słodycz przejęła mię do głębi serca, gdym odczuł, poprzez mgłę smutku i przygnębienia, ową delikatną, wzruszającą sympatję kobiecą. A jak wstydziłem się przytem poprzedniego wybuchu, tego aktu zdradzieckiej rozpaczy! I znów, wbrew woli, wykrzyczałem ze siebie w powrotnej fali bólu wszyst-

ką krzywdę, jaką mi zadał — jak mnie odpychał i znów do siebie przyciągał, jaki był zły i bezlitosny dla mnie, bez żadnej ku temu przyczyny, jak był mi dręczycielem, którego nienawidziłem, kochając, i kochałem, nienawidząc. I znów zacząłem się tak denerwować, że musiała mnie uspakajać od nowa. Znów dobre, czułe ręce ułożyły mię powoli na otomanie. Uspokoiłem się wreszcie. Ona zaś milczała, dziwnie zamyślona. Czułem, że zrozumiała wszystko, może nawet lepiej, niż ja sam...

Kilka chwil trwało to milczenie.

— „No, nie trzeba być dzieckiem, dość tego!" — rzekła, wstając, — „teraz znów niech pan będzie mężczyzną! Proszę usiąść do stołu i coś zjeść! Niema tragedji w tem, co się stało — ot, małe nieporozumienie, które się wyjaśni."

A gdy się jeszcze wzbraniałem, dodała pośpiesznie:

— „Wszystko się wyjaśni, bo ja już nie pozwolę przeciągać tej struny. To musi mieć jakiś koniec, niech on raz się nauczy panować nad sobą. Pan jest za dobry na to, aby panem igrać. Już ja z nim pomówię, proszę mi zaufać. A teraz niech pan idzie do stołu!"

Pozwoliłem się bezwolnie zaprowadzić do stołu. Rozmawiała ze mną dużo i prędko o rzeczach obojętnych, i w głębi duszy byłem jej wdzięczny, że udawała, iż nie dosłyszała czy też zapomniała o moim nieopanowanym wybuchu.

— „Jutro jest niedziela," mówiła, — „jadę na wycieczkę razem z docentem W. i jego narzeczoną, niech pan się z nami wybierze. Trzeba się oderwać wreszcie od książek! Wszystkie te swoje humory,

zawdzięcza pan przepracowaniu i zdenerwowaniu. Niech pan się tylko w wodę zanurzy, zaraz pan odzyska równowagę!“

Obiecałem, że wezmę udział w tej wycieczce. Zgodziłbym się na wszystko — aby nie być samotnym, aby nie siedzieć u siebie w pokoju, dręczony przez posępne myśli!

— „I dziś popołudniu niech pan także nie zostaje w domu. Niech pan idzie na spacer, niech pan szuka jakichś rozrywek!“

— „Dziwna rzecz!“ — myślałem, — „jak ona zawsze odgaduje najskrytsze moje myśli — jak ona wie, co mi dolega i czego mi trzeba. Przecież ona jest mi obca... a on, wszechwiedzący, miażdży mię swojem niezrozumieniem.“

Obiecałem więc jej i to... Patrząc na nią z wdzięcznością, odnalazłem w niej nową twarz: wyraz łobuzerski, żartobliwy, który nadawał jej wygląd bezczelnego chłopaka, ustąpił miejsca wyrazowi ciepła i sympatji. Nigdy nie widziałem jej jeszcze tak poważnej.

— „Dlaczego on nigdy nie patrzy na mnie z taką dobrocią?“ — pytałem się sam siebie z utęsknieniem. — „Dlaczego on nie czuje, że sprawia mi ból? Dlaczego nigdy jeszcze nie zaznałem pieszczoty, słodkiej, serdecznej pieszczoty jego dłoni? Dlaczego?“

Ucałowałem z wdzięcznością jej ręce, — cofnęła je niespokojnie, prawie z pośpiechem.

— „Niech pan się nie dręczy!“ — powtórzyła, zniżając głos.

Po chwili usta jej wykrzywił zły, twardy wyraz, wyprostowała się i dodała pocichu:

— „Niech mi pan wierzy, on na to wcale nie zasługuje.“

I to ledwo dosłyszalne słowo znów zaogniło ból w uspokojonem prawie sercu.

* * *

Zachowanie moje tego poobiedzia i wieczoru wydaje mi się tak śmieszne i dziecinne, że przez długie lata wstydziłem się o niem myśleć. Cenzura myślowa wymazała szybko wszelkie na ten temat wspomnienia. Teraz już nie wstydzę się tak tych niezręcznych i głupich postępków — przeciwnie, dobrze rozumiem stan duszy młodzieńca, o nieposkromionym temperamencie, który chciał się nagwałt wyszumieć i zapomnieć o udręce niepewnych i zmiennych uczuć.

Spoglądam na siebie teraz z oddali, jak przez lunetę potwornie długiego teleskopu — widzę się zrozpaczonym chłopcem, który biegnie do swego pokoju, i nie wie dalej, co ma ze sobą zrobić. W nagłej decyzji kładzie palto, otrząsa się z przygnębienia i energicznym krokiem wychodzi na ulicę. Tak, to ja nim jestem, poznaję siebie w tym głuptasku, w tym biednym smutnym chłopaku, który powiedział sobie — i to nawet przed lustrem:

— „Gwiżdżę na profesora! Niech idzie do djabła! Co ja tam się będę martwił o starego głupca! Tak, ona ma słuszność: trzeba być wesołym, trzeba się bawić! Naprzód!“

I z tem wyszedłem na ulicę. Był to jakiś rozpęd, tchórzliwa ucieczka przed sobą samym, przed świadomością, że ten mój wesoły nastrój wcale nie jest w gruncie rzeczy tak wesoły i że ciężki blok

lodowy, który mi leżał na sercu, bynajmniej jeszcze nie stopniał.

Chodziłem więc po ulicy z laską w ręce i spoglądałem ostro na każdego przechodzącego studenta. Nurtowała we mnie niebezpieczna chęć rozpoczęcia kłótni, by wyładować złość, która nie miała dotąd ujścia, na pierwszym lepszym z brzegu. Ale na szczęście, nikt jakoś nie zaszczycał mnie uwagą. Skierowałem się tedy do kawiarni, gdzie zazwyczaj przesiadywali moi koledzy uniwersyteccy, miałem zamiar przysiąść się nieproszony do ich stołu i byłem gotów uważać najmniejszy z ich strony docinek za sposobność do prowokacji. Lecz znów moja bojowa gotowość spaliła na panewce — piękna pogoda skusiła bowiem większość kolegów do wyjazdu za miasto, tych zaś kilku, których zastałem, przywitało mnie grzecznie i zachowaniem swojem nie dało żadnego powodu do wybuchu zgorączkowanej drażliwości. Wstałem więc zły, i postanowiłem się udać do niedwuznacznego zupełnie lokalu gdzieś na przedmieściu.

Rżnęła tam głośno damska kapela, zbierały się przy wyziewach piwa i w chmurze dymu szumowiny małomiasteczkowe, żądne rozrywek. Wychyliłem jednym ciągiem dwa czy trzy kieliszki, zaprosiłem do stołu jakąś gorszej marki niewiastę i jej chudą przyjaciółkę, także wyszminkowaną kokotę, i znajdywałem w tem chorobliwe wprost upodobanie, aby zachowywać się w sposób wyzywający. Wszyscy znali mnie w mieście, wszyscy wiedzieli, że jestem uczniem profesora. Zachowanie zaś i strój moich towarzyszek nie pozostawiały żadnych wątpliwości: zrodziła się wtedy we mnie niedorzeczna,

fałszywa z gruntu radość, że kompromitując siebie, skompromituję i jego (tak wtedy głupio mniemałem).

Niech wszyscy widzą, — myślałem, — że gwiżdżę na niego, że nic sobie z niego nie robię — i umizgałem się wobec wszystkich do otyłej osoby w sposób bezwstydny i wysoce nietaktowny. Był to szał wściekłego robienia na złość, a potem już prawdziwe podchmielenie, bo piliśmy dziko, bez wyboru — wino, wódkę, piwo — i przysuwaliśmy się do siebie w sposób tak rozwiązły, że krzesła poprzewracały się na ziemię, a sąsiedzi przezornie się poodsuwali. Lecz ja się nie wstydziłem, wprost przeciwnie. Chciałem, żeby mój nauczyciel dowiedział się o tem, żeby widział, jak mi jest obojętny — że nie jestem ani smutny ani zgnębiony.

— „Wina, hej wina!“ — uderzałem pięścią w stół, aż szkło dzwoniło. Wreszcie wyszedłem razem z dziewczętami pod rękę, jedną z lewej, drugą z prawej strony. O dziewiątej godzinie całe miasto wylegało na zwykły spacerek — wszyscy, studenci z panienkami, poczciwi mieszczanie i wojskowi zażywali cichej przyjemności spaceru po głównej ulicy. Myśmy zaś, złączeni w chwiejący się i dość plugawy trójlistek koniczyny — zachowywali się tak hałaśliwie na samym środku jezdni, że wkońcu zbliżył się do nas zirytowany policjant i energicznie nakazał nam spokój.

Co dalej się stało, nie potrafię opisać dokładnie. Jakiś tuman osnuł mgłą wszystkie wspomnienia — wiem tylko tyle, że poczułem obrzydzenie do obydwóch pijanych dziewek i jakoś się od nich wyzwoliłem, że napół przytomny piłem gdzieś jeszcze kawę

i koniak, i że wreszcie przed gmachem uniwersyteckim wypowiedziałem namiętną filipikę przeciwko profesorom, ku wielkiej uciesze nadbiegłych zewsząd studentów. Potem, mętnie rozumując, że należy się jeszcze bardziej zbrukać, aby mu zrobić na przekór — chciałem iść potem do domu publicznego. Ale że nie znałem drogi, więc zataczając się, niechętnie wróciłem do domu. Z trudem otworzyłem bramy, a schody nastręczały jeszcze większy opór do pokonania.

Lecz gdy mijałem drzwi profesora, chmiel całego wieczoru ustąpił nagle, jak pod kublem lodowatej wody. Otrzeźwiałem odrazu, ujrzałem przekrzywione oblicze własnej głupoty, i wstyd zgiął mnie do ziemi.

Cichutko, czołgając się niemal, jak zbity pies, zakradłem się do mego pokoju, tak aby nikt nie słyszał.

* * *

Spałem, jak trup; gdym się obudził, słońce zalewało już podłogę potokiem światła — wyskoczyłem natychmiast z łóżka. Głowa mnie jeszcze bolała, w mózgu błąkały się niejasne wspomnienia wczorajszego wieczoru. Nie, wstydzić się więcej nie chciałem. Przecież to tylko jego wina — perswadowałem sobie przekonywująco — tylko jego wina, przecież przez niego tak lampartowałem.

Uspakajałem siebie, że wczorajsze awantury to był tylko studencki kawał, na który mógł sobie pozwolić ktoś, kto od wielu tygodni miał tylko i jedynie z pracą do czynienia. Lecz nie byłem rad z rezultatu tych usprawiedliwiań się przed samym

sobą — i ze ściśniętem sercem, nieśmiało, poszedłem do żony profesora, zgodnie z wczorajszym projektem wycieczki.

Dziwna rzecz: ledwo dotknąłem klamki, znów poczułem Jego obecność, ów bezrozumny, pożerający ból, ową wściekłą rozpacz. Lekko zapukałem — profesorowa wyszła mi na spotkanie, z dziwnie ciepłym wyrazem w oczach:

— „Co pan za głupstwa wyprawia, panie Rolandzie!“ — rzekła tonem raczej współczucia, niźli wymówki, — „czemu pan się wciąż tak trapi?!“

Stanąłem oszołomiony: nawet ona już słyszała o moich wczorajszych sprawkach, o moich błażeńskich występach! Lecz pani profesorowa szybko wyprowadziła mnie z ambarasu:

— „No, dziś będziemy już rozsądni. O dziesiątej przyjdzie docent W. z narzeczoną — będziemy pływać i wiosłować tak długo, aż w wodzie potopimy wszystkie głupstwa.“

Zaryzykowałem lękliwie pytanie, czy profesor już wrócił. Spojrzała na mnie i nic nie odpowiedziała — wiedziałem, że pytanie było zbyteczne i daremne.

Punktualnie o godzinie dziesiątej zjawił się docent W. Młody fizyk był z racji swego wyznania odsunięty od towarzystwa akademickiego, pozostawał więc jedynie w stosunkach towarzyskich z odosobnioną od reszty parą profesorską. Towarzyszyła mu jego narzeczona, prawdopodobnie raczej kochanka, młode dziewczę, zawsze uśmiechnięte, naiwne i prostoduszne — i dlatego też najodpowiedniejsza uczestniczka podobnie improwizowanej eskapady.

Z początku jechaliśmy koleją, bezustannie jedząc, rozmawiając i uśmiechając się do siebie. Długie tygodnie wytężonej, poważnej pracy odzwyczaiły mnie od wesołości i lekkiej rozmowy do tego stopnia, że już ta jedna godzina oszołomiła mnie, jak roziskrzone wino. Memu towarzystwu udało się odpędzić wszystkie złe i chmurne myśli, co brzęczały nad głową, jak muchy, zwabione plastrem miodu. Wysiedliśmy na brzegu małego jeziora. Ledwo wydostałem się na swobodę i zacząłem się ścigać z narzeczoną docenta — znów poczułem sprężystość mięśni, znów poczułem się młodym beztroskim chłopcem, jakim byłem niegdyś.

Wynajęliśmy dwie łodzie: moją łodzią sterowała żona profesora, w drugiej zaś wiosłował docent wraz ze swą przyjaciółką. Ledwo odbiliśmy od brzegu, ogarnął nas zapał sportowych wyczynów. Próbowaliśmy się przegonić, coprawda było to na moją niekorzyść, gdyż walczyłem sam jeden przeciw dwum parom wioseł. Ale że byłem biegły w tym sporcie, zrzuciłem marynarkę i wziąłem się z taką siłą do wioseł, iż potężnemi uderzeniami wciąż wyprzedzałem sąsiednią łódź. Nieustannie padały to z tej, to z tamtej strony zagrzewające drwinki, drażniliśmy się wzajemnie, i nie zważając na upał lipcowy, ani na spływający po nas haniebnie pot, uprawialiśmy, jak galernicy, ciężkie roboty wiosłowania. Wkońcu ukazał się mały, zalesiony cypel na jeziorze: jeszcze żwawiej, jeszcze gorliwiej wzięliśmy się do dzieła — i nasza łódź pierwsza skrzypnęła przy brzegu, ku wielkiemu tryumfowi mej współtowarzyszki, która bardzo się interesowała zawodami.

Wysiadłem, cały zlany potem, upojony słońcem, wartkim obiegiem krwi, radością trjumfu. Serce biło jak młotem, ubranie ciasno oblepiło mi ciało. Docent wyglądał nie o wiele lepiej — rozweselone kobiety zamiast nas, zawziętych wojowników, pochwalić, poczęły się wyśmiewać z naszego zadyszania i dość żałosnego wyglądu. Wreszcie pozwoliły nam ochłonąć. Wśród żartów i dowcipkowania zaimprowizowaliśmy damską i męską kąpiel — na lewo i prawo od krzaków. Włożyliśmy kostjumy kąpielowe, przez krzaki migała biel nagich ramion i bielizny. Jeszcześmy nie byli gotowi, a kobiety już pluskały się w wodzie. Docent był mniej zmęczony, niż ja, wskoczył więc natychmiast wślad za niemi. Ja zaś, że wiosłowałem zbyt ostro, czułem, jak serce tłucze się o żebra. Położyłem się w cieniu drzewa, patrząc na obłoki przepływające nad głową i odczuwając rozkoszne zmęczenie we krwi i mięśniach.

Z nad wody przybiegło gwałtowne wołanie:

— „Roland, naprzód! Wyścigi z nagrodami! Wyścigi pływackie! Wyścigi nurków!“

Nie ruszałem się z miejsca. Mogłem tak leżeć do końca świata. Słońce łagodnie ogrzewało mi skórę, a lekki wiaterek jednocześnie muskał ją, chłodząc. — Znów rozległy się śmiechy i głos docenta:

— „On strejkuje! Położyliśmy go na obie łopatki! Sprowadzić tu leniucha!“

Usłyszałem plusk w wodzie już bardzo blizko i głos kobiecy:

— „Roland, śmiało! Pływanie z nagrodami! Musimy im jeszcze pokazać, co potrafimy!“

Nie odpowiadałem, sprawiało mi to przyjemność, że mnie szukają.

— „Gdzie pan jest?“

Żwir zgrzytnął, bose stopy biegły po wybrzeżu — i żona profesora stanęła przede mną w kostjumie kąpielowym, wilgotnie oblepiającym jej wysmukłe chłopięce ciało.

— „Pan jest tutaj? Ach, co za leń! No, teraz wstawać, próżniaku, tamci już są prawie po drugiej stronie wyspy “

Leżałem sobie wygodnie na plecach — przeciągnąłem się leniwie:

— „Tu jest o wiele ładniej Potem przyjdę.“

Złożyła ręce w trąbkę i zawołała w kierunku wody:

— „On nie chce!“

— „Dawać tu samochwała!!“ — zabrzmiał w odpowiedzi głos docenta.

— „Niech pan idzie!“ — napierała się niecierpliwie, — „proszę mnie nie kompromitować!“

Ale ja tylko ziewnąłem rozkosznie. Żartobliwie i gniewnie zarazem urwała długą witkę z krzaka.

— „Naprzód!“ — powtórzyła energicznie i uderzyła mię rózgą przez ramię.

Zerwałem się — cios był dotkliwy, czerwona pręga biegła przez skórę.

— „No, teraz dopiero nie pójdę!“ — powiedziałem napoły żartem, napoły rozgniewany.

A ona naprawdę już zła, rzekła:

— „Niech pan idzie! Natychmiast!“

Nie ruszyłem się przez przekorę i upór. Wtedy śmignęła mnie raz jeszcze, cios był tym razem mocniejszy i jeszcze bardziej palący.

Porwałem się na nią, chcąc jej odebrać witkę — cofnęła się, chwyciłem ją za rękę. Mimowoli w tej walce o rózgę zwarły się ze sobą nasze napół obnażone ciała. I w chwili, kiedy chciałem wykręcić jej rękę, aby ją zmusić do rzucenia witki na ziemię, wywinęła mi się nagle z rąk — wtem coś trzasło. To pękło ramiączko jej kostjumu, i na chwilę opadło — pierś jej się obnażyła, sterczący różowy pączek. Ta jedna sekunda wstrząsnęła mną — zawstydzony zwolniłem natychmiast jej rękę. Odwróciła się zarumieniona, aby spiąć porwane ramiączko, z konieczności — szpilką od włosów. Stałem obok niej, nie wiedząc, co mam powiedzieć. I ona milczała także.

I od tej chwili zapanował między nami duszny, dławiący niepokój.

* * *

—„Hallo!...hallo!... gdzież jesteście!" — rozległy się głosy w pobliżu, już z małej wysepki.

— „Już idę!" — odpowiedziałem pospiesznie, wskakując do wody, rad, że w ten sposób unikam kłopotliwej sytuacji.

Zanurzyłem się kilkakrotnie, czysty i chłodny żywioł opłukał mnie, przejrzysty mocny powiew ostudził niebezpieczny szmer i war zbudzonej krwi. Dogoniłem docenta i jego narzeczoną, znów zmierzyliśmy się, kto prędzej dopłynie do brzegu, i znów zwyciężyłem słabszego partnera. Na cyplu czekała już ubrana profesorowa, zajęliśmy się wyładowywaniem zapasów z przyniesionych koszy i urządzeniem piknika na świeżem powietrzu. Choć rozmowa naogół była wesoła i pogodna, i żarty prze-

biegały wkrąg wśród naszej czwórki — jednak my, dwoje staraliśmy się nie zwracać bezpośrednio do siebie. I gdy spojrzenia nasze krzyżowały się, jak za obopólną zgodą, kierowaliśmy je śpiesznie w inną stronę — przykrość owego incydentu nie została jeszcze wygładzona z pamięci, i przypomnienie wywoływały w nas uczucie zawstydzającego niepokoju.

Popołudnie szybko upłynęło znów na wiosłowaniu. Zapał sportowy pozostawiał rozkoszne znużenie. Wino, upał, słońce sączyły się w krew i pobudzały do żywszego obiegu. Już docent i jego przyjaciółka pozwalali sobie na drobne poufałości, co musieliśmy znosić z pewną przykrością. Przysuwali się do siebie coraz bliżej, gdy myśmy tymczasem zachowywali lękliwy dystans. Parki utworzyły się zupełnie wyraźnie, gdyż tamci zaczęli oddalać się od nas, najwidoczniej po to, aby się dowoli wycałować. Jakiś przymus tamował naszą rozmowę, gdy zostawaliśmy sam na sam. Wszyscy byliśmy radzi, gdyśmy się wreszcie znaleźli w pociągu: oni w przedsmaku narzeczeńskiego wieczoru, my zaś — z zakończenia drażliwej sytuacji.

Docent wraz z narzeczoną odprowadzili nas do domu. Ledwo weszliśmy na schody, znów uczułem tęskne, dręczące przypomnienie nieobecności profesora.

— „Ach, żeby on już wrócił!“ — pomyślałem z niecierpliwością. A ona, jakby odczytując z moich ust niewypowiedziane westchnienie, nagle powiedziała:

— „Zobaczymy, czy już wrócił.“

Weszliśmy do mieszkania. Była cisza. Gabinet profesora był opuszczony: mimowoli wyobraźnia rysowała mi w pustym fotelu jego zgarbioną, tragiczną postać. Kartki leżały nietknięte, pełne oczekiwania — tak, jak ja...

I znów pomyślałem z goryczą: dlaczego uciekł — czemu zostawia mnie samego? Coraz gniewniej zaciskała się krtań spazmem zazdrosnej wściekłości, i znów niejasno, szaleńczo pragnąłem dokonać jakiegoś czynu złego — złośliwego, nienawistnego!

— „Pan zostanie na kolacji? Nie powinien pan dzisiaj być sam."

Skąd ona wiedziała, że ja się bałem pustego pokoju, skrzypienia schodów, szperania we wspomnieniach? Wszystko odgadywała we mnie, każdą myśl niewyrzeczoną, każdą złośliwą zachciankę.

Jakiś dziwny lęk mnie przejął, lęk przed sobą samym, przed wzmagającą się we mnie ślepą nienawiścią.

Chciałem odmówić. Lecz zabrakło mi odwagi, aby powiedzieć: „nie".

* * *

Brzydziłem się zawsze wiarołomstwem — nie żebym się kierował niewzruszoną moralnością, czy też pruderją — nie dlatego nawet, że zdrada ta równa się pospolitej kradzieży — lecz dlatego, że każda prawie kobieta w owych momentach zdradza tajemnicę małżonka — że każda jest Dalilą, która wykrada oszukanemu jego ludzką tajemnicę i rzuca na pastwę obcemu — tajemnicę jego siły czy też słabości. Zdrada polega nie na tem, że kobieta oddaje swe ciało, lecz na tem, że zdziera, aby się samą

uniewinnić, przepaskę z bioder męża na łup cudzej ciekawości i szyderskiego pośmiewiska.

Uważam dziś jeszcze mój postępek za najbardziej nikczemny w całem mojem życiu — nie dlatego, że w rozpaczy szukałem ucieczki w siostrzanych z początku, a później namiętnych objęciach (szybko jedno uczucie przeistoczyło się w drugie), nie dlatego nawet, żeśmy prawie bez współudziału woli i świadomości stoczyli się oboje w płomienną przepaść — ale dlatego, żem pozwolił wśród rozgrzanej pościeli opowiadać sobie o intymnej stronie ich życia, żem dał roznamiętnionej kobiecie zdradzić tajemnicę ich małżeństwa. Dlaczego tolerowałem, nie odpychając jej, wyznania o tem, że od wielu lat nie obcuje z mężem cieleśnie, dlaczego ścierpiałem jej mgliste aluzje? Dlaczego władczo nie nakazałem jej milczeć o jego tajemnicach fizycznych?

Bo płonąłem taką nieposkromioną żądzą poznania jego tajemnic, bo tak bardzo pragnąłem odnaleźć w nim winę wobec siebie, wobec niej, wobec wszystkich — przyjąłem, jak odurzony, to jej gniewne wyznanie o długotrwałem zaniedbywaniu: przecież jej uczucie było bardzo zbliżone do moich uczuć człowieka odepchniętego.

I tak się złożyło, żeśmy w porywie wspólnej wściekłej nienawiści postępowali tak, jak w przypływie wielkiej miłości. Ale gdy ciała poszukiwały się i przenikały wzajemnie, usta nasze mówiły ciągle o nim i tylko o nim. Niekiedy słowa jej sprawiały mi ból — wstydziłem się wtedy, żem się uwikłał w sprawy, które potępiałem ze wstrętem. Rozpalone ciało pode mną nie ulegało już nakazom woli, było jednem dzikiem pożądaniem rozkoszy.

Z drżeniem całowałem usta, które zdradzały najdroższego mi człowieka na ziemi.

* * *

Następnego dnia znalazłem się w moim pokoju z osadem niesmaku, wstydu i wstrętu w duszy. Z chwilą, gdy ciepło jej ciała przestało mi drażnić zmysły, zrozumiałem dopiero ohydę mej zdrady. Nigdy już — zrozumiałem to natychmiast — nie będę mógł mu pokazać się na oczy, nigdy nie będę śmiał podać mu ręki — nie jego, lecz siebie samego okradłem z tego, co we mnie było najlepsze.

Teraz był tylko jeden ratunek: ucieczka. Gorączkowo spakowałem rzeczy, poukładałem książki, zapłaciłem gospodyni — nie trzeba, żeby mnie tu zastał, powinienem tak zniknąć bez śladu i w tajemnicy, jak on zniknął.

Wtem — zdrętwiały mi ręce... Za drzwiami skrzypnęły schody, jakieś szybkie kroki... tak, to jego kroki...

Musiałem być blady, jak trup. Ledwo wszedł, zatrzymał się przestraszony:

— „Co ci jest, chłopcze? Jesteś chory?“

Cofnąłem się w bok, gdy chciał się do mnie zbliżyć.

— „Co ci jest?“ — pytał ze strachem. — „Czy coś złego się zdarzyło? Czy też... czy też... gniewasz się na mnie?“

Kurczowo trzymałem się okna. Nie mogłem mu spojrzeć w oczy. Współczujący ciepły głos rozrywał, szarpał mą ranę. Byłem blizki omdlenia, czułem, jak mię zalewa palący war wstydu.

A on stał zdziwiony, zmieszany. I nagle wyszeptał głosem pokornym i zalęknionym to dziwne pytanie:

— „Czy mówił ci może kto... mówił ci coś o mnie?“

Nie odwracając się, zrobiłem ruch przeczący głową. Lecz widać trwożna myśl niepokoiła go nadal, nie mógł jej pokonać:

— „Powiedz... wyznaj mi... może ktoś ci coś mówił... nie pytam kto...“

Znów zaprzeczyłem. Profesor stał bezradny. Nagle zorjentował się wszakże, że moje kufry były spakowane, a książki poukładane — i że jego przyjście przerwało mi ostatnie przygotowania do podróży. Podszedł do mnie wzburzony:

— „Ty chcesz wyjechać, Rolandzie... powiedz mi prawdę!“

Zebrałem się z siłami:

— „Muszę wyjechać... proszę mi wybaczyć... ale ja nie mogę o tem mówić... Już lepiej napiszę!...“

Słowa dławiły mnie w gardle, serce biło nierównem tętnem, zatrzymywało się w takt każdego słowa.

Nie ruszył się z miejsca. Znów ogarnęło go dawne znużenie:

— „Może tak nawet jest lepiej, Rolandzie... z pewnością tak jest lepiej... dla ciebie i dla wszystkich. Ale nim wyjedziesz, chciałbym jeszcze z tobą pomówić. Przyjdź o siódmej, tak jak zwykle... pożegnamy się, jak dwaj mężczyźni. Tylko nie uciekać... tylko nie pisać listów... to byłoby zbyt dziecinnie i niegodne nas... zresztą

tego, co ci mam powiedzieć, nie powierzyłbym pismu. A więc przyjdziesz, prawda?“

Skinąłem tylko głową. Wzrok mój nie ważył się oderwać od okna. I choć patrzyłem przed siebie, nie widziałem jasności poranka, gruby ciemny tuman zawisł między mną a światem.

* * *

O siódmej godzinie przestąpiłem po raz ostatni próg ulubionego pokoju. Poprzez firanki mżył już wczesny zmierzch, w głębi połyskiwał gładki marmur posążków, czarne książki spały za szkłem, migotliwem, jak masa perłowa.

O, tajemnicza krynico wspomnień, gdziem po raz pierwszy poznał magję słowa i przeżył oszołomiający zachwyt, jaki daje światło ducha — widzę cię zawsze w tej pożegnalnej godzinie — i widzę ukochaną postać, jak zwolna wstaje z fotela i idzie mi naprzeciw: — tylko czoło połyskuje w ciemnościach, jak lampa alabastrowa — a nad nią, jak śnieżny dym, wiją się siwe włosy. Z mroku wynurza się ręka i szuka mojej dłoni — teraz rozpoznaję oczy, wpatrzone we mnie z powagą — teraz ktoś obejmuje łagodnie moje ramię i sadowi mnie na krześle.

— „Siadaj, Rolandzie, pomówimy otwarcie. Jesteśmy mężczyźni, musimy być szczerzy. Nie zmuszam cię bynajmniej — ale powiedz, czy nie byłoby lepiej, żeby ostatnia nasza godzina spłynęła pod znakiem zupełnej szczerości? Wyznaj mi więc, dlaczego chcesz wyjechać. Czy zły jesteś na mnie za tę niedorzeczną obrazę?“

Zaprzeczyłem bez słów. Co za okropna myśl, że ten człowiek, — zdradzony, oszukany — chce jeszcze wziąć winę na siebie!

— „Zrobiłem ci krzywdę — świadomie czy też nieświadomie? Są chwile, kiedy jestem dziwny, wiem o tem. Drażniłem cię często i męczyłem nawet wbrew woli. Nie dziękowałem ci nigdy za twoje oddanie — wiem, wiem o tem, wiedziałem nawet wtedy, kiedy zadawałem ci ból. Czy to jest powodem twego wyjazdu, powiedz, Rolandzie? Chciałbym, żebyśmy się uczciwie pożegnali."

Znów potrząsnąłem głową: nie mogłem mówić. Głos jego, mocny dotychczas, teraz załamał się lekko:

— „Czy też ... raz jeszcze cię pytam ... może doniesiono ci coś na mnie ... coś, co uważasz za nizkie ... za odpychające ... coś, za co ... za co mógłbyś mną gardzić?"

— „Nie ... nie ... nie!" — protest wydarł mi się z piersi, jak łkanie. Ja miałbym gardzić — nim! Ja — nim!

Głos jego stał się niecierpliwy:

— „Więc co się stało?... Co to może być?... Jesteś przepracowany? Czy coś cię pociąga? ... Może kobieta? ... Czy kobieta?"

Milczałem. Milczenie to było wyraźnie twierdzące. Zbliżył się ku mnie i wyszeptał cicho, ale bez wzburzenia — bez wzburzenia czy też gniewu:

— „Kobieta ... Moja żona?"

Milczałem dalej. I on zrozumiał.

Mrowie przeszło mi po ciele: teraz, zaraz, zaraz wybuchnie ... teraz zbije mnie ... stłucze ... skatuje ..., i ... ja pragnąłem tego ... aby wychłostał

mnie biczem ... mnie, złodzieja, mnie, zdrajcę... żeby mnie wygnał, jak psa parszywego ze shańbionego domu!

To dziwne ... jest zupełnie spokojny ... i w głosie jego słychać jakby ulgę, gdy mówi do siebie w zamyśleniu:

— „Tak powinienem był myśleć!..."

Przeszedł się po pokoju, raz i drugi. Stanął wreszcie przede mną i zaczął mówić — jak mi się zdawało, pogardliwie:

— „I to... to bierzesz sobie tak bardzo do serca? Czy nie powiedziała ci, że wolno jej robić wszystko, co jej się podoba ... że nie mam żadnych praw do niej? Nie mam ani prawa, ani najmniejszej ochoty niczego jej zabraniać? I dlaczego miałaby się powściągać ... w imię czego ... i oprzeć się właśnie tobie ... Jesteś młody, jesteś jasny i śliczny ... byłeś blizki nam ... jakże mogła cię nie kochać ... ciebie ... I ja ..."

Głos zaczął drżeć. Nachylił się blizko, tak blizko... że czułem jego oddech. Znów to dziwne światło w oczach ... ciepły błysk ... jak w tych przedziwnych rzadkich chwilach ... Zbliżał się coraz bardziej.

I wyszeptał, bez szelestu warg prawie:

— „I ja ... kocham cię przecież."

* * *

Czy zerwałem się raptownie? Czym się wzdrygnął mimowoli? Ciało snać wykonało jakiś gest zaskoczenia, czy też ucieczki, gdyż nauczyciel mój zatoczył się, jak odepchnięty. Cień przemknął po jego twarzy.

— „Gardzisz mną teraz?“ — spytał pocichu, — „czujesz wstręt do mnie?“

Dlaczego wtedy słów mi zabrakło? Dlaczego siedziałem niemy, ogłuszony, nieczuły, zamiast zwolnić go z ciężaru błędnych przypuszczeń? — Uderzyły we mnie falą wspomnienia. Zdawało mi się, że odkrył przede mną szyfr nieczytelnego pisma — wszystko wyjaśniło mi się w sposób straszliwie dokładny: przystępy czułości i szorstka samoobrona, owa wizyta śródnocna i zawzięta ucieczka przed zbyt ognistą, zbyt natarczywą młodzieńczą namiętnością. Miłość... tak, tę miłość wyczuwałem w nim przecież, delikatną i nieśmiałą, już to w ciepłym przypływie, już to otamowaną mocną wolą, kochałem ją, radowałem się jej przelotnym promykiem... lecz teraz, gdy słowo to padło z dojrzałych męskich ust, tkliwe i zmysłowe zarazem — zahuczało mi w skroniach, i przeszedł mię dreszcz, rozkoszny i groźny.

I w tej ciężkiej chwili zaskoczony, drżący chłopiec, choć płonął pragnieniem współczucia, choć korzył się przed odsłoniętą niespodzianie namiętnością — nie znalazł wyrazu dla swych uczuć, nie zamknął ich w żadnem słowie.

Profesor był zdruzgotany mojem milczeniem.

— „Takie to straszne dla ciebie, takie straszne...“ — wyszeptał, — „a więc i ty... nie możesz mi wybaczyć... nawet ty... a przecież przed tobą zaciskałem usta, żem się mało nie zadławił... ukrywałem się wobec ciebie, jak nigdy wobec nikogo się nie ukrywałem... Ale lepiej, że wiesz, teraz nie będzie mi tak ciążyć... O, zbyt ciężko mi z tem

było . . . zbyt ciężko . . . lepiej już skończyć . . . niż tak milczeć nieustannie."

Słowa jego, pełne smutku, pieszczotliwości i zawstydzenia, wstrząsnęły mną do głębi. Wstydziłem się swego milczenia, oziębłego, nieczułego milczenia wobec tego człowieka, który najwięcej ofiarował mi ze siebie i który tak nierozumnie się przede mną poniżał. Choć serce pragnęło przynieść ulgę i pociechę, usta odmawiały posłuszeństwa. I tak żałośnie wtuliłem się w róg fotela, aż on mnie musiał pocieszać:

— „Nie siedź tak, Rolandzie... w takiem strasznem milczeniu . . . Opanuj się . . . czy doprawdy tak cię to przeraża... Wstydzisz się za mnie tak bardzo?... Powiedziałem ci już wszystko . . . rozstańmy się więc uczciwie . . . jak dwaj mężczyźni, jak dwaj przyjaciele."

A ja wciąż jeszcze nie mogłem przyjść do siebie. Dotknął więc mego ramienia:

— „Chodź tu, Rolandzie, przybliż się... Lżej mi, że wiesz już wszystko . . . że wreszcie poznałeś prawdę . . . Z początku obawiałem się, że odgadniesz, jak bardzo jesteś mi blizki . . . potem znów spodziewałem się tego, że domyślisz się i zaoszczędzisz mi wyznań . . . A teraz . . . już stało się, już jestem wolny . . . i mogę mówić z tobą, jak z żadnym innym człowiekiem nie mógłbym mówić. Byłeś mi blizki . . . najbliższy . . . nikogo nie kochałem tak jak ciebie . . . Jak nikt inny, zbudziłeś we mnie, dziecko drogie, najgłębsze struny duszy."

— „Więc dowiesz się przed pożegnaniem więcej, niż ktokolwiek wie na ziemi . . . wyczuwałem dobrze

twoje nieme pytanie... Ty jedyny poznasz całe moje życie. Chcesz, bym ci opowiedział?"

W spojrzeniu, w strwożonem, napół błędnem spojrzeniu wyczytał odpowiedź.

— „Chodź bliżej... tu do mnie... nie mogę o tych sprawach mówić głośno."

Schyliłem się — z nabożeństwem, inaczej nie mogę tego uczucia nazwać. I czekałem, słuchałem... Wtem profesor podniósł się:

— „Nie... tak nie mogę... nie będę mógł mówić... gdy na mnie patrzysz..."

I zgasił światło. Czułem w ciemności, że był blizko mnie — słyszałem jego oddech, ciężki i chrapliwy... Wtedy opowiedział mi całe swoje życie.

* * *

Począwszy od tego wieczoru, kiedy ów wyjątkowy człowiek odsłonił przede mną koleje swego życia, odemknął, jak muszlę stwardniałą, do dziś jeszcze wydaje mi się zabawne i bez znaczenia to wszystko, co poeci i literaci pokazują w książkach, a dramaty objawiają na scenie, jako sprawy niezwykłe i tragiczne.

Nie wiem, czy wynika to z tchórzostwa, czy też z krótkowzroczności autorów, że odmalowują tylko tę jasno oświetloną stronę życia, gdzie igraszki zmysłów są zgodne z prawami natury. Nie sięgają wszakże do tych podziemi, do tajemnych pieczar i kloak duszy, gdzie połyskują blaskiem fosforycznym prawdziwe dzikie bestje namiętności, gdzie łączą się i szarpią ukryte i splątane we wszelkich możliwych fantastycznych kształtach. Czy przeraża ich trawiący, wściekły oddech demonicznych po-

pędów i wyziew gorącej krwi, czy boją się zbrukać swe nazbyt wypieszczone ręce w jątrzącej się materji — czy też może wzrok ich, nawykły do wielkodusznej jasności, nie odnajduje wcale tych oślizgłych stopni, niebezpiecznych, cuchnących zgnilizną i w głąb wiodących? A niema przecież większej rozkoszy dla żądnego wiedzy, niż rycie się w tych skrytkach i jamach, niema silniejszej emocji, niż ów dreszcz grozy wobec czającego się niebezpieczeństwa, i niema na świecie cierpienia, które byłoby bardziej święte, niż to, które się wstydliwie nie chce ujawnić.

Obnażył się przede mną człowiek, wydarł z piersi płonące,. strute, zropiałe serce, i ukazał mi je z dziką rozkoszą samobiczowania, uczynił wyznanie, przemilczane od wielu, wielu lat. Tylko ten, kto przez całe życie ukrywał się i wstydził — może wybuchnąć podobnie nielitościwą spowiedzią. Kęs za kęsem przełamywał się ten człowiek ze mną całem swojem życiem — i poraz pierwszy nachyliłem się nad przepastną, niewypowiedzianą głębią ludzkich uczuć.

Zrazu głos jego błąkał się i rozpraszał w mglistych napomknieniach wielkiej tajemnicy — później wola przełamała ten opór wzruszenia. Głos nabrzmiewał namiętnością — znać było jej potęgę, tak jak wyczuwa się furioso po wyprzedzających je zwolnionych taktach.

Zamigotały przede mną obrazy, naniesione burzą namiętności, niejasne zrazu i mgliste.

Ujrzałem więc naprzód chłopca, dziecko nieśmiałe i małomówne, jak garnął się, gnany nieświadomą cielesną żądzą, do najładniejszych kole-

gów w szkole. Jeden z nich odepchnął go gniewnie wzamian za zbytnią chęć zbliżenia się, drugi zaś wydrwił i nazwał ohydnie wyraźnem słowem: obydwaj potępili go za zboczone skłonności. I tajemny trybunał szyderstwa i poniżań jednogłośnie odsądził od towarzyskiej wspólnoty, niby trędowatego. Codzienna droga do szkoły stała się drogą na Golgotę, a noce pełne były wstrętu do siebie i obrzydzenia. Chłopiec, tak napiętnowany, uważał przeczuwaną dopiero i we snach tylko objawiającą się skłonność za szaleństwo i za ciężar, który zniesławia.

W tem miejscu załamał się głos opowiadającego — przez chwilę, jak gdyby wsiąkał w ciemność. Później znów dało się słyszeć westchnienie, i znów ukazały się upiorne widma przeszłości.

Chłopiec jest już studentem w Berlinie. Miasto, podziemne miasto po raz pierwszy zaspokaja tak długo hamowaną namiętność. Te krótkotrwałe, urywane spotkanie na rogach ciemnych ulic, pod arkadami mostów, w cieniu dworców kolejowych — jakże ubogie były w rozkosz, a jak zbrukane wstrętem i zatrute lękiem! Kończyły się częstokroć groźbą nikczemnych wymuszeń i zawsze zostawiały po sobie ślizki ślimaczy ślad zimnej grozy. O, piekielna drogo od świateł do cieni! Dzień, pełen pracy, jasny, skąpany w krystalicznych pierwiastkach ducha — i wieczór, który spycha między szumowiny przedmieść, w podejrzane towarzystwo, co kryje się przed pikelhaubą policjanta, do ponurych knajp, których nieufne drzwi odmykają się tylko na znak umówionego uśmiechu. Wola musiała się zbroić w żelazne męstwo, aby ukryć z całą ostrożnością owo podwójne życie, aby osłonić przed obcym

wzrokiem straszliwą tajemnicę. Przez dzień cały poważna, nieposzlakowana działalność docenta — w nocy zaś włóczęga po ciemnych spelunkach, przygody w chybocącym cieniu nocnych latarni. I nieustanna walka z rozszalałą namiętnością, która zboczyła z właściwej orbity, z głuchym popędem, gnającym do ciemnych, zgubnych mocy. Dziesięć — dwanaście — piętnaście lat wyczerpujących nerwy, kurczowych zapasów z magnetyczną siłą nieuleczalnej skłonności — używanie bez uciechy — trawiący wstyd — i wreszcie: strach przed własną namiętnością.

Wkońcu, późno, bo w trzydziestym roku życia — ostatni potężny wysiłek skierowania popędu na właściwe tory. Poznaje u znajomych swą późniejszą żonę. Młoda dziewczyna, pociągnięta tajemniczością jego natury, okazuje mu żywą skłonność. Na krótki czas powiodło się jej, dzięki chłopięcemu ciału i młodzieńczej swobodzie zachowania — zmylić jego namiętność.

Po raz pierwszy przezwycięża się, w nadziei, że wreszcie zostanie panem swych opacznych upodobań — pragnie się mocno przykuć do tej przystani, którą znalazł na niebezpiecznej drodze, bierze więc ślub z młodą dziewczyną, po uprzedniej otwartej spowiedzi. Mniema, że powrót do strasznych przeżyć jest już na zawsze odcięty. Kilka tygodni spływa bez troski. Lecz nowa podnieta już wkrótce okazuje się bezskuteczną, a dawna żądza — uparcie nieprzezwyciężoną. I odtąd zawiedziona małżonka (i zawodny środek) staje się parawanem, osłaniającym przed ludźmi przewrotną skłonność. Znów

karkołomna droga wiedzie w mroczną przepaść, na marginesie prawa i społeczeństwa.

A przytem — męka wewnętrznej rozterki: wyznaczono mu stanowisko, na którem popęd jego był mu wyraźnie przekleństwem. Z urzędu i z obowiązku musiał być w stałej styczności z młodymi ludźmi — zrazu jako docent, później — jako profesor. Pokusa zastawała go oko w oko z kwiatem młodzieży, z efebami niewidzialnego Gymnasionu — i to w obrębie świata, najeżonego pruskiemi paragrafami.

Wszyscy oni — nowe niebezpieczeństwo! nowa klątwa! — kochają go namiętnie, nie podejrzywając oblicza Erosa poza maską nauczyciela. Ilekroć podaje im jowialnie dłoń (drżąc potajemnie), czują się uszczęśliwieni; trwonią swój młodzieńczy zapał przy nim, a on się musi przeciw nim uzbrajać i opanowywać! O, męki Tantala! Być w wieczystej walce ze wzmagającą się żądzą, w niekończącej się nigdy utarczce z własną słabością! Gdy czuł, że upada pod ciężarem pokusy — ratował się wtedy ucieczką. To były właśnie owe eskapady, owe błyskawiczne wyjazdy i przyjazdy, które mnie tak przerażały. Jakże srogą była męka tej ucieczki przed samym sobą — ucieczki w otchłań! Jeździł wtedy do miasta, gdzie w ustronnych miejscach znajdował swych zaufanych, szelmy ostatniego gatunku, nierządnice męskiego rodzaju. Miast świętości prawdziwego oddania — napotykał brud, wstręt i ohydę. A jednak to błoto, wraz z trującą przyprawą rozczarowania, było mu niezbędne do życia — inaczej nie odpowiadałby za swoje zmysły w ufnie wokół niego zebranem kole studentów. Och, co to były za

schadzki! — jakież postaci upiorne, a po ziemsku cuchnące, wywoływało przedemną jego opowiadanie!

Człowiek ten, o wysokiej kulturze duchowej, z wrodzonem poczuciem i nieodzowną potrzebą pięknych form, ten prawdziwy mistrz uczuć, musiał się stykać ze wszystkim brudem i nędzą ziemi, w zadymionych spelunkach, które wpuszczały tylko wtajemniczonych. Poznał wtedy bezczelne pretensje uszminkowanych chłopców ulicznych i słodkawą zalotność perfumowanych fryzjerczyków, łaskotliwe chichoty zboczeńców w damskich szmatkach, gwałtowną chciwość bezrobotnych aktorów i prostackie czułości żujących betel marynarzy — wszystko poznał, wszystkie zastraszone, przewrotne, fantastyczne formy, w których odnajduje się ułomne pożądanie płciowe, na najodleglejszych krańcach miasta.

Żadne upodlenie, ani gwałt, ani hańba nie zostały mu na tej śliskiej drodze zaoszczędzone. Kilkakrotnie okradano go (był za słaby, za szlachetny, aby się szamotać ze zbirami), pijani towarzysze, szydząc i drwiąc, wysyłali go bez płaszcza i bez zegarka do domu z podławych przedmiejskich hoteli. Szantażyści chodzili mu po piętach, jeden z nich krok za krokiem odprowadzał go do Uniwersytetu, sadowił się na pierwszej ławce między słuchaczami i z łotrowskim uśmiechem, z poufałem mruganiem spoglądał na profesora, który ostatniemi siłami prowadził wykład.

Pewnego razu (serce mi w piersi stanęło, gdym tego słuchał), przydybała go policja w Berlinie wraz z całą bandą, o północy, w jakimś podejrza-

nym barze. Mięsisty, czerwonogęby wachmistrz zanotował sobie nazwisko i zawód, z owym szyderczym śmiechem podwładnego, który raz ma sposobność okazania się górą nad inteligentem — i nadmienił łaskawie, że tym razem puszcza go wolno, nazwisko zaś pozostanie na wiadomej liście. I tak, jak do ubrania człowieka, który długo przebywał w cuchnącej izbie, przylega wkońcu wyraźnie pewna woń — tak i w tem mieście musiała przylgnąć doń plotka, przebąkiwanie o tem i owem. W gronie kolegów — jak ongi w klasie — czekały go ostentacyjnie coraz zimniejsze słowa i ukłony, aż wkońcu odosobnił się od reszty szklaną przegrodą obcości. I mimo to, w domu zamkniętym na siedem zamków, czuł się zawsze śledzony i szpiegowany.

I nigdy to umęczone, zalęknione serce nie zaznało łaski czystej przyjaźni. Zawsze musiał dzielić swe uczucia na dwie części: jedną, przeznaczoną dla młodych kolegów uniwersyteckich, delikatną i subtelną — drugą zaś dla nocnych kompanów, których rankiem z grozą wspominał. Nigdy nie dane było mu przeżyć czystego młodzieńczego oddania. Znużony zawodami, zrezygnowany, wyczerpany nerwowo — mniemał się już zatraconym na zawsze, gdy wtem... Na drodze jego życia stanął młodzieniec, który namiętnie i radośnie ofiarował starzejącemu się człowiekowi całą swą duszę. Przeraził się więc niespodzianym cudem, nie czując się godnym przyjąć ten dar, tak świeży i czysty. Raz jeszcze zapukał do jego drzwi poseł młodości, o pięknej postaci i duszy namiętnej, przywiązany doń głębokim węzłem sympatji, płonący ogniem ducha —

i zapragnął jego wzajemności, nie przeczuwając nawet niebezpieczeństwa. Z pochodnią Erosa w niewiedzącej duszy, śmiały i odważny, jak Parsifal, nachylił się nad zatrutą raną, nieświadom czaru swego, ani tego, że już samo jego przyjście jest uzdrowieniem — przybył utęskniony, upragniony przez całe życie, w ostatniej, schyłkowej godzinie zmierzchu życia.

W miarę, jak opisywał tę postać, rósł i krzepnął głos śród mroku. Rozjaśniał się, dźwięczał głęboką tkliwością, jak muzyka, gdy wysławiał historję ostatniego ukochania. Drżałem ze wzruszenia, ze współczucia, a wtem — serce zabiło jak młotem. Przecież ten młodzieniec, o którym mówił nauczyciel... to był... tak, to był... rumieniec oblał mi policzki... to byłem właśnie ja: ujrzałem siebie, niby w płonącem zwierciadle, przyodzianego w złotogłów nieprzeczuwanej, tak wspaniałej miłości, że odblask mi w oczach zamroczył. Tak, to byłem ja — poznałem siebie w tej gorliwości, niemal natarczywej, wiecznego przebywania z nim razem, w tym fanatyźmie, w tej ekstazie pożądań, której duchowe obcowanie nie zaspakajało, poznałem siebie, głupiego chłopaka, co nieświadomy swej mocy, znów zapłodnił duszę usypiającą ziarnem twórczości i znów rozpalił pochodnię Erosa, z takim trudem przygaszoną. Ze zdumieniem odkryłem, ile znaczyła dla niego ta nieśmiała miłość, — jak sobie cenił, niby najświętszą niespodziankę swych późnych lat, ten żarliwy nadmiar moich uczuć — i ze strachem jednocześnie zobaczyłem, jaką siłę woli mi przeciwstawiał. Nie chciał bowiem odemnie zaznać dreszczu znieważonej cielesności, szyder-

stwa czy odepchnięcia, nie chciał też ostatniego uśmiechu losu dawać zmysłom na igraszkę. Dlatego też odnosił się napozór gniewnie do moich uczuć, studził je lodowatą ironją, miękkie słowa przyjaźni ukracał do twardych konwencjonalnych wymiarów, hamował serdeczniejszy uścisk dłoni; dla mnie i przeze mnie wysilał się na te wszystkie szorstkości, aby mię otrzeźwić i uchronić przed niebezpieczeństwem. Przeraźliwie jasne stały się dla mnie udręki ostatnich tygodni, i obłędne wydarzenie owej nocy, kiedy przyszedł do mnie po skrzypiących schodach, jak lunatyk, aby słowem obelgi wyratować siebie i naszą przyjaźń. I przejęty współczuciem, wzruszony, drżąc, jak w febrze, zrozumiałem, jak bardzo on cierpiał przeze mnie i jak heroicznie się opanowywał.

Ten głos śród mroku — ten głos śród mroku z jakąż siłą wkradł mi się, wtargnął w serce! Usłyszałem w tym głosie ton z takich głębin, jakich nigdy nie słyszałem przedtem, ani nigdy potem. W ten sposób mówi człowiek do człowieka tylko raz w życiu i to, po to, aby na zawsze zamilknąć — tak jak mówi się w legendzie o pieśni przedzgonnej łabędzia. I ja przyjąłem w siebie ten głos, płonący głos śród mroku, z bolesnym dreszczem, tak jak męża w siebie przyjmuje niewiasta . . .

Nagle głos ucichł, ciemność zamilkła. Wiedziałem, że jest blizko mnie — wystarczyło wyciągnąć dłoń, aby dotknąć jego ręki. Czułem gorącą potrzebę, aby przyjść cierpiącemu z pociechą.

Ale wtem on się poruszył. Światło zabłysło. Z fotela podniosła się się znużona starcza postać — wyczerpany, stary człowiek zbliżał się do mnie.

— „Bądź zdrów, Rolandzie... teraz ani słowa między nami! Dobrze, żeś się zjawił... i dobrze dla nas obydwóch, że już odchodzisz... bądź zdrów... i pozwól się pocałować na pożegnanie!“

Jak pchnięty magiczną siłą, rzuciłem się ku niemu. Tlący zwykle, jak zarzewie, ogień w jego oczach teraz rozgorzał jasnym płomieniem. Przyciągnął mnie do siebie, spragnione wargi wpiły się w moje usta, a ciało garnęło się w nerwowym spaźmie.

Był to pocałunek, jakiego nigdy nie otrzymałem od kobiety, pocałunek dziki i rozpaczliwy, jak okrzyk umierającego. I kurczowy dreszcz udzielił się memu ciału także. Miotały mną wrażenia dwojakiego rodzaju, dziwne i straszne — oddawałem się całą duszą, a jednak do głębi wstrząsało mną odrażające poczucie męskiego ciała — straszny zamęt uczuć, w którym sekunda wydłużyła się w ogłuszające wieki trwania.

Wreszcie zwolnił mnie z uścisku — raczej odepchnął, jakby rozrywając jedno niepodzielne ciało — odwrócił się z trudem i padł na fotel, tyłem do mnie; przez chwil kilka drętwo patrzył w przestrzeń. Potem głowa zaczęła mu ciążyć, począł się słaniać znużony i wyczerpany, aż wreszcie czoło opadło ciężko na biurko.

Przenikała mnie niewypowiedziana żałość. Bezwiednie zbliżyłem się do niego. Wtedy wyprostował się kurczowo zgięty grzbiet — i ochrypły głos wyjąkał groźnie:

— „Precz!!... precz! nie zbliżać się! na miłość Boską, nie zbliżać się... idź już! idź!“

Zrozumiałem. Cofnąłem się, drżąc cały: jak zbieg opuściłem ukochany gabinet.

* * *

Nigdy go więcej nie widziałem. Nie otrzymałem od niego żadnego listu ani wieści. Dzieło jego nie ukazało się, nazwiska zapomniano. Nikt nie wie o nim więcej, niż ja wiem. Lecz dziś jeszcze czuję to samo, co czuł niedoświadczony chłopiec: nikomu nie zawdzięczam tyle, co jemu — ani matce i ojcu przed nim, ani żonie i dzieciom po nim. Nikogo tak nie kochałem.

EDWARD WELLE STRAND

LUDZIE Z POD BIEGUNA

Powieść przełożył Artur Górski 8. wydanie

Pierwszy powieściopisarzPółnocy, E.W. Strand, poeta z potężną siłą wyobraźni kreśli nam obraz duszy najdalszej Północy. Ziemia czarów i przygód. Wędrówka, bajki i mistyki. Lud patrzący w płomienisko słońca nigdy nie wypalające się — wielkie dzieci upojone słońcem i radością, w wiecznym pościgu za zwidem szczęścia. Oto treść niezwykłej powieści.

CLAUDE ANET

ARJANA

Powieść przekład L. Staffa 22. wydanie

„Przeczytałem tę powieść jednym tchem. Jest to historja młodziutkiej dziewczyny rosyjskiej, która przyjacielowi swemu opowiada mnóstwo skłamanych przejść ze swej przeszłości... Jest to od wielu lat pierwszy romans jaki czytałem. Delikatna Arjana, w czapce rosyjskiej gimnazjastki na złotej, krótko przystrzyżonej główce, żyła, paplała, kłamała, płakała, promieniała w mych oczach. Wzbogaciłem się o jeden żywot ludzki. Widziałem ją „nieżywą", gdy, okrutnie opanowana, pozwalała się bezwolnie całować, widziałem ją jako wesołą, siedemnastoletnią dziewczynę, wybiegającą z koleżankami z gimnazjum, widziałem ją pobladłą na stacji kolejowej, przechadzającą się w beznadziejnem niemal oczekiwaniu. Arjana należy dla mnie do najpiękniejszych typów kobiecych, jakie poznałem, stawiam ją obok Szarlotty, Manon i Wiktorji". H. G. Wells.

G. K. CHESTERTON

LATAJĄCA GOSPODA

Powieść przełożyła A. Cylkowska 7. wydanie

„Chesterton, najdowcipniejszy człowiek Londynu, jest pisarzem największej miary w literaturze dni dzisiejszych. Podstawą tego jedynego fenomenu jest fakt, że Chesterton posiada w najwyższym stopniu akrobatyczną obrotność dowcipu i słowa, wiecznie żywą wszechstronność zainteresowań, promienny humor, ludzkość w najlepszem tego słowa znaczeniu".

Roman Dyboski.

MARTA OSTENSO

KRZYK DZIKICH GĘSI

Powieść przekład L. Staffa 14. wydanie

Wiadomości literackie: „Ostenso jest odkryciem literackiem wielkiej wagi — jej dzieło czemś swoistem, przypominającem tylko Hamsuna i Reymonta. Nie „romans chłopski", lecz historja ludzi, związanych z ziemią, wrosłych w grunt, albo chcących wyrwać się zeń, miotanych pomiędzy miłością ojczyzny, a poczuciem niewoli w przykuciu do kraju Północy, do tej skąpej, skalistej ziemi, która w tej książce jest nietylko sceną dramatu, ale motywem tragedji ludzkiej.

MARJA, KRÓLOWA RUMUNJI

GŁOS NA SZCZYTACH

Powieść przełożyła Z. Rabska 6. wydanie

Powieść ta jest jednym wzniosłym hymnem na cześć miłości i dobywa z człowieka jego najwyższe człowieczeństwo. Prasa angielska, francuska i niemiecka bez różnicy przekonań politycznych powitała fascynującą w swej treści i formie artystycznej powieść królowej rumuńskiej ze szczerym entuzjazmem.

STEFAN ZWEIG

24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY

Przełożyła Melanja Wassermanówna 14. wydanie

Znawca ludzkiego serca i genjalny poeta daje nam obraz duszy kobiecej, tak pięknej i rzadkiej, jako też tragedję niezwykłej miłości mężczyzny, jako nierozwiązalne wieczyste zagadnienie. Nieskończenie subtelna, czarowna książka, wyrwana z życia — poprostu samo życie.

HERMAN BANG

MICHAEL

Powieść przełożył L. Staff 8. wydanie

Świetnym artystą-poetą jest Duńczyk Herman Bang. „Michael" to romans artystyczny, przepojony od pierwszej do ostatniej strony duchem skandynawskim. Tylko syn Północy umie władać tą delikatną sztuką, która raczej napomyka, niż wykańcza, raczej szepce, niż mówi i żywi cześć dla zagadek duszy. „Czem jest „Obraz Dorjana Gray'a" wielkiego Wilde'a wobec wspaniałego „Obrazu Michaela" jeszcze większego Banga?" — wołali krytycy po ukazaniu się powieści Banga.

MICHAEL ARLEN

ZIELONY KAPELUSZ

Powieść przełożyła A. Cylkowska 7. wydanie

„Times" pisze: „Pan Arlen wymyślił nowy rodzaj literackiego wektailu. Z racji nie dającej się ująć delikatności i subtelności opowieść o bezwstydnej a wstydliwej damie w zielonym kapeluszu nie ma sobie równej". „Evening Standard": „O nieba, jak bardzo człowiek ten zgłębił psychologję mężczyzn i kobiet. Zwłaszcza kobiet". „Daily Express": „Powieść Zielony Kapelusz dostarczyła nam więcej przyjemności, aniżeli wszystkie inne nowości ostatniego pięciolecia". „Sunday Chronicle": „Romans Zielony Kapelusz jest wypadkiem roku. Byłby to annus mirabilis, gdybyzdobyto się na coś lepszego".

LEO BELMONT

PANI DUBARRY

KRÓLEWSKA MIŁOŚNICA

Powieść Trylogja 7. wydanie

I. WIOSNA MIŁOSTEK II. KRÓLEWSKA MIŁOŚNICA III. POD GILOTYNĄ

Romans historyczny w wielkim stylu. Znakomity powieściopisarz skreślił burzliwy żywot najpiękniejszej kobiety Francji, jako też epokę Ludwika XV. i Wielkiej Rewolucji. Oto wstrząsająca lekcja dziejów wiecznie aktualna. Pani Dubarry jest szczytowym punktem poetyckiej twórczości Leo Belmonta. Okazał się on tutaj kunsztownym snycerzem bohaterki romansu oraz przenikliwym malarzem całej epoki. Potrafił rozwiązać wielkie zagadnienia polityki, religji, sztuki i kultury czasu, jako też wielkiej i tragicznej miłości z jednakowem mistrzowstwem.

JURIJ SLJOSKIN

OLGA ORG

Powieść przełożyła Marja Kreczowska 7. wydanie

Romans niezwykłej namiętności. Aleksander Kuprin pisze: „Wielki powieściopisarz rosyjski dał nam porywający obraz duszy studentki. Ja, co przez długi szereg lat nie znałem łez, wybuchnąłem płaczem serdecznym po przeczytaniu tej dziwnej, istotnie cudownej książki".

Ostatnia nowość:

Gustaw Olechowski: WÓDZ, powieść o J. Piłsudskim

Autorem tej wielkiej epopei narodowej jest jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy polskich.

Powieść ta będzie czytana przez przyjaciół i wrogów Marszałka, przez inteligencję i lud, przez starszych i młodzież, przez dyplomatów i laików, przez Polaków i cudzoziemców.

Mało który pisarz polski mógłby się ważyć na takie przedsięwzięcie. Nie wystarczał tu talent. Autor musiał mieć perspektywę dziejową, musiał umieć ujmować podkład społeczny i polityczny, musiał być objektywny, musiał posiadać olbrzymie doświadczenie życia i szerokie horyzonty, wszędzie obracać się swobodnie i ze znawstwem — na Syberji, w więzieniu, w Japonji, Londynie, wśród najwyższych sfer i najniższych, bo życie Marszałka było jednem pasmem najdziwniejszych przeżyć.

Życie Marszałka, to życie Polski za ostatnie 40 lat. Jest to więc powieść historyczna.

W powieści zdumiewa ogrom materjału, który jednak nie przytłacza, bo autor umiał swem lekkiem piórem podać go czytelnikowi w takiem urozmaiceniu nastrojów, że w szalonem tempie czytania nie odczuwa się ciężaru wypadków pędzących z zawrotną szybkością, tak zręcznie są one przetkane świetnemi djalogami, błyskotliwym humorem, krótkiemi ale bardzo artystycznemi momentami opisowemi.

Lapidarność charakterystyki niesłychanej ilości osób rzeczywistych i fantastycznych, bogactwo szczegółów, silne kontrasty, uczuciowość — oto znów inne walory tej książki.

Epos z czasów walk o wolność i zdobywania wolności polskiego narodu.

Przed oczyma naszemi powstaje postać bohatera, którego autor przedstawia nam w jego drodze ewolucyjnej, począwszy od jego marzeń, śnionych przez młodego marzyciela, a przechodzącego stopniowo do czynu jako żołnierza i budowniczego.

Jest to historja człowieka, który niósł w sobie ból i bunt całego uciemiężonego Narodu, który ten ból i bunt całem swem życiem zadokumentował w czynie; który oswabadzając się powoli z naleciałości i nienawiści partyjnych, drogi do wolności dla całego swego Narodu szukał i — znalazł ją.

Książka ta przedstawia nam w objektywnej całości ostatnie lata historji podziemnej walki Narodu o wolność, dlatego powinni ją czytać wszyscy, tak dorośli jak młodzież, która się wiele z niej dowiedzieć i nauczyć może. —

Książka ta to opowieść nietylko dziejów Bohatera ale poniekąd dziejów całego społeczeństwa. — Po raz pierwszy w naszej nowoczesnej literaturze powstaje powieść z tych tak bliskich nam czasów, gdzie widzimy w całości obraz zmagania się Narodu ze swymi ciemiężcami i gdzie ten Naród, cierpiąc, walcząc, padając — wkońcu zwycięża.

Nasi autorzy:

Marja, Królowa Rumunji
T. G. Masaryk, Prezydent Rzpltej Czecho-Słow.
Gabriele d'Annunzio
Michael Arlen
Claude Anet
Herman Bang
André Baillon
Henri Barbusse
R. H. Bartsch
Leo Belmont
Księżna Bibesco
Simona Bodève
Jan Bojer
Johannes Buchholz
Hall Caine
Colette
G. K. Chesterton
Prof. Albert Einstein
Hans Heinz Ewers
Gustaw Frenssen
John Galsworthy
Gustaw af Geyerstam
Maxim Gorki
Artur Górski
Gunnar Gunnarsson
Gerhart Hauptmann
Artur Heye
Magnus Hirschfeld
Georg Hermann
Józef Jankowski
Karol Kautsky
Prof. Uniw. W. M. Kozłowski
Sinclair Lewis
Emil Ludwig
B. W. Maxwell
Tomasz Mann
Gustaw Meyrink
Wiktor Margueritte
Antoni Marczyński
André Maurois
Ignacy Nikorowicz
Gustaw Olechowski
Marta Ostenso
Leo Perutz
Zuzanna Rabska
Sir John Rethcliffe
Einar Rousthoi
Axel Sandermose
Karol Ludwig Schleich
Otto Sojka
Edward Welle Strand
Artur Schnitzler
Leopold Staff
Gustaw Strindberg
Prof. Dr. A. Steinach
Marceli Tarnowski
Miguele de Unamuno
Guido de Verona
Edgar Wallace
Jakób Wassermann
Kikou Yamata
Stefan Zweig